

JĘDRZEJ PASIERSKI WODNIK





Seria „Ze Strachem”:

Wojciech Chmielarz *Osiedle marzeń*

Wojciech Chmielarz *Przejęcie* (wyd. 2)

Wojciech Chmielarz *Zombie*

Anna Kańtoch *Wiara*

Jędrzej Pasierski *Dom bez klamek*

Jędrzej Pasierski *Roztopy*

Jędrzej Pasierski *W Imię Natury*

Anna Kańtoch *Pokuta*

Jędrzej Pasierski *Czerwony świt*

Jędrzej Pasierski *Kłamczuch*

Jędrzej Pasierski *Gniazdo*

Jędrzej Pasierski *Martwy klif*

Więcej informacji: czarne.com.pl

Jędrzej Pasierski

Wodnik

wydawnictwo  czarne

Wołowiec 2023

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Projekt okładki Magdalena Palej

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś

Fotografie na okładce © by Tsunami Green / Unsplash; Anna Sushok / Unsplash

Copyright © by Jędrzej Pasierski, 2023

Redakcja Gabriela Niemiec / d2d.pl

Korekta Justyna Żebrowska / d2d.pl

Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-763-6

Dla Danusi i Stasia, z podziękowaniami za całe dobro

1

Siedziałem tego dnia w kawiarni na placu Grunwaldzkim. Korzystałem z ostatnich promieni słońca. Koniec sierpnia to czas, kiedy wielkie miasta stają się całkiem znośne. Lato we Wrocławiu było jeszcze w pełni, choć za chwilę miało się nagle skończyć, jak to się zdarza w naszej strefie geograficznej. W powietrzu unosiła się woń spalin i nagrzanego asfaltu. Nie przeszkadzało mi to. Lubiłem jesień, więc te ostatnie dni sierpnia miały dla mnie dodatkową wartość, prawie sentymentalną.

Korzystałem z przywilejów przynależących – z grubsza – do świata dorosłych. Kawa, papieros, gazeta. Drukowana na papierze zostawiającym czarne ślady na palcach; żadna tam cyfrówka. Polityka mnie mierzyła, ale wciąż trafiali się dobrzy dziennikarze kulturalni.

Czytałem o premierach, na które się nie wybiorę. O książkach, które mógłbym kupić, ale pewnie zapomnę ich tytuły, jeżeli kiedykolwiek dotrę do księgarni. Obietnica – może to było najprzyjemniejsze.

To nie były luksusy, na które mogłem sobie zazwyczaj pozwolić. Może właśnie dlatego, aby przywołać mnie do porządku, zadzwonił telefon.

– Halo.

Chwila ciszy.

– Czy to pan Turski?

– Tak, to ja.

Nie przedstawiałem się przy odbieraniu połączenia. Byłoby to może profesjonalne, ale dla mnie ciut korporacyjne.

– Nazywam się Beata Gajus. Dzwonię... – kobieta wyraźnie się zawahała – w sprawie terapii.

W słuchawce słyszałem jej nerwowy oddech. Dałem jej jeszcze chwilę.

– To znaczy interwencji – dodała.

– Tak, słucham.

– Dobrze się dodzwoniłam, prawda?

– Tak. To ja. Jestem panem nianią – odparłem.

Czułem, że się uśmiechnęła.

– Przystudiowałam pańską stronę.

- Bardzo mi miło.
- Wszystko, co tam jest napisane...
- Jest aktualne.

– Czytałam również pana książkę.

- Cieszę się. To znaczy, że dwa pięćdziesiąt wpadło mi do kieszeni.

Zaśmiała się teraz już wyraźnie. Wsłuchiwałem się. Małe, dziwne hobby. Czy można przejrzeć charaktery ludzi na podstawie ich śmiechu? Oczywiście to czarna magia. Gdybym miał taki dar, z pewnością uniknąłbym wielu kłopotów.

- Nie jest pan bardzo oficjalny.

- Skoro państwo zapraszają mnie do swoich domów, chyba nie powinienem.

Proszę mi opowiedzieć, z czym pani do mnie dzwoni.

Miałem wrażenie, że zaczerpnęła tchu.

– Chłopiec ma na imię Michał. Ma siedem lat. Jest żywym, bystrym dzieckiem. Nie wiem, co więcej...

- Jakież konkretne problemy zdrowotne? Leki?

– Nie. Fizycznie, można powiedzieć, zdrowy jak rydz. Choć... może powinien pan coś wiedzieć...

Znowu się zawahała. Trwało to trochę za długo.

- Przepraszam, czy pani pozwoli?

– Tak?

– Nie muszę znać szczegółów sprawy teraz. I chętnie porozmawiam z Michałem. Czy zapoznała się pani z moimi metodami pracy?

Wobec jej dłuższego milczenia dodałem:

– Kontrakt możemy delikatnie modyfikować, ale trzon i to, co w nim jest uwzględnione, obowiązuje obie strony.

- Jasne – powiedziała. – Zgodzimy się na wszystko.

– Mam jednak problem z czasem. Przypuszczam, że pani dzwoni w związku ze szkołą?

- Owszem.

Zapadła krótka cisza.

- Bardzo zależy nam na tej interwencji – podjęła Beata Gajus.

- Dobrze, tylko wyjmę notes. Pamięć ludzka to zawodna sprawa.

Zajęło mi to paręnaście sekund. Notes był skórzany, odrapany. Miałem go trzeci rok, stanowił kopalnię informacji.

– Mam wolny czas, ale dopiero w październiku. I to z weekendem pośrodku, taki trochę ślepy termin.

– Jesteśmy chętni – odparła szybko.
– Zatem jedenastego października? Zajmę państwu siedem dni.
– Będziemy czekać. – Podała mi adres. – Czy pana wynagrodzenie jest takie jak na stronie?

– Dane są aktualne. Upewnię się jednak, czy pani doczytała. Bo mogę się zatrzymać w domu, ale także w hotelu, w zależności od preferencji i warunków...

– Hotel z pewnością nie będzie konieczny – ucięła.

Zakończyłem rozmowę. Brzmiała standardowo. Była standardowa. A ja byłem psychologiem z dwudziestoletnim stażem, ze specjalizacją z psychologii klinicznej dziecka. Tym razem miało się okazać, że instynkt zawiódł mnie na całej linii. Nie wiedziałem, jak złą decyzję podejmuję, siedząc w tych ostatnich promieniach słońca na placu Grunwaldzkim we Wrocławiu.

Ponad miesiąc później spakowałem samsonite'a, podlałem kwiaty w naszym mieszkaniu na piętrze domu przy Olszewskiego. Napisałem kartkę dla żony, przeczytałem to, co napisałem. Chwilę później zgmiotłem ją i wrzuciłem do kosza na papier. Szybkim krokiem zszedłem do hondy i wstukałem w telefonie nazwę miejsca.

Zwierzyniec. Nigdy tam nie byłem, w ogóle nigdy nie byłem na Roztoczu.

Nuda autostrad, rozkosze starych rockowych ballad. Stacja benzynowa, kanapka i papieros. Pięć godzin później roztoczańska kraina powitała mnie delikatnie pofalowanymi polami, niczym masy ciasta, oraz październikowym lasem we wszystkich kolorach.

Dotarłem do Zwierzyńca. Z perspektywy samochodu trudno było mi nazwać go miastem. Minąłem jakiś pasaż handlowy, ogromny park z wodą, który z pewnością miałem jeszcze obejrzeć, a potem stojące w szeregu budynki. Moim celem był jeden z ostatnich domów w granicach miasta, tak przynajmniej wskazywała mapa. Dalej zaczynał się już słynny las. Minęło mnie kilkoro rowerzystów; ich sprzęt wyglądał na droższy od mojej hondy.

Przede mną pojawiło się srebrzystoszare ogrodzenie, a następnie szutrowy wjazd. Kiedy ukazał mi się dom, ukryty dotąd za rzędem starych olch, pomyślałem, że to raczej domostwo albo nawet coś w rodzaju pałacu – przynajmniej takim mianem określano by to w serwisach sprzedaży nieruchomości.

Patrzyłem na rozległy drewniany budynek, przywodzący na myśl architekturę zakopiańską. Miał dwa skrzydła, potężny ganek, dwupłatkowe drzwi wejściowe. Znajdujący się przed nim placyk był wyżwirowany. Z bliska dostrzegłem, że jedno skrzydło domu jest starsze; ciemne drewno nie wyglądało zdrowo. Drugie, wyremontowane, pachniało pieniędzmi. Z pewnością było to jedno z ładniejszych miejsc, w jakich miałem okazję się zatrzymać w trakcie mojej praktyki zawodowej.

Zaparkowałem hondę. Pordzewiałe podwozie i odrapany zderzak raczej nie oznajmiały, że mi się powodzi (i z pewnością prezentowały się gorzej niż strona internetowa, którą pomogła mi skonstruować pewna zdolna studentka). Poprawiłem koszulę i wysiadłem. W powietrzu czuć było chłód – wilgoć drzew, ziemi, wody. Ze znajdującej się po prawej stronie domu szopy – a przynajmniej czegoś, co na nią wyglądało – wyszedł młody mężczyzna w kurtce myśliwskiej. Oparł się o łopatę i patrzył na mnie. Bez słowa. Czarne jak smoła włosy, ciemny wąs, do tego zarost. Nie podchodził, tylko się przyglądał. Kiwnąłem mu głową, nie zareagował.

Zagapiłem się, nie bardzo wiedząc, co zrobić, gdy otworzyły się drzwi domu.

– Dzień dobry.

Beata Gajus schodziła w moim kierunku. Prezentowała się tak, jak sobie ją wyobrażałem. Zadbana kobieta z włosami przyciętymi na wysokości szyi, w stylu fryzjer dwa razy w miesiącu. Rdzawy sweter, bawełniana spódnica.

– Szczepan Turski – oznajmiłem dla pewności.

– Oczywiście. Czekaliśmy na pana.

Pierwsze spojrzenie na człowieka. Większość osób sądzi, że charakter widać na twarzy, brzmi to niczym stara ludowa mądrość. Co myśleli, patrząc na mnie? Wzrost nieco ponad metr osiemdziesiąt. Budowa raczej sportowa – czyli bez brzuszka. Koszula prawie zawsze trochę wymięta. Włosy w połowie czarne, w połowie siwe, obcinam je na krótko. Kilkundniowy zarost, bo całkiem gładka twarz pachnie dla mnie perwersją, a psycholog z brodą to klisza nad klisze.

Jednym słowem, jestem przeciętny, podobno błękitne oczy ratują sytuację. Podobno. Mam czterdzieści pięć lat i nie wyglądam na więcej niż pięćdziesiąt, a przynajmniej żyję w takim przekonaniu.

– Nie ma pan bagażu – zauważyła.

– W samochodzie – objaśniłem.

Podeszła bliżej i podała mi rękę. Sucha dłoń, mocny uścisk. Odwzajemniłem go. Znowu pierwsze wrażenie. Wbrew stereotypom kobiety również zwracają na to uwagę. Lepiej mocniej niż słabiej; lepiej zmiażdżyć rękę niż podać rybę.

– Niech pan od razu weźmie bagaż.

Wyjąłem z bagażnika moją walizeczkę „siedmiodniówkę”. Wszystko sobie wyliczyłem – za duża wywoływałyby uniesienie brwi, a jednak muszę jakoś wyglądać, wprowadzając się do czyjegoś domu na parę dni. Do czyjegoś domu i do czyjegoś życia. Pociągnąłem za sobą zgrabnego samsonite’a na kółkach i podążyłem za gospodynią w kierunku domu. Zerknąłem w prawo – mężczyzna w kurtce myśliwskiej już zniknął.

Wnętrze nieco rozczarowywało. Spodziewałbym się tu raczej schodów w stylu *Przeminęło z wiatrem* albo *Wojny i pokoju*, tymczasem przechodziłem przez wielką sień, w której na stałe zagościł zapach psa. Wielki owczarek podhalański zawarczał na mnie z legowiska („Pucek!”, przywołała go do porządku gospodyni), następnie weszliśmy do kuchni. Równie wiekowej jak wszystko, co widziałem do tej pory.

Kobieta jakby czytała mi w myślach.

– Potrzeba tu remontu. Namawiam męża, ale... – Urwała.

– Bardzo mi się podoba.

– Czego się pan napije? Kawy, herbaty?

– Może być czarna kawa.

Obserwowałem, jak podchodzi do dużego srebrnego ekspresu. Oszczędne, wyważone ruchy. Wydawało mi się, że nie ma w nich nic zbędnego. Usiadłem przy zarysowanym stole ze śladami dziecięcej kredki. Wryła się głęboko w blat. Wdychałem zapach drewna.

Nie okłamałem gospodyni. Naprawdę pasował mi ten klimat. Starość. Odtrutka na białe ściany, w których kiedyś przyszło mi pracować. Na smutne stare ławki w ciągnących się korytarzach, szare drzwi z tabliczkami oraz papierowe wywieszki. Na zapach desperacji i smutku.

Zrobiła mi kawy. Pociągnąłem łyk; była dobra, aromatyczna. Nie podchodziła chemią jak kawa ze stacji benzynowej, którą piłem po drodze.

– Pewnie pan jest ciekawy, jak na pana trafiłam?

– Dosyć.

Parsknęła śmiechem.

– Dosyć... Teraz wszędzie robią badania opinii.

– Jestem w niszy. Przypuszczam, że oglądała pani mój webinar.

– Niezupełnie... – Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. – Ale tak, rzeczywiście to sobie obejrzałam. Jak pan to wydedukował?

– Zadzwoiła do mnie pani dzień po. Przekonałem nim panią?

– Powiedzieć panu prawdę?

Próbowałem ją wyczuć i robiłem to ze względów profesjonalnych. Z początku wydawała mi się zimna, ale teraz, kiedy skoncentrowała na mnie swoją uwagę... Są takie kobiety. Uważasz je za zimne, drażniące, władcze. Nie podobają ci się. Dopóki na ciebie nie spojrzą i się tobą nie zainteresują. Wtedy zmienia się optyka.

– Staram się nie działać w kłamstwie – odparłem.

– Na początku wydawał mi się pan zbyt autorytarny. I się pan powtarzał. Zrobiłam sobie przerwę na herbatę, wróciłam, a pan dalej swoje – zaśmiała się. – Ale potem, im dłużej pana słuchałam, jakoś zaczął pan do mnie przemawiać. Zaciekawiać swoim uporem i konsekwencją. Więc zrobiłam to, co każdy teraz robi.

– Mianowicie?

– Sprawdziłam pana.

– No i co pani wykryła?

– Zaskakująco niewiele.

– Bo niewieloma rzeczami się obecnie zajmuję. Właściwie tylko interwencjami.

– Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami. Tysiąc przyczyn i żadnej. Tak czy siak, nie miałem obowiązku się zwierzać.

– Przepraszam, może nie powinnam o to pytać – zreflektowała się.

– Chyba po prostu to wydaje mi się właściwe.

– Nie prowadzi pan praktyki...

– Nie. Napisałem książkę i jeżdżę. – Uśmiechnąłem się. – Gadam do komputera, jak pani sama słyszała. Choć z pewnością to nie jest moja specjalność. Prawdę powiedziawszy, obawiałem się, że mogę sobie tym zaszkodzić. Gdyby chciała pani znać prawdę, to boję się internetu.

– Czego konkretnie?

– Że się ośmieszę.

Znowu się zaśmiała. Dopiliśmy kawę.

– Pewnie chce pan zobaczyć swój pokój? – zapytała.

– Bardziej, niż sądziłem.

– Dom od pokoleń należy do rodziny męża.

– Aha.

– Oczywiście się sypie, a Jacek niezbyt radzi sobie z remontami. Jest bardzo zajęty, no i oczywiście koszty są ogromne.

– Rozumiem.

– Nie jestem pewna. Ale proszę za mną, a być może pan zrozumie.

Zrobiłem, jak poprosiła. Długi korytarz na piętrze prowadził do wielu drzwi. Powiodła mnie do pokoju na samym skraju. Niskie łóżko, stolik, skos.

– Czy odpowiada panu?

– Bardziej niż jakikolwiek hotel.

– Cieszę się.

Usiadła na fotelu.

– Więc jak pana nazwiemy? To znaczy...

Kiwnąłem głową na znak zrozumienia.

– Jedną z opcji jest „wujek”, dzieci znają tę formę, ale to zależy od obyczaju domu. Zrobmy tak, żeby wyszło naturalnie. Może być również po imieniu, jeśli pani woli.

– Dowolnie. Michał i tak mówi do większości dorosłych po imieniu. No, tak ma.

– To nic złego, zwłaszcza w tym wieku.

– Może i my przejdziemy na ty?

– Zatem: Szczepan – uśmiechnąłem się. – Nic nie poradzę, że takie imię, czasem dzieci się śmieją.

– Beata. – Wyciągnęła rękę. – Studiowałam twoją stronę, ale proszę, przypomnij mi, jakie są zasady.

– Przede wszystkim patrzę na to, co robicie, odprowadzam go razem z wami do szkoły... Bawię się z nim. Uczestniczę w waszym życiu.

– Mąż rzadko bywa w domu. Pracuje w parku narodowym.

– Rozumiem.

– Jest bardzo zajęty.

– Ale znajdzie dla nas choć trochę czasu? To istotne.

– Postaram się.

Pokiwałem głową. Przez chwilę nad czymś się zastanawiała.

– Ja cię sprawdzałam – powiedziała. – A czy ty nas sprawdzałeś?

– Nie. Im mniej wiem, tym łatwiej mi jest zacząć pracę.

- Nie byłś ciekaw swoich...
- Klientów – uzupełniłem. – Przyjechałem, żeby pomóc dziecku...
- A nie jego rodzicom, tak?
- Właściwie i to, i to.

Zostawiłem jej przestrzeń. Miałem nadzieję, że sama to skomentuje. Zrobiła to, ale w zaskakujący sposób.

- Mąż nie tylko pracuje w parku. Jest jego dyrektorem.

Znowu nie wiedziałem, co powiedzieć. Do tej pory nie wiem, czy to stanowisko to powód do dumy, czy dowód na posiadanie układów.

- Gratuluję.

Zachnęła się.

– Nie mówię tego po to, żeby się chwalić. Jest dość znany, jak cała nasza rodzina. Uprzedzam, skoro będziesz z Michałem.

– Dziękuję za wprowadzenie. Oczywiście, każdy ci powie, że to ma wpływ. Rodzina, otoczenie chłopca. Ale ja będę tu przez parę dni. Chcę pomóc dziecku i wam. Nie oferuję psychoterapii, mam nadzieję, że to jest jasne.

– Wiem. Dobrze. – Odniosłem wrażenie, że chce już wstać. – Jeśli potrzebujesz się odświeżyć, to łazienka jest na końcu korytarza. Niewielka, ale tylko do twojej dyspozycji. I nie zdziw się, w domu jest jeszcze parę osób.

- Z pewnością wszystkich poznam.

– Tak, myślę, że tak – odparła w zamyśleniu. – Zrobię dziś kolację. To chyba będzie właściwe?

- Nie zaszkodzi.

- A czy przedstawić ci już Michała? Czy zaczekamy do posiłku?

- Chętnie zobaczę go już teraz.

Zdążyłem się zorientować, że zakwaterowano mnie w najstarszej części domu, w tym zbutwiałym skrzydle. Nie miałem nic przeciwko. Musieliśmy przejść przez hol i czułem się jak bohater powieści Dickensa, kiedy tak maszerowaliśmy. Jakbym przeskoczył kilka klas społecznych.

– Nasze pokoje są w tej części – wyjaśniła. – Jest wygodniej. Czy chciałbyś obejrzeć...

- Nie trzeba. Nie przyjechałem z pisma o wystroju wnętrza.

Pokiwała głową, ale uśmiechy się już skończyły; może przestałem być zabawny. Czułem również jej napięcie. Nie przyśpieszałem. Czekałem, zdając sobie sprawę, że dotarliśmy na miejsce. Pod zamknięte drzwi. Zamknięte białe drzwi w wielkim, starym domu.

– Beata. – Zatrzymałem się. – Przyjechałem tu, żeby pomóc, prawda?

– Tak.

– Możesz już mnie poznać z Michałem.

Weszła do pokoju. Podążyłem za nią. Było to pomieszczenie pełne zabawek. Walały się wszędzie. Przyglądałem się temu przez parę sekund. Sporo rzeczy wydawało mi się zniszczonych, poszarpanych, potraktowanych z zaskakującą siłą.

– Nie nadążamy ze sprzątaniami i wymianami na nowe – powiedziała.

Pośrodku pokoju siedział chłopiec i układał starą blaszaną kolejkę, jedną z tych, które pamiętają jeszcze czasy naszych ojców. Był ubrany w czerwone spodnie dresowe i zielony sweter. Miał rudoblond loczki, które spadały mu na niebieskie oczy. Podniósł je na mnie.

– To jest nasz Michał – powiedziała Beata.

2

Wieczorem wyczekiwałem już kolacji. Widziałem wiele par butów. Przez okno dostrzegłem też jakieś samochody, choć gospodarza jeszcze mi nie przedstawiono. Kiedy się odświeżyłem i zszedłem do kuchni, stół był już nakryty – wypełniony plackami ziemniaczanymi, daniem dzieciństwa. Obok miseczki z tzatziki domowej roboty.

Zająłem miejsce. Przy stole siedziała jakaś parka. Nie okazali mi specjalnego zainteresowania albo bardzo dobrze udawali. Patrzyli w ekran poobijanego laptopa. Mężczyzna z ciemnym, niemal granatowym zarostem obrzucił mnie co prawda spojrzeniem, ale zaraz wrócił do objaśniania czegoś swojej partnerce, kobiecie w bojówkach i polarowej bluzie.

Pokazywał jej coś na komputerze; obydwójce bardzo zajęci, jak gdyby byli tu w pracy. Sam występowałem chyba incognito, lecz w ogóle mi to nie przeszkadzało. W rogu stołu przysiadł z kolei milkliwy mężczyzna, ten, który obserwował mnie, kiedy przyjechałem, a obok niego także kobieta wyglądająca na starszą od innych. Jej podobieństwa do gospodyni nie odnotowałem. Była ubrana cała na czarno, elementy jej garderoby w nieokreślony sposób wyrażały swoją cenę.

Siedziałem na rzeźbionym, polerowanym krześle, czekając, aż ktoś da sygnał. Czy mężczyzna z zarostem był tutaj panem domu? Chyba nie. Nie tylko wspólnym laptopem, lecz także mową ciała wydawał się powiązany z kobietą w bojówkach.

Jak Beata Gajus zamierzała mnie wprowadzić? Przedstawiła mi chłopca, a potem pozwoliła obserwować ich wspólną zabawę. Następnie zaczęła czytać Michałowi na dobranoc. O tej porze dnia byłem gotowy przyjąć wszystko, bylebyśmy tylko zaczęli jeść, bo od kanapki z serem na stacji pod Kielcami minęły godziny. Czułem ogromny głód.

Beata usiadła. Interesujące, że na ten sygnał rozmowy powoli ustały. Krótko ostrzyżony mężczyzna oderwał wzrok od komputera i tym razem poświęcił mi dłuższą chwilę. Miał intensywnie niebieskie oczy, które często przecierał, jakby był zmęczony, a może nerwowy.

– Chyba powinnam wam przedstawić Szczepana – powiedziała Beata.

Otrzymałem kiwnięcia głowami.

– To jest moja... mama mojego męża. – Wskazała na panią w czarnym stroju. – A to mój brat Andrzej.

To był ten cichy młody mężczyzna, który obserwował mnie na podwórzu.

– Bardzo mi miło.

– To moi przyjaciele, Filip i Kasia Matwiejewscy. A Szczepan jest psychologiem. I przyjechał tutaj na tygodniową interwencję.

Cisza.

– Proszę, nie mówcie tego w obecności Michała, dobrze?

Chyba jednak odnotowałem pewne zaskoczenie. Nie mogę powiedzieć, by takie chwile nie sprawiały mi drobnej przyjemności. Tak jakbym nagle zdjął maskę i z Clarka Kenta, przeciętniaka w szarej koszuli, przeobraził się w Supermana.

No ale to zainteresowanie nigdy nie trwało długo.

– Co pan będzie robił? – zapytała Kasia Matwiejewska.

– Będzie rozmawiał z Michałem – odpowiedziała za mnie Beata.

Nie poprawiłem jej, że nie na tym polega moja praca. Nie będę rozmawiał z Michałem, będę rozmawiał z wami – tak brzmiałaby prawidłowa odpowiedź. A jeszcze bardziej prawidłowa: stworzę przestrzeń do komunikacji i pokażę narzędzia, które pomogą w przeżywaniu złości u chłopca. Będę obserwował, a poprzez rozmowę oraz sprawdzone techniki interweniowałem, kiedy pojawią się trudności.

Nie przypuszczałem, aby chcieli tego wszystkiego słuchać, więc tylko pokiwałem głową.

– Dobrze – odezwał się z kolei Filip. – Czy w takim razie nie powinniśmy się lepiej poznać?

Świdrował mnie wzrokiem, tak jak wcześniej komputer i notatki.

– Tak. Przeszliśmy na ty, żeby było bardziej naturalnie – powiedziała Beata.

– Szczepan. Sensownych skrótów brak – oświadczyłem i choć to nie było bardzo śmieszne, nad stołem rozszedł się szmer.

Z moich obserwacji wynikało, że ludzie chętniej się śmieją, kiedy jest napięcie. Zawodowy komik powinien zawsze wyobrażać sobie, że występuje przed nową klasą pierwszego września. Świeże audytorium, które się nawzajem nie zna – przewidywalną reakcją będzie śmiech.

– Na czym właściwie polega twoja praca? – zainteresowała się Kasia. – Czy jesteś takim wujkiem, który niby zagaduje, a tak naprawdę analizuje pacjenta na

fotelu?

– Obawiam się, że zupełnie nie.

Zapadła krótka cisza. Pomyślałem, że tak łatwo się nie wyłgam.

– Jak wspomniała Beata, będę uczestniczył w ich życiu przez krótką chwilę.

– Co to konkretnie oznacza?

– Przejdę się z Michałem na plac zabaw, zjemy wspólnie posiłek, pobawimy się, porozmawiamy i nawiążemy kontakt... Równie ważna, jeśli nie najważniejsza, jest praca z rodzicami.

– Czyli?

Odrobinę niezręczna sytuacja, do której trochę przywykłem, ale i tak wolałem sprawdzić, czy nie wywoła dyskomfortu. Wydawało mi się, że Beata lekko kiwnęła mi głową.

– Obserwuję reakcje dziecka i relację z rodzicami i potem doradzam pewne techniki.

– Dotyczące? – dociekał Filip.

– Gniewu, złości, rzeczy, z którymi boryka się dziecko.

– Co potem?

– Rekomenduję pewne działania, a potem sprawdzamy, czy przynoszą efekty.

– A przynoszą?

– Zazwyczaj tak.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Zaklinacz dzieci.

– Nie obrażam się na to określenie.

– No pewnie, brzmi lepiej niż treser – dodała, a potem wytknęła: – Powiedziałeś „zazwyczaj”. Skąd przekonanie, że twoje metody sprawdzą się w tym przypadku?

Wzruszyłem ramionami.

– Dzieci się złością, nie ma w tym nic dziwnego ani nic złego. To normalne, dlatego istnieją pewne techniki.

– Czy wszystkie dzieci się złością? – dopytał Filip.

Zacząłem już się lekko męczyć.

– Z mojego doświadczenia wynika, że wszystkie, choć oczywiście w różnym stopniu, tak jak różne są temperamenty...

– Jako naukowiec powinienem chyba zapytać o źródła.

– Powiedzmy, że ewolucyjne. Mały człowiek nie potrafi nazywać tego, co się z nim dzieje; nie umie wyrazić złości w oczekiwany przez dorosłych sposób. Dopiero z czasem uczy się samoregulacji i łatwiej jest mu się komunikować oraz wyrażać złość w konstruktywny sposób. Bada również granice.

– A jeśli dominuje?

– Jeśli usiłuje zdominować przestrzeń dookoła siebie, to jest to raczej efekt uboczny, a nie intencja.

– Czy nie jest pan zbyt surowy? – zapytała starsza kobieta, która przedstawiła mi się jako Elżbieta Gajus. Może z racji przewagi wieku, wyraźnie nie chciała przejść na ty. Uszanowałem to.

– A czy tak brzmię?

– A co, jeśli jednak źródła złości są gdzie indziej? – wtrącił się Filip, przeszywając mnie spojrzeniem.

– To znaczy?

– Sugerujesz, że są samoistne.

– Nie... – usiłowałem odpowiedzieć, ale on już podniósł głos.

– Tymczasem z reguły istnieje konkretna przyczyna, czyż nie? Za wszystkim stoi jakaś racja. Złość ma uzasadnienie. I nie każda jest czymś złym.

– To możliwe – odparłem uprzejmie.

– W rodzinie są urazy...

– W każdej są – wszedłem mu w słowo.

Rozmowa zaczęła mnie już drażnić i wolałem, żeby wszyscy zajęli się jedzeniem. Zapadła krótka cisza i miałem nadzieję na koniec pytań – jak to zwykle bywa, nieuzasadnioną.

– Dobrze – podjęła Kasia. – Czy zatem każde dziecko da się z tego wyleczyć?

– Wierzę, że tak.

– A jeśli złość jest odpowiedzialna na przykład za przestępstwa...?

– Nie jestem kryminologiem, ale to znacznie bardziej złożone.

– Jeśli twoje metody działają – ciągnęła swoje – to moglibyśmy się całkowicie pozbyć złości ze społeczeństwa, być może pozbyć się części przestępstw. Brzmi jak idylla, prawda?

– Bardziej utopia. To nie jest takie proste; chciałbym, żeby było, ale...

– Dość. – Beata Gajus stanowczo, mało uprzejmie weszła mi w słowo. Ale trochę też ratowała mi skórę. – Przepytyujecie Szczepana jak gestapo.

On przecież z uprzejmości niewiele mówi oraz dlatego, że niewiele może. Nie mieliście do czynienia z psychologami?

Czułem się jak jakieś budzące zainteresowanie zwierzątko. Nie dzikie, raczej takie z zoo. Dość egzotyczne, ale w gruncie rzeczy rozczarowujące i szybko po zobaczeniu wywołujące nudę. To było nawet dość zabawne.

– W porządku – powiedziałem. – Nie mam problemu z omawianiem mojej pracy, o ile rozmowy nie dotyczą konkretnych przypadków.

Milczenie.

– Powiedźcie lepiej coś o sobie – dodałem.

– Kasia i Filip badają strumienie – odparła Beata Gajus. – Kasia to jedna z moich najstarszych koleżanek, prowadzą analizę...

– Masz na myśli: najstarsza stażem...

– Tak, kochana, przepraszam. I będą u nas mieszkać jeszcze przez jakiś czas. Całkiem niepotrzebnie skinąłem głową.

– Jeszcze przez jakiś czas? – zainteresowała się Elżbieta Gajus. – Mogłabyś przynajmniej dać jakieś ramy, moja droga.

Zerknąłem na obecnych: Filip Matwiejewski nie zareagował, ale Kasia się zmieszała. Spojrzała nieco bezradnie na Beatę.

– Może jednak robimy jakiś kłopot...

– Nie robicie. Mój dom jest waszym domem.

Kasia zwróciła się do pani Gajus:

– Myślałam, że pani wie.

– Nie wiedziałam, ale to oczywiście nie problem. Po prostu lepiej bym się przygotowała. Pokoje...

– Elu, wszystkiego dopilnowałam. Kasia i Filip zostaną w lewym skrzydle. Tam jest teraz najcieplej.

Elżbieta Gajus trzymała fason, ale na pewno nie była zadowolona. Mierzyły się spojrzeniem. Starcie totalne skrzyżowane z grecką tragedią; walka, którą matka przegrywała w dziewięćdziesięciu procentach przypadków. Bo gdyby świekra wygrała z synową – a takie przypadki też widywałem – mogłoby to oznaczać faktyczny koniec małżeństwa.

Na oko wydawało się jednak niemożliwe, żeby Beata Gajus przegrała walkę.

Poczułem impuls, aby nieco oczyścić atmosferę.

– Badania, tak? Czym konkretnie się zajmujecie? – zwróciłem się do Matwiejewskich. – Czuję, że już obnażyłem swoje wnętrze, a sam nie wiem o was niczego.

– Drzewa. Grzyby. Woda. Nic ciekawego – uśmiechnęła się Kasia. – Jesteśmy biologami. Prowadzimy badania w parku, więc moglibyśmy zatrzymać się w hotelu...

– To absolutnie wykluczone – rzekła Beata.

– Kochana jesteś – powiedziała do niej Kasia, a potem zwróciła się do mnie: – Studiowaliśmy we trójkę.

– A teraz oni robią wspaniałą karierę, ja zaś zajmuję się starym domem – powiedziała Beata.

Intuicyjnie i trochę wbrew sobie zerknąłem na panią Gajus. Nie wyglądała na zadowoloną.

– Prawdopodobnie to, co robisz, jest mniej frustrujące – powiedziała biolożka. – My głównie grzebiemy w ziemi, w bagnach. Badamy porosty na olchach...

– To pewien fenomen, mamy już sto siedem odmian – dodał Filip.

– Zgadza się. Naukowe małżeństwo – uśmiechnęła się Kasia jakby przepaszająco. – Cały dzień razem i zasypiamy z notatkami pod poduszką. Czego chcieć więcej?

– Wyników – podsunął jej mąż.

Uśmiechnąłem się uprzejmie, choć wydawało mi się, że mówi zupełnie serio. Zapadła krótka cisza i uświadomiłem sobie, że jedyną osobą, która do tej pory nie powiedziała ani słowa, jest mężczyzna, który mnie przywitał. Andrzej. Przyglądałem mu się. Czarne wąsy i nieco zapuszczone włosy nie zdołały zatuszować młodego wieku – wydawał się wyraźnie młodszy od Beaty – oraz podobieństwa do siostry.

Zaproponowałem wino Elżbiecie Gajus, aby pokazać, że nie jestem tu niczym sojusznikiem. Że jestem Szwajcarią i będę nią przez cały tydzień – a potem wyjadę jak cień, miraż, jakbym nigdy się nie wydarzył. Bo też i moja podmiotowość nie była tutaj ważna, miałem być niewidzialną ręką, która pomoże.

Nie zasługiwałem na więcej.

– Bardzo proszę – powiedziała Elżbieta, kiedy podsunąłem butelkę.

Nalałem jej, a potem i pozostałym. Rozmowa inicjacyjna została zakończona, zaczęliśmy jeść, konwersacje zeszyły na niższy rejestr.

Jedzenie było smaczne, ale myśli krążyły mi pod czaszką zdecydowanie zbyt szybko jak na tę porę dnia. Brytyjskie określenie „*elephant in the room*”, znacie ten termin? Pasowałoby do sytuacji jak ulał.

Słoniem był tu oczywiście pan Gajus. Dyrektor. Dlaczego o nim nie mówiono? Dlaczego w tym domu goście byli bardziej rozgadani niż gospodarze? Do moich zadań nie należała analiza otoczenia. Nie powiedziałem jednak całej prawdy swoim rozmówcom. W idealnym świecie każdy przypadek dziecka wyglądałby tak samo. Problem w tym, że czasem trzeba było najpierw rozpracować dom. I nie było innego wyjścia.

3

Ula Radziwiłowicz wyszła na papierosa. Było późne popołudnie. Jesień, ukochana pora roku. Kolorowe drzewa i wreszcie spokój. Szkoda, że nie potrafiła osiągnąć spokoju duszy, zwłaszcza po ostatniej rozmowie z Danielem.

Kury, psy, koty, one zwykle przywracały jej równowagę. Weekend był ciepły, pewnie jeden z ostatnich w tym roku. Jej zwierzaki również to wyczuwały, psy wylegiwały się w słońcu, jakby wiedziały, że niedługo nadejdą listopadowe ciemności, choć oziębic się miało dopiero w okolicach Zaduszek.

Wyobraziła sobie zwierzyniecki cmentarz. Wtedy naprawdę zapełniał się ludźmi. Ten spęd z okazji Święta Zmarłych przywodził jej na myśl słynny rysunek Andrzeja Mleczki.

Jej zmarli leżeli gdzie indziej, aż na ziemiach zwanych Odzyskanymi. Będzie więc traktowała krewnych Daniela jak swoich, nawet jeśli jej mąż zachowywał się jak ostatni palant. Jeszcze raz wspomniała poranną rozmowę. Wkurzył ją, nic go nie tłumaczyło.

Dopaliła do końca i wróciła do domu. Zapach cynamonu, masła i pieczonych jabłek. Szarlotki, którą piekła Kama. Mała albo zaczynała się rozkręcać, albo to była chwilowa fantazja. Tak czy siak, korzystał na tym cały dom. Minus to towarzysząca pieczeniu muzyka. Zbyt szybka i zbyt atakująca ucho.

– Czy tata przyjdzie? – zapytała dziewczyna.

– Może za chwilę.

Kama wyglądała, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale spuściła wzrok. Ula spoglądała na nią z pewną dumą. Z dwóch takich dziwadełek jak ona i Daniel powstała cudownie zorganizowana i zdyscyplinowana dwunastolatka.

– Może? – dopowiedziała Kama.

– A może sama go namówisz?

Kama się wyprostowała.

– Znowu się pokłóciliście? – Jej wciąż dziecięca twarz wyglądała teraz dojrzej.

– Nie.

Córka podążyła za nią wzrokiem – oczami Daniela. Miała jego spojrzenie, tak często ironiczne. Właśnie to spojrzenie sprowokowało dzisiaj Ulę do kłótni.

Jej córka nastolatka. Najpierw wyraźne zmiany fizyczne. Teraz zaczynała im również matkować.

– Dobrze, już dobrze, kochanie. Pójdę się pogodzić z twoim ojcem.

– Miałaś tak nie mówić.

– Jak?

– Z „twoim”. To ty z nim wzięłaś ślub.

Mała nie przestawała jej zaskakiwać. Jaki był limit takich przemyśleń w jej wieku? Co będzie dalej?

– Przepraszam, skarbie – powiedziała i podeszła do córki. – Wiesz, kochanie, że nigdy, przenigdy tego nie żałowałam.

Kama obróciła się jednak plecami, odepchnęła jej dłoń. To wyglądało na impuls, i wydawało się, że obie są nim zaskoczone.

– Kamiś...

– Przepraszam, mamó. Nie mam nastroju – powiedziała córka i poczerwieniała.

– Nastroju? Dziecko, ile ty masz lat? Poza tym od miesięcy się do nas nie przytulasz!

– Chyba nie jestem ostatnio w formie – skwitowała Kama. – Ale nie opowiadaj tacie – dodała z bladym uśmiechem.

Ula opuściła kuchnię i przeszła przez korytarz. Pokój Daniela był zupełnie inny niż reszta domu. Tak długo próbowała go ocieplić, ale jej się nie udało. Przypominał kryptę. Gramofon z muzyką Wagnera, Béli Bartóka i Bacha. I jej mąż, skupiony na pracy, której i tak nie zamierzał prezentować światu.

Taką podjął decyzję, poinformował ją o tym.

Siedział na krześle. Podeszła i usiadła mu na wychudłych kolanach. Ona przeciwnie, przybrała na wadze na wakacjach nad Soliną w sierpniu i nie potrafiła zbić tych paru kilogramów. Choć to było bez znaczenia. Od dwunastu lat nic nie czuł, nawet gdyby na kolanach usiadł mu łoś.

Nie ważyła tyle co łoś.

– Jadłeś cokolwiek?

– A ty? – odparował.

Dwie piszące osoby w domu. Obiadem zajmowała się córka nastolatka.

– Jak twoje pisanie?

Obróciła twarz.

– Tworzysz już kolejny... – podjął.

– Co?

– Odcinek?
– Daniel, to nie są odcinki. Każdy jest odrębną historią. Nie denerwuj mnie.
– Szturchnęła go w ramię.
– Wiem, wiem. Przepraszam.
– Nie przepraszaj. Kto kocha, ten nie przeprosza.
– Nie cytuj mi kawałków z *Love Story*.
– Dobrze.
– Tak wyglądałoby moje piekło. Wieczne katowanie najbardziej przebojowymi i ckliwymi fragmentami utworów – doprecyzował. – No to jak ta twoja odrębna historia?

– Dobrze.
– Tylko dobrze? A gdzie zarumienione policzki, ekscytacja, szalona energia...?

Nie odpowiedziała. Przyglądał jej się. Przejrzał mnie – dotarło to do niej na sekundę, zanim wypowiedział te słowa.

– Nie piszesz, prawda? – powiedział.
– Skąd takie podejrzenie?!
– Jesteś osowiała i wyszłaś na papierosa.
– Wywąchałeś mnie?
– Tak. – A po chwili dodał z uśmiechem: – Nie, nie będę kłamał. Widziałem przez okno.

– Czyli podglądasz mnie, kochany?

Flirt z własnym mężem. Może to żalosne, cieszyła się jednak z każdego podobnego momentu. Nigdy nie wiedziała, kiedy nastąpi kolejny taki z Danielem. Od dwunastu lat nie było ich zbyt wiele. Lepiej zachować tę chwilę w pamięci. Miłą jesienną chwilę, niemal intymną.

– Kama upiekła szarlotkę – oznajmił Daniel.

– To też podpatrzyłeś?

– Superbohater kaleka? To akurat wyczułem.

– Nie jesteś kaleką.

– Niczym Daredevil straciłem jeden zmysł, inny mi się wyostrzył...

Daniel Radziwiłowicz. Doktor, były wykładowca. A gdyby został na uniwersytecie, pewnie profesor. Może już się uwstecznił, bo zauważyła, że od nadejścia platform z serialami, wbrew szumnym deklaracjom, radośnie dał się pochłonać popkulturze.

– Powracam do dzieciństwa – śmiał się. – Powracam na dobre.

Wstała.

– Idziesz już? – zapytał.

– A nie chcesz, żebym szła? – Obróciła się, celowo dość zmysłowym ruchem.

– Nigdy nie chcę.

Uśmiechnęła się i zamykając drzwi, rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie. Oczywiście udawali. Musiała poudawać, bo w jej głowie krążyły znacznie ciemniejsze myśli. Ale nie mogła się przed nim zdradzić. Nie przed Danielem Radziwiłowiczem, z którym była od piętnastu lat, przed którym nie miała tajemnic, a przynajmniej nie powinna mieć.

Nie mogła się zdradzić, bo nie wiedziała, czy potrafiłby to zrozumieć.

Przemknęła zimnym korytarzem prosto do swojego gabinetu. Oparła się plecami o ścianę. Zupełnie inny klimat niż u męża. Jasno i świeżo, Ula była osobą światła i powietrza. Potrzebowała jasności, nie lubiła wstawać po ciemku, słońce wyznaczało jej rytm dnia.

Rozejrzała się. W pokoju stała sofa, na której lubiła zalegiwać jak kot, kiedy nie szło jej pisanie. Poduszki, biurko zwiezione jeszcze z domu rodzinnego – antyk, z powyginanymi nogami. Malutkie porysowane biureczko, praktycznie dla dziecka, ledwo mieściło komputer, nie mówiąc o notatkach. Przy innym nie potrafiła jednak pracować. Poprzeczka pod blatem wytarła się od nóg, które na niej trzymała. Gdyby kiedykolwiek się wyprowadzali, wjechałoby na pakę w pierwszej kolejności.

Obok biurka stały półki z książkami: Christie, Sayers, Dashiell Hammett. Patricia Highsmith oraz Daphne du Maurier. Od lat już ich nie czytała, ale przypominały jej, dlaczego zaczęła robić to, co robiła. To znaczy co robiła wcześniej. Teraz potrzebowałaby prawdopodobnie Trumana Capote'a. Nie postawiłaby jednak na półce tego autora. Paranoicznie wydawało jej się, że wszystko ją zdradza przed Danielem.

Wiedziała, że nie zajrzy do gabinetu: szanował jej prywatność. To był jeden z fundamentów ich związku, nie musieli zamykać przed sobą drzwi na klucz, blokować telefonu i komputera...

Zabrała sweter z krzesła i wyszła. Na korytarzu narzuciła na siebie kurtkę podszywaną sztucznym futerkiem – od stawów Echo już ciągnęło, choć na jesień spuszczone z nich przecież wodę. Mimo to mogła się spodziewać wszystkiego, nie wiedziała też do końca, czego będzie szukać. Biblioteka nie dostarczyła jej zbyt wielu odpowiedzi.

Tak wiele razy umieszczała w książce nazwiska ofiar, ale w starciu z prawdziwą historią czuła się bezbronna.

Kama chyba dzisiaj nie wychodziła się szwendać po Zwierzyńcu. Kochana dziewczyna, chociaż ostatnio rzeczywiście przygaszona. Być może zajęta nauką? Zestresowana? Jeśli tak, to zdecydowanie za wcześnie. Kto się uczy w jej wieku?

Ula była leniuchem, książki zaczęła pisać trochę z konieczności, a trochę z przypadku. Jeśli więc dziewczyna odziedziczyła inteligencję i pracowitość, to tylko po Danielu...

Ksawery zaszczekał, kiedy wyszła. Nie chciała go brać ze sobą. Dlaczego? Instynktownie chciała tę pierwszą wycieczkę odbyć sama, jakby pies miał się okazać zdrajcą. Zresztą przecież to tylko głupi spacer.

– No dobra, kolego. – Zdjęła z haka smycz.

Pies zaszczekał.

– W lesie cię puszczę. A nad stawami na smyczy. Bo mogą być jacyś ludzie.

Chyba idiociała, ale tak właśnie sobie gadali. Ona mówiła, pies odpowiadał po swojemu.

Kama w końcu kiedyś wyjedzie. Pozostaną oni, starzejący się rodzice, w tym ona gadająca z własnym psem.

Dom przy Wachniewskiej stał na samym skraju lasu. W leśnym mieście, jakim był Zwierzyniec, budynek niemal pochłaniały drzewa. Ula minęła stawy Zwierzyńczyka; w lecie zazwyczaj kręciło się tu paru turystów – chyba spodziewali się większych wrażeń po jednej z najsłynniejszych „atrakcji” Zwierzyńca niż kilku parkowych bajerek. Maszerowała dalej zielonym szlakiem. W lesie zalegała mgła, ale droga była dobrze widoczna. Po kilkunastu minutach wyszła na skarpe.

Powyginane korzenie drzew, smutna plaża. Latem było tu pełno ludzi, taplających się w płytkich i wątpliwie czystych stawach. Namiastka plaży na roztoczańskich bagnach, które zalegały pod stawami, stanowiąc ich fundament, genezę i prawdziwą naturę. Teraz, po sezonie, była pustka. Ula przeszła kawałek drogi wzdłuż szosy; śliczne koniki polskie pasły się w gospodarstwie po prawej stronie. Następnie znowu wkroczyła w las.

Zmierzała w kierunku Florynki, zastanawiając się, czego w zasadzie szuka. Tamto zdarzyło się właśnie o tej porze roku. Chciała sobie wyobrazić siebie w innej, młodszej postaci, jako zdesperowaną, obawiającą się czegoś

dziewczyne. W przeciwieństwie do tego, co do tej pory pisała, tym razem musiała stworzyć coś realnego...

Ksawery zrobił się nagle niespokojny, zaczął warczeć, potem szczekać jak opętany, a na końcu wyć. Łeb kierował w głąb lasu. Między porośniętymi trawą i mchem niskimi wzgórzami, które mogły być domem krasnoludów i chochlików, wiły się liczne ścieżki. W lecie mchy kusiły, by choć na chwilę się na nich położyć. Dzisiaj zalegała tu mlecznobiała mgła i Ula musiała trzymać Ksawerego, żeby się nie wyrwał.

– Uspokój się – napomniała go. – Uspokój się, piesku.

Dalej wył. Jesienna ciemność. Patrzyła w las, ale nie widziała niczego poza gałęziami drzew.

– Ło! Ło! – hałasował dalej Ksawery.

– Piesku, proszę cię.

I wtedy sama to usłyszała. Łamana gałązka, szurgot liści. Ciężkie kroki. Zza drzew wyłonił się potężny mężczyzna. Zdawało jej się, że się zatrzymał i uklonił. Choć pies ostrzegał, była zbyt zaskoczona, by odpowiedzieć. Sparaliżowana, jakby oglądała siebie z boku.

Facet zmierzał w jej kierunku i mogła ocenić, że nie jest zjawą. Był wysoki i zwalisty. Miał na sobie beret, kurtkę myśliwską i wysokie gumofilce.

– Spacer? – zapytał.

– Tak. Można powiedzieć.

Spojrzała na Ksawerego, wpatrywał się w przybysza. Jak niepokojące było spotkanie człowieka w lesie. Zwykłego człowieka, którego na ulicy minęłoby się bez słowa. Czy miała zbyt bujną wyobraźnię? Ksawery z pewnością nie nadawał się na psa obronnego. Mimo niezłych rozmiarów patrzył na mężczyznę z ciekawością, jakby zamierzał się z nim przywitać.

Tak już kiedyś było. Zamknęła go w domu, Daniel był na rehabilitacji, a ona poprosiła pana złotą rączkę, by wpadł obejrzeć pralkę. W pewnym momencie zdała sobie sprawę z tego, że zostawiła w obejściu Ksawerego. Zaczęła panikować i wydzwaniać do tego człowieka. Oddzwonił po kilkunastu minutach. Początkowo przestraszył się wielkiego owczarka, ale kiedy został wylizany, bawili się w najlepsze – okazało się, że kochał psy.

Czyli nie mogła liczyć na Ksawerego. Ale mogła powiedzieć coś, co zabrzmiałoby ostrzegawczo.

– Ksawery!

Mężczyzna zupełnie się nie przestraszył.

– Nie wygląda pani na miejscową – rzekł.

– A jak wygląda ktoś miejscowy?

Nie skomentował.

– Przepraszam... jak pan...

– Mam na imię Jakub.

Bez nazwiska.

– Nie zrewanżuje się pani? – zapytał.

– Nie rozumiem.

– Z kim mam do czynienia?

Otworzyła usta, żeby się przedstawić, ale nagle zmieniła zdanie.

Nie miała żadnego obowiązku. To on podszedł do niej, zupełnie obcy człowiek, a przecież ewidentnie zainteresowany. Dlaczego? Nie zrobiłby tego na ulicy w Zwierzyńcu.

– Proszę mi wybaczyć, ale jestem na spacerze – powiedziała. – Chyba nie muszę się przedstawiać...

– Ale to ja chciałem panią poznać.

Przyglądała mu się, zastanawiając się nad kolejnymi krokami. Ciemny, choć przetykany siwizną zarost, barczysta sylwetka. No i fakt, że na Roztoczu tak czasem poznawało się ludzi. Po wakacjach świat tutaj niesamowicie się kurczył. Mieszkańcy chowali się w domach, lasy zdawały się większe, ujawniając nagą prawdę, że ludzi tutaj było w istocie niewiele – i niewiele znaczyli wobec przyrody.

– No to co pani tutaj robi? – zapytał niefrasobliwie.

– Jeszcze raz: nie muszę się tłumaczyć.

– Tak tylko pytam. Czy nie wolno? – zaśmiał się mężczyzna, jakby na potwierdzenie swojego tonu.

Wbrew jego lekkiemu brzmieniu odczuwała coraz większy lęk i osaczenie.

– Powinnam już iść i...

– Czego pani szukała – wszedł jej w słowo – w tych lasach?

– Spaceruję.

– To już słyszałem.

– Nie rozumiem...

Patrzył na nią w zamyśleniu.

– Ja panią widziałem – powiedział. – Na zdjęciu w gazecie.

– Naprawdę?

Ambiwalencja. Wciąż nie przywykła do tego, że ktoś może uważać ją za osobę publiczną. Pamiętać, że kiedyś pisali o niej w gazecie. To było dla innych, zdolniejszych, piękniejszych – albo w drugą stronę: dla tych, dla których to było szalenie ważne.

Nie przedstawiła się, ale Jakub i tak wiedział, kim jest. Powinna uważać na to, co robi. Przez popularność swoich książek straciła tę kojącą anonimowość.

– Muszę iść – powtórzyła to jak swoją mantrę, bo czuła się dziwnie nieswojo.

Drzewa chwiały się, choć nie było wiatru, świat falował... Co się z nią działo? Mężczyzna wciąż stał na ścieżce.

– Ksawery! – Puściła psa przodem.

Nawet się nie ruszył.

– Ale jeszcze pani przyjdzie, prawda? – odezwał się.

– Dlaczego? – Obróciła się, nieco wbrew sobie.

– Bo pani za nią podąża.

– Za kim?

Poczuła, że robi jej się gorąco.

– Przepraszam, kim pan jest? – A po chwili dodała: – Jak pan się nazywa?

– Jakub, już mówiłem.

– Ale nazwisko... – powiedziała cicho.

Obrócił się i chyba już jej nie usłyszał. Szelest nadeptywanych liści, a potem mężczyzna zniknął we mgle, z której wyszedł, i Ula nie była nawet pewna, w którym miejscu wszedł na ścieżkę w lesie.

Przez chwilę nie mogła się z tego otrząsnąć. W końcu zerknęła na zegarek. Wycieczka potoczyła się inaczej, niż zamierzała, chociaż osobliwie.

To tylko słowa: „Pani za nią podąża”. Mógł tak strzelić, mógł zaryzykować żart, a ona się złapała... Kto jednak żartuje w ten sposób? Kto wychodzi z lasu, żeby straszyć ludzi?

Dlaczego ujawnił, że ją kojarzy?

Zaczerpnęła tchu, a kiedy wypuściła powietrze, poczuła, że lęk wywołany nieoczekiwanym spotkaniem nieco zelżał. Nadszedł czas na powrót do Zwierzyńca. W Świetlicy rozpoczynały się próby i nie mogły się odbyć bez jednej z głównych dyrygentek. Ula ruszyła ścieżką wzdłuż szosy, wyszła z parku, minęła kilka domów, stary browar i kościół na wyspie.

Zwierzyniec, pół miasto, pół wieś, stawał się powoli miastem duchów, ale że było jeszcze dość ciepło, na ulice wyszło całkiem sporo „leniuchów” – tak ich

okrutnie nazywała w myślach. W rzeczywistości byli to zwykli pracownicy zjeżdżający z zagranicy, może ludzie żyjący z różnego rodzaju świadczeń. Lubili obsiadać szeroką aleję ciągnącą się wzdłuż jeziora.

– Hej – zaczepił ją jeden z nich, mężczyzna o czerwonej, ale pocziwej twarzy. – Dokąd się tak śpieszy?

Nie zareagowała. Nie byli groźni, już to wiedziała. Zalegali, licząc na to, że jeszcze znajdą jakichś turystów, chętnych, aby przegadać z nimi cały dzień lub tydzień. Ona miała inne plany.

Świetlica powstała dla dzieci. Dzieci były wszystkim i choćby dlatego, że Ula sama była matką, tak bardzo się w to zaangażowała. Stary budynek, należący do miasta, ale położony nieco dalej od parku i szlaków, czyli oczywistych atrakcji, stał kiedyś pusty.

Ula namówiła pewną radną, aby go wynajęła, a potem pomogła zdobyć środki. Oczywiście nie była w tym sama. Drewniany budynek, dawna wyłuszcarnia nasion, odżył. Zgodnie z przewidywaniami dzieciaki chciały tu przychodzić, z czasem zaczęli też bywać dorośli, żeby przetrwać czarne miesiące od września do kwietnia. Każdy coś przynosił: stare meble, składkowe jedzenie, pokierszowane gry planszowe... Zaczęły się odbywać koncerty, przedstawienia, wszystko zgodnie z tym, co kiedyś powiedział Daniel.

– Dajcie tym dzieciom szansę, a was zadziwią.

Przekroczyła dziedziniec, potem weszła przez drewnianą bramę. Zaletę bycia jedną z organizatorek stanowiło to, że mogła przychodzić z psem. Trzeba przyznać, że Ksawery nie nadużywał swoich przywilejów. Był niesamowicie posłuszny; kładł się po prostu w kącie. Upodobał sobie cień starej sofy przyniesionej na samym początku, a budził się, kiedy Ula chciała już iść, jakby kierowany niezależnym budzikiem.

Weszła do środka. Była spóźniona. Próba już się rozpoczęła. Usiadła z tyłu, pogłaskała łeb psa. Spoglądała na dzieci Zwierzyńca. Na swoją Kamę, która też miała tu rolę. Dzieci same napisały sztukę; to od początku do końca ich dzieło. Nawet kostiumy uszyły same. Dowód na to, że wystarczy dać im coś innego niż telefony, jakąś alternatywę dla internetu, a zaczną tworzyć i działać.

Scenę udekorowano drzewami, wodą i trawą. Bajka? Chyba nie całkiem, bo we współczesnych dekoracjach i ubraniach. Pojawiły się postaci. Dzieci grały dorosłych. Zawiązała się intryga. Ktoś kogoś kochał, ktoś nie kochał. To były klisze, z widocznymi inspiracjami kulturą masową, ale i tak super. Sącząc ciepłą herbatę z termosu, Ula zaczynała powoli usypiać.

Ocknęła się, kiedy coś nagle zwróciło jej uwagę – czy to możliwe, że intryga przeniknęła do jej drzemki? Główna bohaterka, dziewczyna o imieniu Nela, klasyczna heroina, szamotała się, biedna, skołowana i coraz bardziej smutna. Obiekt jej westchnień również miotał się po lasach, a na końcu dziewczyna została pchnięta przez postać w czarnym kapturze, która przewijała się już w sztuce, choć na początku wydawała się tylko elementem dekoracji.

Ula wgapiała się w ten obraz. To chyba kolejna fatamorgana, przecież dzieci nie mogły wiedzieć...

Zastygła i zeszywniała. Ręka bezwiednie opadła jej na pysk Ksawerego, aż pies ocknął się i parsknął. Nie zareagowała, wpatrując się w aktorów i przedstawienie. Odnosiła wrażenie, że dzieci odgrywają scenę z jej nienapisanej książki.

4

Tej nocy nie spałem dobrze. Wiatr chyba się uparł, żeby powyrywać świat z korzeniami. Zaatakował w nocy. Gałęzie spadały na dach z częstotliwością co pięć minut, więc leżałem na wznak, wpatrując się w belki. Mój wzrok zdążył się przyzwyczać do ciemności. Zastanawiałem się, czy stary dom wytrzyma. W przerwach, kiedy gałęzie i szyszki nie smagały dachu, słyszałem szum przywodzący na myśl oddech morza.

Naprawdę zdawało mi się, że jestem tam, na zewnątrz, że walczę, pod rękę z żoną i synem, potem z samą żoną, dopóki nie rozdzieliło nas kolejne potężne uderzenie wichury. Budziłem się. Gdybym nie był taki otępiały oraz zmęczony po podróży, już wcześniej wpadłbym na oczywiste rozwiązanie, co zrobić – a może to wiatr mnie zahipnotyzował? W każdym razie dopiero o czwartej wstałem i wyjąłem z plecaka słuchawki. Puściłem sobie gongi i zapadłem w głębszy sen.

Puk, puk! – rozbrzmiewało w mojej głowie. Puk! – jeszcze głośniej. Otworzyłem oczy. Gongi otumaniały mnie, zerknąłem na zegarek. Była już ósma.

Usiadłem na łóżku. Czyżbym naruszył domowe obyczaje? O której wstawał Michał? Zwykle sam wstaję o piątej, ósma była dla mnie prawie jak dwunasta.

Naciągnąłem spodnie. Przetarłem twarz, wstałem i otworzyłem drzwi.

W ciemnym korytarzu stał wysoki mężczyzna z bandaną na głowie. Nie widziałem go tu wcześniej. Broda, przystrzyżona, siwiejąca, ale oczy wesołe i młode.

– Jestem Jacek Gajus – przedstawił się.

– Och – potrafiłem tylko powiedzieć.

Patrzył na mnie z rozbawieniem.

– Czy powinienem mieć wyrzuty sumienia? – zapytał.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Żona zawsze mnie gani. Na co dzień wstaję po szóstej. Ósma to dla mnie południe.

– Podobnie jak dla mnie.

– Naprawdę?

– W nocy... nieważne – mruknąłem.

Paradoksalnie z każdą minutą czułem się coraz mniej przytomny.

– Nazywam się Szczepan Turski – dodałem dla pewności, myśląc, że może zaszła tu pomyłka.

– Wiem. I chciałem pana zaprosić na kawę, a potem...

– Tak?

– Na wycieczkę.

Wichury ustały, pozostawiły na zewnątrz zgliszcza. Zdawało się, że tysiące gałęzi leżą na podwórku. Pole bitwy. Podszedłem do odrapanej blaszanej beczki, którą nazywałem samochodem. Nic mu się nie stało. Auto, jak i pozostałe na podwórzu, było całe, choć obsypane małutkimi kawałkami drewna. Wyglądało to, jakby roztoczański Euros oszczędził blaszane twory, z taką energią produkowane przez człowieka.

Gajus chyba czytał mi w myślach, kierując się do białego pick-upa.

– Dobrze, że wszystkie są całe, prawda?

– Tak, ale wasz dach...

– Nic mu nie będzie. Już się przyzwyczailem. Zawsze w październiku tak dudni. A może z roku na rok coraz bardziej, cholera wie. W każdym razie zapraszam.

Otworzył mi drzwiczki jak szofer. Pan dyrektor. No więc wsiadłem.

Z szosy skręciliśmy w leśną drogę zagrodzoną szlabanem; Gajus otworzył go własnym kluczem. Rozglądałem się dookoła. Zapomniałem, tłuło mi się po głowie, zapomniałem, jak gęsty to był las. Wciąż było wcześniej, słońce, może z uwagi na jesienną porę, podświetlało stare buki...

– One rozmawiają ze sobą – powiedział.

– Wiem.

– Co jeszcze pan wie? – Skierował na mnie spojrzenie.

– Są jak ludzie, jak zwierzęta. Mają język, wzajemną komunikację. Dokąd właściwie jedziemy? – zapytałem.

– Do lasu – odparł, jakby to cokolwiek tłumaczyło. Potem nagle skręcił, wpasowując się w minimalną wyrwę. – A teraz wysiadamy.

Kiedy to zrobiliśmy, dostrzegłem ścieżkę; tak wąską, że wyglądała niemal na wstępny projekt, zaledwie concept ścieżki. Gajus podszedł z tyłu do pick-upa. Trochę się spodziewałem, że wyciągnie z niego strzelbę, a potem poprosi, abym szedł pierwszy.

On jednak wydobyl z bagaznika zgrabny czarny plecak, a potem wyjal z niego lornetke. Rowniez czarna i nowoczesna.

– Idziemy – rzekl.

Poniewaz troche mi ulzylo, zaryzykowałem pytanie.

– Dokad?

Zasmial sie, przechylajac glowe w bok, w sposob, ktory od razu wydal mi sie charakterystyczny.

– Ja na pana miejscu nigdzie bym nie szedl. Jest pan ufny?

– Jest pan moim gospodarzem.

– Po pierwsze – powiedzial – skoro jesteśmy juz we dwóch w lesie, a na szczescie niewiele osób teraz sie tu kręci, to moze przejdźmy na ty. Jacek.

Przełożył lornetkę do lewej dłoni i wysunął do przodu prawą.

– Szczepan.

Przypatrywał mi się uważnie.

– A po drugie, to Beata cię wynajęła.

Przełknąłem to określenie. Moze dlatego, ze bylo blizsze prawdy, niz chciałem przyznac.

– Nie wiedziałeś...? – zacząłem.

– Wiedziałem. Ale to była jej decyzja. Dobra, skoro juz to sobie wyjaśniliśmy, to zapraszam – dodal i skierował sie na ściezke.

Podążyłem za nim. Było mokro, bardziej, niż przypuszczałem. Szliśmy wzdłuż pagórków, kolorowe liście zaścieniały lasy, przykrywały podłozę.

Na szczescie po paru minutach mój przewodnik zaczął przemawiac. Mówil gdzieś w przestrzeń, jak leśne radio.

– W tygodniu zwykle siedzę w biurze. Spotkania, papiery. To raczej nudne.

– Wierzę na słowo – wtrąciłem, choć chciałem zobaczyć jego pensję.

– Ale nie dlatego pracuję w lesie. Zaczęło się od obserwowania ptaków. Pochodzę stąd. Gdy byłem dzieckiem, największym miastem, do którego regularnie jeździłem, był Zamość. A mnie fascynowały samoloty. Prosiłem rodziców o kupowanie modeli. Potem je sklejałem. Nauczyłem się ich budowy, ale dalej nie wiedziałem, dlaczego one właściwie latają. Choćbym nie wiem jak starannie sklejał te samoloty, wyglądały na zwykłe kawałki plastiku. Wie pan...

– Szczepan – przypomniałem.

– Były zgrabne, tak. Ale nie umiały latać. Zacząłem więc patrzeć w górę. Znalazłem rannego ptaka... Przyjrzałem mu się... Chyba przewidziałem twój

wyraz twarzy... – Odwrócił się do mnie z uśmiechem. – Zastanawiasz się, czy robiłem mu sekcję.

– Nic z tych rzeczy.

– Pomogłem mu dojść do zdrowia. Obserwowałem, jak dochodzi do siebie i ponownie uczy się latać... Odwdzięczył mi się i pomógł zrozumieć, że z ptakami nie chodzi tylko o ich budowę. Chodzi o to, jak wspinały się lotnikami, jaką równowagę zachowują w powietrzu, jak płynnie korzystają ze skrzydeł.

Znów się obrócił ze szczerym, prawie ujmującym uśmiechem.

– Więc zamiast wyczekiwać samolotów, leżałem i godzinami obserwowałem, jak przelatują mi nad głową ptaki. Pochłonęło mnie to.

– Co będziemy robić? – spytałem po raz trzeci, bardziej niż jego opowieścią interesując się stanem moich podmakających butów.

– Szukamy orlego gniazda. Większość ludzi, która dla mnie pracuje... – Jacek pokręcił głową. – Przecież powinno być odwrotnie. To ja powinienem siedzieć w lesie, a oni w biurze. Szkoda, że Gajusowy los jest inny.

– Co powiedziałaś?

– Co?

– To ostatnie zdanie.

– Nic takiego – odparł.

Dotarliśmy do porośniętego trawą terenu. Jacek wyjął z plecaka dwie brezentowe płachty.

– Zadbalesz o wszystko – powiedziałem.

Kiwnął głową.

– Czy długo tu będziemy siedzieć? – zapytałem.

– Aż zobaczę, którędy on lata – odparł, kierując wzrok w górę.

– Myślałem, że chcesz rozmawiać o Michale.

Cisza.

– Zaprosiliście mnie tu na tydzień – dodałem.

– Z finansowego punktu widzenia to ja zaprosiłem.

– Z mojego punktu widzenia klientem jest przede wszystkim chłopiec. Ale mógłbym się dowiedzieć, jak ty na to patrzysz.

Gajus położył rękę na ustach, bezczelnie mnie uciszając.

– Im dłużej będziemy rozmawiać, tym dłużej tu posiedzimy – powiedział. – A dzień teraz krótki i chłodny. No to jak?

Nie czekając na moją odpowiedź, usiadł na ziemi. Patrzył w przestrzeń, raz na jakiś czas zerkał w górę. Nie bardzo wiedząc, co robić, usiadłem na brezencie i oparłem się o pień drzewa.

Muszę przyznać, że szukanie gniazda okazało się istnym warszatem mindfulnessu. Chłód dawał mi w kość, ale reszta rekompensowała niewygodę. Cisza działała kojąco. Wiedziałem o tym lesie pewnie ze sto razy mniej niż Gajus. Nie szkodzi. Może on scalał się z naturą; ja scalałem się z własnym umysłem, usiłując nie dopuszczać do świadomości, że jednocześnie odmrażam sobie tyłek.

– Chyba już wiem – powiedział nagle Jacek. – Możemy wracać.

– Wracamy tą samą drogą?

– Trochę inną. Ale nie przejmuj się, znam ten las jak własną sypialnię – odparł i podążył niemal niewidoczną ścieżką.

Miał rację. Przy samochodzie zdjął mokre buty i założył suche, poprawił bandanę i zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni.

– A teraz pogadamy – powiedział.

– Tutaj?

– Nie, jest lepsze miejsce.

Wsiedliśmy do pick-upa i pojechaliśmy – ale w przeciwnym kierunku niż Zwierzyniec. Tyle jeszcze pamiętałem, bo trochę mnie skołował tymi rajdami. Znowu skręcił w zupełnie niewidoczną, zarośniętą drogę – tym razem jednak na jej końcu znajdował się niewielki domek.

Wysiadłem. Roztoczańskie bagna prawie podchodziły pod chatkę. Odnosiłem wrażenie, że pomiędzy drzewami widzę też jakąś większą wodę. Czyżbyśmy jakimś cudem dostali się z drugiej strony aż pod stawy Echo? Domek miał taras, a na barierce stał słoik z petami.

Jacek wyciągnął paczkę z kieszeni kurtki i wysunął papierosa.

Kiwnąłem głową i również zapaliłem.

– To stara chatka myśliwska, z dawnych, gorszych czasów – powiedział.

Dla mnie krzyczała uprzywilejowaniem.

– Ale klucze masz? – zapytałem.

– Tak. Pewnie teraz sądzisz, że mam jakieś chody? Tymczasem tu nie ma nawet ubikacji.

– Jest coś innego.

– Tak, to prawda.

Cisza i spokój. Chata pośród bagien, pośrodku lasów.

– Więc dlaczego tu przyjechałeś? – zapytał.

– Beata nie omawiała tego z tobą?

– Wiesz, ona jest...

– Jacku, to nie moje sprawy – przerwałem, bo zaczęła mi się palić lampka ostrzegawcza.

– Jasne. Nie twoje sprawy. Jej też by się przydała terapia. – Zaciągnął się spokojnie.

– To, co robię, to nie terapia, tylko interwencja. Przyjechałem, żeby pomóc Michałowi i wam. Całej rodzinie.

Przez twarz przebiegł mu cień.

– Wiesz, że to nie jest cała prawda? Wiesz już o tym?

– O czym?

Zapatrzył się przed siebie. Zaciągnął się.

– On się tutaj utopił, może trzysta metrów stąd.

– Kto?

– Nasz starszy syn. Marcel.

Wpatrywałem się w niego przez parę sekund, a potem zadałem sobie dziwne pytanie.

Jak często Gajus tu przyjeżdżał? Co robił, kiedy tu był?

Powoli się otrząsałem. Słowa Jacka zrobiły na mnie spore wrażenie. Śmierć dziecka w rodzinie. Niczego do tej pory nie wyczułem, a wydawało mi się przecież, że mam radar. Ani sygnału podczas kolacji...

– Jak to się stało? – Usłyszałem, jak wypowiadam pytanie.

Teraz dostrzegłem to na jego twarzy. Jacek Gajus wciąż cierpiał.

– Czy masz dziecko? – Znowu mi nie odpowiedział.

– Tak. To znaczy chyba mam – odparłem dziwnie szczerze.

– Żarty sobie robisz? – zapytał ostro.

Nie odpowiedziałem. Nagłe wejście w moje terytorium, wyznanie o śmierci dziecka... Krew zaczęła mi dudnić w skroniach.

– Przepraszam – uspokoił się – chodzi o to, że dla mnie... to jest szczególnie ważne. Nie mam córki, ale nigdy jej nie chciałem, zawsze pragnąłem syna. Czy to jest coś złego?

– Nie, w zasadzie nie. Masz prawo.

– Kochałbym córkę, ale Marcel... To był niesamowity chłopak. Zdolny, bystry... Rodzice zawsze tak mówią o dzieciach, ale on naprawdę miał głowę jak gąbka. Czym to się nie interesował. Przyroda, teatr, literatura. Nauka.

Poprosił mnie, żebym prenumerował „Świat Nauki”, wyobrażasz to sobie? Miał tylko dziesięć lat.

– Jacku, naprawdę bardzo mi przykro. Ale masz jeszcze jedno dziecko.

– To prawie bobas. Nie liczy się. Nie zrozum mnie źle...

– Kiedy to się stało?

– Dwa lata temu.

– Czy Michał wie?

Jacek wzruszył ramionami.

– Michał na pewno nie jest już bobasem i nie powinniście tego przed nim ukrywać. Opowiedz mi więcej – poprosiłem.

– Marcel się utopił. Stawy zalewano na wiosnę, są wtedy dość płytkie, ale jest jeden fragment nieco głębszy. Nie wiem, co on tam robił tego dnia, pewnie, tak jak ja, lubił się szwendać po lesie, już w tym wieku chodził swoimi drogami. W każdym razie utopił mi się synek. Szukaliśmy go dziesięć godzin, a on cały czas leżał tutaj, twarzą w mule. Widzę tę niebieską kurtkę wypływającą ze stawów.

– Jacek...

– I zastanawiam się, dlaczego mu na to pozwalałem. Jak to się stało? Poślizgnął się? Zobaczył w tym stawie coś, co go pochłonęło?

– Nie uda ci się dowiedzieć. Zadręczysz się.

Pokręcił głową.

– Pokazałem ci moje miejsca. Teraz wracamy do niej, zanim się zorientuje – rzekł kąśliwie.

– Jeżeli pozwolisz...

– Tak?

– Spotkało was nieszczęście, musicie zachować solidarność.

– Dobrze. Nic nie rozumiesz, ale dobrze.

Drogę powrotną przejechaliśmy w milczeniu. Zaparkował, ale zanim weszliśmy do domu, zatrzymał mnie gestem dłoni.

– Poczekaj – powiedział i zrobił dłuższą pauzę. – Michał wie. Rozmawialiśmy z nim wspólnie z Beatą i powiedzieliśmy mu o wypadku Marcela. Szkolny psycholog tak nam zalecił, żebyśmy razem przekazali to Michałowi.

– Dobrze. To nie jest żaden bobas, jest w stanie zrozumieć pojęcie śmierci.

– Wierzę ci. Chcę. Ale chciałbym też, żebyś jeszcze ty z nim porozmawiał. Od tej naszej rozmowy minęło już trochę czasu, była zresztą dziwna... i... sami

nie chcemy do tego wracać.

– Ale czy to jest uzgodnione? Nie chcę działać za plecami Beaty.

– Nie działasz. To ja byłem przeciwny. Może dlatego cię zatrudniła – zaśmiał się. – Żebyś mnie przekonał.

Kiedy dojechaliśmy, nie zająrzałem nawet do kuchni. Skierowałem się prosto do starego skrzydła, do pokoju, w którym wczoraj nawiązałem rozmowę z chłopcem.

Zapukałem, wszedłem. Michał układał piramidę z klocków. Sam w wielkim pokoju, z furą klocków Lego. Siedział w tym pokoju jak w izolatce.

Przyglądałem się mojemu małemu klientowi. Mama założyła mu dzisiaj ogrodniczki OshKosh – nie wiedziałem, że jeszcze je produkują. Niesforny loczek opadał mu na czoło, dodając amorkowatego uroku.

Wnętrze wyglądało inaczej niż w dniu przyjazdu; po chwili zorientowałem się dlaczego. Zniszczone zabawki zostały upchane w kąt. Pojawiły się już nowe i lśniące, żal mi się ich zrobiło, były niczym kolejne ofiary jakiegoś dziwnego bóstwa.

A pośrodku nich – chłopiec w ogrodniczkach. Miał wydęte wargi i wyraziste kości policzkowe. Przyglądał mi się nad wiek uważnie, choć bez wrogości.

Odnotowałem w swojej praktyce przypadki, wcale zresztą nierzadkie, kiedy złość u dziecka występowała tylko wtedy, kiedy byli obecni rodzice. Kiedy znikali – i ona znikwała. Kiedy się pojawiali – znowu pokazywała kły.

Ale Michaś Gajus niszczył te nieszczęsne przedmioty w samotności. Jakby realizował własną potrzebę i nie musiał dzielić się nią ze światem. Wstydział się, ukrywał jak coś niedobrego. Przy mnie, obcym człowieku, siedział teraz ładny, grzeczny chłopczyk w ogrodniczkach.

– Cześć, Michał, mogę dołączyć?

Zgodził się, więc usiadłem koło niego na podłodze. Czy to mama dała mu teraz klocki, które przecież trudniej jest zniszczyć?

Wierzcie mi albo nie, układanie Lego to całkiem przyjemne zajęcie, dla niektórych jak puzzle.

Ale byłem w pracy. Spojrzałem na dzieciaka. Grzywka zasłaniała twarz lalki.

– Michał?

– Tak.

– Czy pamiętasz, jak rodzice rozmawiali z tobą o twoim bracie?

– Tak.

– Jak miał na imię?

– Marcel.

– Dobrze. Dobrze. – Przeszedłem do trudniejszego. – Czy chciałbyś jeszcze o tym porozmawiać?

Cisza.

– Rozumiesz, że Marcel nie żyje?

Chłopiec nie odpowiedział.

– Rozumiesz, że już go nie ma z nami?

– Tak.

– I rozumiesz, że utonął?

Mruknął coś w odpowiedzi. Przypatrywałem mu się uważnie.

– Słucham?

– To nieprawda – dotarły do mnie ciche słowa.

– Co jest nieprawdą?

– To, co powiedziałaś. On nie utonął.

– Skąd wiesz?

Szepnął coś, czego nie usłyszałem.

– Co powiedziałaś?

– Marcel nie utonął, bo...

– Tak?

Spojrzenie chłopca stało się jakby nieco zamglone.

– Zabrał go wodnik – powiedział cicho.

5

Do południa Ula z Kamilą sprzątały obejście. Gałęzie były wszędzie, także na dachu. Ula wlaźła tam i zdjęła ogromny badyl. Na szczęście nie przebił powłoki.

Remontu w tym domu potrzebowało już chyba wszystko – i spoczywało to na jej barkach. Daniel nie tylko nie mógł pomóc, lecz także przestał się tym interesować. Nie chciał już w ogóle wychodzić na zewnątrz. Jego ojcowizna popadała w ruinę, a on siedział i obserwował to wszystko przez małe okienko.

Był wybitnym pedagogiem i pomysłodawcą Świetlicy, ale teraz tak patrzył na świat.

– Mamo? Jesteś tam? – przywołała ją do rzeczywistości Kama.

– Tak.

– Znikasz, a ta drabina ma sto lat.

– Dobrze już. Nie bój się o starą matkę.

Potem nadszedł czas na zimową herbatę. Jesień; spokój i możliwość wyciszenia po hałasie lata, po turystach, których z roku na rok było coraz więcej. Mijali ją na coraz droższych rowerach, w coraz głośniejszych grupach.

Ula odłożyła kubek na stół i umościła się na kanapie. Ksawery oczywiście dołączył, tak samo jak Kamila. I Ula musiała przysnąć, bo kiedy się ocknęła, światło za oknem znacząco zmieniło barwę. Stare dęby były nieruchome; udawały, że poprzedniej nocy nic się nie wydarzyło. Pewnie tak miało być, drzewa pozbywały się najsłabszych elementów, jak słabszych członków stada.

Ula pogłaskała córkę po miedzianych włosach. Ksawery otworzył ślepiec.

– Nie teraz, piesku. Czas na pracę.

Delikatnie, żeby nie zbudzić Kamy, wstała i zrobiła sobie espresso. Zjadła kawałek ciasta upieczonego poprzedniego dnia przez córkę: było rozsądnie zakalcowate i smaczne. A potem wyszła z kuchni, przeszła korytarzem i zanurzyła się w swojej świątyni.

Porządek na stole: musiał być. Rozgardiasz na biurku oznaczał dla niej pustkę w głowie, na przekór w kółko cytowanym słowem Einsteina. Musiała myśleć klarownie i czysto. Zwłaszcza że przystępowała do pracy, jakiej do tej pory nie wykonywała.

Materiały pedantycznie ułożone po prawej stronie biurka. Wycinki ze starych gazet, wydruki z internetu. W trakcie pisania nie chciała się rozpraszać szukaniem. Pogładziła chropowatą powierzchnię kartki i przymknęła oczy.

Czuła, że chce to napisać inaczej niż zwykle. To była prawdziwa historia z prawdziwymi postaciami, a mimo to musiała im wymyślić jakieś dialogi i nadać cechy osobowości. Ludziom, którzy w większości dalej żyli – i to w odległości kilkunastu kilometrów od niej.

Rodzina Radłów. Dwanaście lat temu dotknięta największą możliwą tragedią. Zaginięcie szesnastoletniej Heleny Radło wstrząsnęło całą okolicą. Pojawiły się liczne koncepcje, co mogło spotkać tę uroczą dziewczynę, kwiat Roztocza. Ula wyobrażała ją sobie, pisząc drobne scenki obyczajowe. Dziewczyna musiała mieć swoje nastoletnie sekrety. W powieści pojawił się też znany już z brutalności brat Heleny, Paweł Radło. Te dialogi trudniej było Uli skonstruować. Przechodziła to niemal traumatycznie.

Wzdrygnęła się, czytając to imię i nazwisko we własnym tekście. Paweł Radło. Poczowała niemal fizyczny ból. Był też ojciec, rolnik. No i matka. Żywi ludzie, mieszkający we wsi Karyszka niedaleko Zwierzyńca – tak bardzo, bardzo blisko.

Dziewczyna zaginęła piętnastego marca dwa tysiące siódmego roku. Nigdy się nie odnalazła i powszechnie uważano, że nie wyjechała poza Zwierzyniec, tylko pozostała gdzieś w tych lasach. Znalaziono przecież jej portfel, dokumenty, pieniądze... niczego nie wzięła ze sobą. Nie miała konta w banku, znajomych poza Zwierzyńcem ani krewnych, z którymi utrzymywałaby relacje.

Zostawiła wszystko, z nikim się nie kontaktowała. Zniknęła jedynie torba, z którą dziewczyna nigdy się nie rozstawała, oraz pamiętnik.

Ale do opisanie tego momentu było jeszcze bardzo daleko. Ula nie znała rozwiązania zagadki zaginięcia Heleny, nikt nie znał, i to stawiało cały zamysł twórczy pod pewnym znakiem zapytania. Czy można odtwarzać historię, nie znając jej rdzenia?

Każda opowieść posiadała rdzeń, który należało dostrzec, aby móc pisać dalej. Instynkt, któremu Ula w dziedzinie pisania w całości ufała, kazał jej się tym jednak zająć. Nie miała wyjścia, musiała to napisać, bo nigdy, przenigdy nie odczuwała takiego przymusu stworzenia czegoś jak teraz.

Zamknęła oczy. Musiała odtworzyć świat dziewczyny, ten sprzed dwunastu lat; wydawał się odległą epoką, jeszcze bez szeroko rozpowszechnionych smartfonów. To była Polska kilka lat po wejściu do strefy Schengen.

Zwierzyniec wydawał się zaniedbany i wymagający generalnego remontu. Nie było w nim jeszcze wszystkich tych wytyczonych dla turystów ścieżek i atrakcji, z roku na rok upodabniających miasto do jakiegoś Zakopanego.

Wolała tamto Roztocze, zapomnianą krainę gęstych lasów. Co robiły tutaj dzieciaki jesienią taką jak ta? Była codzienna droga przez lasy i łąki do szkoły w Zwierzyńcu. Kościół, ten sam co teraz. Oraz ci sami włóczędzy obsiadający teren wokół niego.

Ula nie pisała reportażu. Po latach wymyślania postaci podjęła decyzję o napisaniu powieści opartej na faktach. Realne postaci, prawdziwe okoliczności, ale przemawiające jej językiem, z opisami jej własnych emocji. Czowała się trochę podekscytowana. Siadała przy biurku jako autorka, matka i żona. W jakiś sposób ten projekt łączył w sobie wszystkie jej drogi życiowe i kiedy podjęła decyzję o pisaniu, poczuła ulgę – taką, jakiej się doznaje na widok właściwego rozwiązania.

Spojrzała na drzwi. Zamknęła je na klucz, jakby na przekór regułom tego domu. Nie chciała, by ktokolwiek zajrzał do książki, zanim jej nie skończy. Czy jednak tylko o to chodziło? Może bała się odgłosu kół na posadzce i nagłego szarpnięcia za klamkę?

Z pełną celebracją otworzyła komputer. Plik, notatki, kserówki ułożone na boku, aby nie przeszkadzały jej w skupieniu i nie wpływały na tok rozumowania. Musiała jednocześnie trzymać się faktów i daleko się od nich odbić. Minał już etap wahania, czy na pewno postępuje właściwie. Chciała tego i nie zamierzała czuć się winna. W dziwny sposób wydawało jej się, że tego potrzebuje, a może nawet potrzebuje tego jej związek.

Tak, od piętnastu lat – odkąd zaczęła studia w Lublinie i poznała go na drugim roku – dzieliła się wszystkim z Danielem. Odkąd skierował na nią swoje elfie zielone oczy i przede wszystkim – swoją uwagę. Zainteresowanie doktora Daniela Radziwiłowicza wydawało jej się wtedy najważniejszym wydarzeniem życia. A potem zrobiło się naprawdę słodko. Wbrew panującej dookoła modzie na pop śpiewał jej poezję Kaczmarekowskiego, w której do tej pory był zakochany.

Stali się w zasadzie nierozłączni, pokonując różne przeszkody – wydawały się śmieszne po tym, co zaszło później. Zaczęli dzielić życie ze wszystkimi jego obowiązkami i ciężarami.

A teraz Ula odczuwała dyskomfort. Bo pierwszy raz w życiu nie mogła podzielić się z Danielem informacją o tym, co robi. I dlaczego to robi.

Wierzyła, że jej mąż kiedyś to zrozumie.

6

Przez kilka godzin miałem wolne. Zrobiłem notatki. Chłopiec sądził, że jego brata zabrał wodnik. Dzieci wymyślają na potęgę. Przy tym nosił w sobie tyle gniewu... Na razie nie wiedziałem jeszcze, jak to się ze sobą wiązało. Umówiłem się z Beatą, że o piętnastej razem odbierzemy dzieciaka ze szkoły i pójdziemy na plac zabaw. Zasugerowałem neutralne środowisko, żeby zobaczyć, jak Michał się tam zachowa. Jak się zachowa sama Beata.

Moje prośby, aby następne spotkanie odbyło się z obojgiem rodziców, zbywała – a Jacek raczył zniknąć niedługo po naszej wycieczce w lasy.

– To wszystko działa, jeśli jest dwoje rodziców – powiedziałem.

– Ale Jacek...

– Zaangażowanych na bieżąco. Nasza poranna rozmowa nie wystarczy.

– Nie zmienię rzeczywistości, mój mąż jest szalenie zajęty.

– Jasne. Wiem – spróbowałem inaczej. – Może rozumiem, w czym jest przynajmniej część problemu chłopca. Potrzebny byłby Jacek, żeby zobaczyć, jak reagujecie.

– Na co?

– Na przykład na złość.

– Te zabawki...

– Nie przejmujcie się zabawkami. Na dobrą sprawę Michał może je sobie zepsuć, zniszczyć. Mówię zupełnie serio. Wiem, że wielu rodziców stawia sobie za punkt honoru, aby dziecko nie niszczyło dóbr materialnych. Sądzą, i ja to rozumiem, że później, w dorosłym życiu, tak samo będzie się odnosić do świata. Jednak doradzam coś innego. Pozwólcie. Niech niszczą. Niech psują.

– Naprawdę?

– Tak. Ryzyko jest większe i poważniejsze, jeśli będziecie ulegać temu swoistemu szantażowi.

– Bez wyjątku?

– Nie. Są dwa. Kiedy dziecko może sobie zrobić krzywdę albo zniszczyć coś o dużej wartości.

Zapadła cisza.

– Oczywiście nie wlicza się do tego zabawek.

Nie pierwszy raz doświadczałem sytuacji, w której okazywałem się sownie opłacaną personą non grata. Tak jakby niektórzy ludzie po prostu mieli za dużo pieniędzy – albo lubili oszukiwać samych siebie. Chcieli mnie mieć, bo w ten sposób zyskiwali poczucie, że coś robią – tyle że na swoich warunkach. Przecież zapłacili.

Pan domu, dyrektor Gajus, ulotnił się równie sprawnie, jak się zniecka pojawił. Nocna mara, oto czym jawił się ten jego domek myśliwski i wypocone mądrości na temat lasu. Jacek sam był jak nocna mara.

Reguły wyjaśniłem jasno. Dlaczegoż miałbym się domagać obecności ducha?

Zszedłem na dół w poszukiwaniu kawy. Po porannej wycieczce czułem się niewyspany. W kuchni zastałem Elżbietę Gajus. Nie tylko ją, ale także całą machinerię ją otaczającą. Odnosiłem wrażenie, jakby kierowała lokomotywą albo wielką parującą orkiestrą dętą.

W kuchni wrzało. Co najmniej piętnaście garnków. Pachniało też ostrymi przyprawami i cynamonem. Spojrzała na mnie znad jednego ze słoików.

Matka Jacka Gajusa. Pamiętałem, jak chłodno mnie przyjęła. Z drugiej strony, co miała powiedzieć, skoro w jej domu nagle pojawił się obcy człowiek – i decyzją jej synowej miał zostać jeszcze przez tydzień? Niezależnie od pozostałych gości. Tak czy inaczej, wydawała się teraz przyjaźniej nastawiona, a przyczyna tej zmiany stała się jasna chwilę później.

– Chyba poproszę pana o pomoc. Potrzeba mi męskiej ręki.

– Tak?

– Do słoików.

Zaśmiała się, widząc moją minę.

– Pańska twarz jest łatwa do rozczytania jak na psychologa.

– Serio?

– Pewnie teraz pan się zastanawia, czy warto tak harować nad przetworami.

– Wcale nie. Skąd takie pytanie?

– Tak mi się wydaje, że tak właśnie pan uważa. Mężczyźni nie doceniają tego typu rzeczy. Chcą jedzenia na stole, ale nie lubią zamieszania.

– To krzywdzące. Znam wielu wspaniale gotujących mężczyzn. Poza tym jestem pełen podziwu.

Uśmiechnęła się.

– Proszę mi dokręcić te słoiki. Jestem już stara i nie mam siły. A bez tego cały trud pójdzie na zmarnowanie.

Podszedłem – w końcu istotnie miałem zapłacone. No i minęło trochę czasu, odkąd ostatnim razem proszono mnie o taką pomoc. Rany, ile przyjemności mogło sprawić mężczyźnie poczucie bycia potrzebnym i docenionym – choćby z powodu jego „męskiej” siły. Zastanawiałem się nad tym, mocując się z nakrętkami. Większość słoików była dobrze dokręcona, ale nic nie powiedziałem.

– Jak panu idzie praca? – podjęła.

– Dopiero zaczynamy, więc nie bardzo mogę powiedzieć. Muszę jeszcze poobserwować, co tutaj robicie.

– Tymczasem wszyscy się rozchodzą w swoich sprawach, prawda?

– Coś w tym stylu.

– To norma w mojej rodzinie. Każdy zakręcony jak te słoiki. Dziękuję. – Wzięła ode mnie kosz pełen szkła.

– Co teraz?

– Proszę mi je pomóc tam przestawić. Potem Jacuś zniesie mi je do piwnicy. Jacuś. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, kiedy powiedziałem:

– Ja pomogę.

– Naprawdę? Och, dziękuję! – Pokręciła głową. – Ale są ciężkie.

– Przyda mi się trochę ruchu – brnąłem dalej.

– Dobrze. Skoro pan tak twierdzi.

Otarła czoło rękawem.

– Bardzo się o niego martwimy – powiedziała.

– Pani syn i ja byliśmy dzisiaj na spacerze...

– Nie mówiłam o Jacku, tylko o Michale.

– Aha.

Zawahałem się. Odczuwałem jednak potrzebę, by to wyartykułować. Przecież w tej chatce czułem ból Jacka, i nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak bardzo dotknęło to pozostałych, skoro nie wypowiedzieli na ten temat ani słowa.

– Dowiedziałem się dzisiaj o Marcelu – podjąłem – więc proszę przyjąć moje kondolencje.

– Dziękuję.

– Prawdę mówiąc, byłem zszokowany, kiedy Jacek mi to opowiedział.

Mówiłem prawdę. Niezależnie od smutku, który wibrował w chatce na bagnach, po prostu byłem zdziwiony. Może jestem dufny, zbyt pewny swoich instynktów. Z pewnością popełniłem wiele błędów, w tym jeden gigantyczny.

Do tej pory wierzyłem jednak, że mam predyspozycje do tej pracy, instynkt, który pozwala mi wyczuwać, co się dzieje.

Tymczasem najwyraźniej stępiełem.

– Beata jest bardzo skryta – powiedziała Elżbieta, jakby intuicyjnie wyczuła moje myśli. – Może nawet bardziej niż Jacek.

– Rozumiem. A przy okazji... – zawahałem się – czy mówi pani coś hasło „wodnik”?

– A powinno?

Pokręciłem głową.

– Jeszcze nie wiem, jak do tego podejść. Wiem, że... starszy chłopiec nie żyje i że...

– Utonął.

– Tak. To bardzo wpłynęło na Michała.

Zapadła chwilowa cisza.

– Ja też nie wiem. Ale niech pan mu pomoże, bardzo proszę – powiedziała Elżbieta, chwytając mnie za dłoń. – Profesjonalnie, ale też tak zwyczajnie, po ludzku. Bo mam wrażenie, że jest coś złego z tym chłopcem. Zanurza się w krainie wyobraźni i naprawdę nie wiemy, co tam się z nim dzieje.

Zastąpiłem Jacka i zaniósłem przetwory do piwnicy: przepastnego, ponurego pomieszczenia, mieszczącego się w podziemiach na tyłach domu. Ot, zwykła robota psychologa interwencyjnego. Zapaliłem światło. Półki były zavalone rzeczami. Aż za dużo tego wszystkiego. Usłyszałem szmer i zrozumiałem jedno: w budynku musiały być szczury. Coś przeleciało mi pod nogami i walnąłem koszem w półki. Powstał przeciąg, drzwi się zatrzasnęły i pogrążyłem się w ciemności.

Zakląłem. Próbowiałem wymacać to wnętrze. Gdzie, co, jak. Cóż za durna, kretyńska sytuacja. Nie powinienem się wikłać w przedsięwzięcia wyraźnie przekraczające moje kompetencje. W nozdrza wchodził mi odór wilgoci i zapach przetworów. Gdzie znajdowały się drzwi? Wbrew moim nadziejom wzrok wcale, ale to wcale nie chciał się przyzwyczaić do ciemności. Było ciemno jak w dupie.

Gdzieś na górze usłyszałem szmer. Stałem i nasłuchiwałem, szmery rozbrzmiewały coraz bliżej i bliżej.

– Halo!

Przez chwilę nic nie widziałem. Potem usłyszałem dźwięk otwieranych drzwi i nastąpiła jasność. Ktoś schodził po schodach. Dopiero po chwili pokazała

mi się twarz Filipa Matwiejewskiego.

– Och, to ty!

Domyślałem się, jak głupio musiałem wyglądać, i chciałem się wytłumaczyć.

– Zaoferowałem się z pomocą przy słoikach...

– Nie tłumacz się – zaśmiał się. – Pomogę ci z tym koszem.

– Skąd wiedziałeś...?

– Widziałem, jak tu wchodzisz. A potem, jak się zatraskują drzwi. Wydedukowałem, że potrzeba ci pomocy. – Przejechał dłonią po ścianie. – Chryste, tutaj jest chyba więcej grzyba niż na całym Roztoczu. Klasyk. Na górze pięknie. A na dole...

– Budynek jest stary.

Wciąż szamotałem się z koszem.

– Nie tu. Tam postaw. – Wskazał na półkę zastawioną słoikami.

Tak zrobiłem.

– Doskonale orientujesz się w tej piwnicy – powiedziałem.

– Często tutaj bywamy.

– W piwnicy?

– Nie no, nie jesteśmy wampirami. W domu.

– Często?

– Tak. – I chyba się zreflektował. – Pewnie myślałeś...

Zaśmiał się, odchylając głowę do tyłu.

– Przecież wczoraj to był teatr – rzucił – pomiędzy Beatą a Elżbietą. Jak głosi to stare przysłowie o matce syna?

– Naprawdę nie mam pojęcia. Czyli one nie są w żadnym sporze?

– Skądże, choć Jacek to synek mamusi. Ale Beata jakoś to znosi.

– Od dawna się znacie?

– Z Beatą od studiów. Z Jackiem podobnie, ale on zawsze stał trochę z boku. Potem zmienił studia, przeniósł się do Warszawy. No ale może to było mu wtedy potrzebne; katapulta do prawdziwej kariery.

– Jednak wrócił.

– Tylko pytanie, dla kogo: dla Beaty czy dla tej kariery? Z pewnością tutaj było mu zdecydowanie łatwiej, skoro już wypełnił formalności w Warszawie, obowiązki karierowicza.

– Co było dalej?

– Wzięli szybki ślub. Ale Jacka ciągle nie ma, więc to nie jest taka prawdziwa historia miłosna, jaką chciałbyś usłyszeć. A Beata po prostu nie daje rady. Utknęła tutaj... nawet nie uwierzysz, jaka to była radosna dziewczyna. Teraz siedzi tu, wśród duchów Gajusów, a Jacek sobie szefuje. Bo po to się urodził. – Pokręcił głową.

Spoglądałem na niego, ale w gruncie rzeczy nie rozumiałem, co on tu dzisiaj robi – zamiast pracować.

– Została sama z dzieckiem – dodał. – A on mówi nieprawdę. I nie mam na myśli tego, że dzieci widzą więcej niż nauka... Mówię o zwykłych kłamstwach.

Miałem wrażenie, że znowu coś przebiegło mi po stopach.

– Kto?

– No, Michaś.

– Ale... dlaczego mi o tym opowiadasz? – zadałem pierwsze pytanie, które przyszło mi do głowy. Czułem, że od ciemności, chłodu i zapachu piwnicy kręci mi się już w głowie. Chciałem wyjść, ale czułem się osaczony.

Filip wzruszył ramionami.

– Uznałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

Niby dlaczego, zapytałem w głowie, a na głos:

– Skąd wiesz, że kłamie?

– Codziennie rozmawiamy.

– Z Michałem?

– A podobno psychologowie są bystrzy – zaśmiał się. – Z Beatą. Często nam opowiadała o chłopcach... o kłopotach, jakie z nimi miała. Ale nie wiem, czy tobie również opowiedziała... bo może wtedy byś nie przyjechał. Jest z tym wszystkim sama i się boi.

Przerwał i spojrzał na telefon, choć byłem pewien, że w piwnicy nie ma zasięgu.

– Może powinniśmy już iść – powiedział i ruszył w stronę drzwi.

– Chwila...

Oddalał się powoli.

– Kogo ona się boi? – zwróciłem się do jego pleców. – Chłopca?

– Nie kogo, tylko czego – odparł i wyszedł.

Szkoła Michała wyglądała jak każda inna na świecie. Chyba dobrze dla niego, że nie chodził do społecznej, jak wiele dzieci, z którymi pracowałem. Małe miejscowości wszystko wyrównywały. Czekałem więc pod budynkiem

razem z Beatą Gajus, ubraną w zgrabną puchówkę. Nie podjechaliśmy moją odrapaną hondą, tylko jej kombi.

Staralem się nie zwracać na siebie uwagi: na próżno, pewnie wszyscy już się zastanawiali, kim jest ten facet w płaszczu stojący obok Gajusowej. Moja anonimowość miała w Zwierzyńcu niewielkie szanse powodzenia.

Przynajmniej Michał już nie był mnie ciekaw. Wlazł do tyłu i sprawnie usadowił się w foteliku.

– Co chcesz robić? Podjedziemy do Ogrodu Monte? – zapytała Beata.

Mruknął coś w odpowiedzi. Rzuciłem jej pytające spojrzenie.

– Zabawki Montessori – wyjaśniła.

Musiałem zrobić zdziwioną minę, bo parsknęła śmiechem.

– Chyba wyrobiłeś sobie już o nas zdanie.

– Oczywiście, że nie. To świetnie.

– Język swoje, ale w oczach widzę coś innego.

Jechaliśmy w górę, w stronę Szczebrzeszyna. Górki i doliny skrzyły się czerwienią. W końcu dotarliśmy przed ogromny stary dom. Przed nim dostrzegłem kilkanaście terenowych stacji dla dzieci.

– Niedługo zamykają – powiedziała Beata. – I musimy kupić wejściówki.

Kupiła trzy u miłej, wysokiej dziewczyny, a potem doniosła nam kawy. Chciała podejść do chłopca, lecz zatrzymałem ją ruchem dłoni.

Miałem obserwować, ale chciałem więcej.

– Może ja?

Beata wyglądała na lekko zdziwioną.

– Dobrze – odparła z pewnym zawahaniem. – Ale... mówiłeś, że chcesz poczekać i poobserwować.

– To nie jest sztywne. Żadne dziecko nie jest takie samo. Czy pozwolisz mi?

– Oczywiście.

– Dziękuję.

Podszedłem bliżej. Chłopiec, jak wiele dzieci w jego wieku, był zainteresowany kuchnią. Garnki i garneczki. Przelewanie między nimi błotka, wylewanie go z powrotem na ziemię. Robienie deseru z mokrego piachu oraz kamyków.

Spojrzał na mnie i zapytał:

– Gdzie jest Beata?

– Beata? – Dopiero po chwili dotarło do mnie, o kim mówi.

– Tak.

– Mama – poprawiłem bezwiednie.

– Beata.

Beata, nie mama.

Zamilkłem, słysząc swój własny oddech. Wpatrywałem się w Michała, w jego chłopięcą twarzyczkę, w miękkie rysy twarzy.

Może zaczynałem coś rozumieć, a szlak przetarła sobie zaskakująca hipoteza, której nie brałem do tej pory pod uwagę.

Złość chłopca, jego pewne niedopasowanie i samotność; zaskakująca pustka otaczająca go w tym wielkim starym domu. Brak zainteresowania ze strony Jacka... Czy jednak mogliby przede mną coś takiego ukryć? Czy to ja powinienem zadać odpowiednie pytanie?

Przerwałem niepokojący ciąg myślowy. Chłopiec wpatrywał się we mnie, czekając na odpowiedź.

– Mama, to znaczy Beata, zaraz przyjdzie. Okej? A czy mógłbyś usmażyć mi jajecznicę? Jestem strasznie głodny.

Zgodził się. Kamyki posłużyły za jajka, żwir na patelni okazał się pyszną szakszką. Zjedliśmy to wszystko z wielkim apetytem. Nagle przerwał i wskazał na coś dłonią.

Dostrzegłem płaza, który gapił się na nas z brzegu rozległej kałuży.

– Żaba – powiedział.

– Lubisz żaby?

Wzruszył ramionami. Oczy miał puste.

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

Zamyśliłem się.

– Michaś, ile masz lat?

– Osiem.

– Osiem?

– Albo dziewięć.

Miał siedem. Pokiwałem głową.

– Do której klasy chodzisz?

– Do trzeciej.

Chodził do pierwszej.

Beata była daleko, nie chciałem jej w to wciągać. Dalej wgapiał się w żabę, której mózg zaczynał już to pojmować. Zastygła, wyczuwając

niebezpieczeństwo. Wpatrywaliśmy się w płaza, a płaz w nas.

Michał wziął patyk, zaczął dźgać, jakby od niechcenia, ale z siłą i natarczywie. Delikatnie zabrałem mu badyl.

Nie oponował. I znowu to wrażenie; nie robił tego na pokaz. Na pewno to nie był teatr przeznaczony dla mnie. Może dla żaby; na szczęście dla siebie odskoczyła i zniknęła gdzieś w zaroślach.

– Michał, czy pamiętasz, jak wyglądał wodnik?

– Jaki wodnik?

– Ten, który zabrał Marcela. Na przykład jakiego był koloru?

Znów wzruszył ramionami.

– Czy był zielony? Jak ta żaba?

– Może.

– Okej. Wysoki, niski...

Milczenie.

– Czy wyszedł z wody?

Chłopiec nie odpowiadał.

– Gdzie jest Beata? – zniemacka sobie przypomniał.

– Mówiłem ci, zaraz wróci...

Chłopiec nagle zrobił się czerwony.

– Beata! Mama! Beata! – zaczął krzyżeć bardzo głośno, co przyniosło mi tylko krótkotrwałą ulgę.

– Michał, proszę...

– Beata!

– Kupuje coś. Zaraz do nas przyjdzie.

Zaczął się zapowietrzać.

– Beata!

To było do przewidzenia; matki są czułe na ten jedyny w swoim rodzaju tembr głosu. A może to zwyczajne darcie się i dorabiałem do tego filozofię.

Zobaczyłem, że drzwi się otwierają i z budynku wychodzi Beata. Zmierzała prosto w naszym kierunku.

Podniosłem się. Chłopiec spojrzał na mnie uważnie, jakby mnie sondował. Dałem jej znak dłonią.

– Beata!!! – zaczął krzyżeć i walić patykiem po garnkach, jak gdyby kontynuował zabawę na perkusji Montessori.

Spróbowałem się otrząsnąć. Beata szła w naszym kierunku, teraz już bardzo szybkim krokiem. Nie wytrzymałem i wyszedłem jej naprzeciw.

Moment wydawał się wręcz podręcznikowy.

– To jest ta chwila – powiedziałem. – Nic takiego mu się nie dzieje. Nie powinnaś reagować. Nie ma dla niego żadnego ryzyka... on będzie tak dalej robił.

Spojrzała na mnie, jakby przez moment naprawdę chciała w to wejść. Jakby się wahała, czy zrobić wysiłek, żeby uwierzyć.

– Nic się nie dzieje. Zobacz, co się stanie, jak nie zareagujesz – szepnąłem.

Może niektórzy uważają mnie za ostrego, ale z mojej perspektywy taki jest właśnie problem z rodzicami. Umysł i racja są tutaj na przegranej pozycji.

– To moje dziecko – rzuciła, przyśpieszyła i wzięła małego na ręce.

Michał nie przestawał wyc i wył jeszcze długo, jak jechaliśmy samochodem, miażdżąc nasze bębny. Żywiłem nadzieję, że na miejscu pozwolą mi wdrożyć to, za co miałem płacone. A może chciałem w to wierzyć. Przecież wszystko miało być jak z podręcznika...

Poza tym, że nic nie było i nic się tutaj nie zgadzało.

7

Ula pracowała przez cały poranek. Wstawała tylko do łazienki i po kawę: do południa wypła chyba ze cztery filizanki. Napisała pięć stron, potem kolejnych pięć.

Dziewczyna, Helena Radło, niedawno zaczęła liceum. Prowadziła zwykłe rozmowy: o mieszkaniu, pracy dorywczej i pieniądzach. Ula zanurzała się w codzienność roztoczańskiej rodziny z niewielkiej wsi. Radłowie nie byli bogaci. Nagle się zastanowiła: czy powinna zmienić nazwisko? Jak to działało w przypadku prawdziwej zbrodni? Będzie przecież pisała o normalnych, *żyjących* ludziach...

Puk, puk!

Ocknęła się nagle. Już od ładnych paru lat żyła w dwóch światach, jednym realnym, bliskim, no i tym drugim, literackim. Teraz świat literacki zdominował ten realny, wyciągając pazurzystą łapę i zagarniając przestrzeń na ślepo.

Puk, puk!

Ula odchyliła się na krześle. Wciągnęła powietrze. Po czym wcisnęła „control + S” i wyłączyła komputer.

– No, wchodź – powiedziała.

– Przecież są zamknięte.

Podeszła do drzwi. Prawie o tym zapomniała. Otworzyła i zrobiła Danielowi miejsce. Wjechał wózkiem do środka. Ogolił się i przez to wydawał się jeszcze bledszy.

Dlaczego nie wychodził? W lecie smażył się jak jaszczurka, przesuwał się z fotelem wte i wewte. Urodzony maksymalista. Jesienią z kolei zamierał, jakby zapadał w niedźwiedzi sen na jawie, coraz bledszy i bledszy; kiedy ich nieliczni znajomi wracali z dosłonecznienia w Turcji czy Alpach, on wyglądał jak wampir.

Może przez to skojarzenie wciąż wydawał jej się szalenie przystojny. Gęste włosy miał zaczesane do tyłu, a mimo tego, co go spotkało, siwych wśród nich było bardzo niewiele. Uważała, że wygląda jak przystojniejszy Leszek Moździerz.

– Zamknęłaś się – skwitował.

- Tak.
- Dlaczego?

Chciała coś mu wyjaśnić. Chciała nawet powiedzieć prawdę. W ostatniej chwili zrezygnowała z tego dziwnego posunięcia.

- Czy muszę odpowiadać? – zagrała defensywnie.
- Nie.

I teraz, sama przez siebie zagnana w kozi róg, nie bardzo wiedziała, co dalej. W jej pokoju nagle zabrakło powietrza. Przebywała z osobą, którą знаła najlepiej na świecie, a zrobiło jej się po prostu duszno.

- Komputer też zamknięty – zauważył Daniel obojętnym tonem.
- Chciałam chwilę odpocząć.
- To dlatego wciąż trzymasz w ręku kartkę papieru?

Spojrzała. Bezmyślnie wzięła ją ze stołu. Zapisana odręcznym pismem; czy Daniel mógł z niej coś rozczytać?

- Posłuchaj, nie musisz przede mną udawać. Jeżeli z kimś rozmawiałaś...
- Zwariowałaś?
- To dlaczego się zamykasz?
- Potrzebowałam spokoju.
- Przede mną? Bo jestem szatanem ruchu i będę cię najeżdżał moim wózkiem?
- Przestań. Przecież nic się nie dzieje.

Spojrzał na nią przeciągle. Wytrzymała i udało jej się nie mrugnąć. Kiedyś nie umiała mu skłamać. Kiedy się tego nauczyła? I o czym to świadczyło, że się nauczyła?

- Pokiwał głową.
- Kiedy będzie książka?
- Za dwa miesiące.
- Dasz mi przeczytać?
- Jak zawsze. – Wstała. – Mogę?

Pokiwał głową. Podeszła i usiadła mu na kolanach. Zanurzyła ręce w jego włosy. Zawsze kochała to robić; może w ten sposób rekompensowała sobie własne niedostatki: cieniutkie, marne włosy, jak witki.

- Musimy cię ostrzec – powiedziała.
- Jeszcze nie – zaśmiał się.
- Pojedziemy do Dawida, niech cię zetnie.
- Och, nie. – Skrzywił się. – Nie zniosę ani minuty jego pieprzenia.

- Zapłacimy mu dodatkowo, żeby nie mówił.
- Nie stać nas na to. Zresztą przecież ty mnie najlepiej strzyżesz.
- Ostatnio na pewno nie byłeś zadowolony.
- Głędziłem tak tylko, żebyśmy mieli o czym gadać.
- To normalnie nie mamy? – Rozwichrzyła mu włosy.

Nie odpowiedział. Zadrżała.

– Może kiedyś. Od paru tygodni jest inaczej – powiedział. – Może paru miesięcy. Coś się zmieniło. Dlatego pytałem o te twoje rozmowy. Chodziło mi o kochanka.

– Co? – zaśmiała się.

– Ciekawi mnie, czy masz kogoś i właśnie spędzałaś z nim upojne chwile na jakimś komunikatorze.

– Oszalałaś.

– Gdybyś powiedziała, że masz, chyba by mi ulżyło.

– Dlaczego? Daniel, proszę cię...

– Bo tak to czasem myślę, że zaczęłaś mnie nienawidzić.

To jednak zabrzmiało serio. I nagle zrozumiała. Kłamstwo – oto co właśnie stało między nimi. Jej własne kłamstwo. Inaczej tego nie mogła nazwać.

Pogłaskała go po policzku.

– Przysięgam na uszy Ksawerego, że nikogo nie mam.

– Postarzał już się, wiesz...

– Ale nigdy bym nie przysięgała nieprawdy na jego uszy. Kocham je. Jak nie patrzycie, to je wacham. Kama to co innego, i tak robi, co chce, i tak już jest nastolatką i za nami nie przepada. Ale Ksawerego bym nigdy nie poświęciła.

W końcu dostrzegła na jego twarzy uśmiech. Jej mąż potrafił się jeszcze śmiać, a uśmiech miał najpiękniejszy na świecie. Szeroki uśmiech zwycięzcy; to jedno nie zmieniało się po latach.

– Zjedzmy wieczorem kolację – powiedziała.

– Codziennie jemy.

– Ale taką prawdziwą. Zrobię coś naprawdę dobrego.

– Nie, kochanie – odparł. – Ja zrobię.

– Mogę coś przynieść z miasta – zaoferowała.

– Wystarczy wino i rukola. Resztą się zajmę, Frisco dowiezie.

Pozytyw czasów, w których żyli. Daniel stał się prawdziwym rodzinnym intendentem; do perfekcji opanował sztukę zdalnych zakupów. Oliwki, sery, włoskie szynki... wiedział wszystko dokładnie. Wybierał nawet warzywa, jakby

umiał zdalnie selekcjonować te najświeższe albo najdojrzałe. Kiedy się zdarzało, że musiała wejść do Biedronki po jakąś drobnostkę i widziała styranych ludzi z gigantycznymi wózkami, zadawała sobie pytanie: kto powiedział, że niepełnosprawny mąż ma być w czymś gorszy?

– Kupię – powiedziała i wstała z jego kolan. – A teraz idę do Świetlicy. Zostawiam pokój, jak jest, bo nie mam tajemnic.

Ryzykowała, zagrała *va banque*. Daniel szanował ich odrębność, zawsze tak było. Nie zajrzałyby do jej materiału. Może w przyszłości, ale jeszcze nie teraz i na pewno nie kiedy zaoferowała mu taką autostradę. To uwłaczałoby jego dumie i byłoby niezgodne z jego wrodzonym duchem przekory. Pocałowała go, wyszła i w biegu założyła kurtkę. Kiedy jednak wychodziła z domu, myślała intensywnie nad tym, dlaczego znowu okłamała męża i jaka w końcu będzie tego cena.

Maszerowała przez Zwierzyniec. Często po pisaniu chciała się gdzieś zaszyć. Kościół na wyspie stał za kamiennym murkiem i za mostkiem obrośniętym brunatnym mchem. Wstąpiła do niego. Od lat, zwłaszcza po tym, co spotkało Daniela, miała własną wiarę; ta z pewnością nie zabraniała wstępowania do budynków religijnych.

Usiadła, spędziła w świątyni kolejne piętnaście minut. Myślała o swojej córce.

Powoli kończyła podstawówkę, za parę lat będzie w wieku Heleny Radło, kiedy zaginęła. Kama tak szybko wydorosła... Chcieli, aby była szczęśliwa, a dziewczynka chyba chciała, aby byli z niej dumni. A przecież niczego jej nie sugerowali, w przeciwieństwie do niektórych szalonych rodziców, nie naciskali w kwestii nauki... Dzieci. Teraz nagle Ula przypomniała sobie, co zaszło ostatnio w Świetlicy. Za wszelką cenę musiała zrozumieć, co się wydarzyło w przedstawieniu, bo niezrozumienie tego oznaczałoby, że zaczęłaby w końcu wariować.

Usłyszała hałas i obejrzała się. Jakaś kobieta w czarnym berecie i woalce usiadła ledwie dwie ławki dalej. Ula tak bardzo przyzwyczaiła się do samotności w kościele, że poza sezonem czuła, jakby należał tylko do niej. Obejrzała się raz jeszcze. Nie widziała twarzy kobiety, ciemny woal przesłaniał wszystko. No i przecież nie mogła się tak gapić. Wstała więc, minęła ławkę, w której siedziała tamta, i opuściła kościół.

Skierowała się w stronę Świetlicy. Minęła pomnik Szarańczy oraz strumyk, nad którym zbierała się lokalna hałastra. Widziała żarzący się płomień oraz

dymek z papierosa. Jakieś krzyki, jakieś komentarze. Nie obraziłaby się, gdyby były skierowane w jej stronę. Przekroczyła park i szła dalej, aż dotarła do fascynującej drewnianej fortecy, którą jakiś fantasta przeznaczył na wyłuszczenię nasion, a która teraz stała się centrum lokalnych aktywności.

Świetlica.

Tym razem jednak Ula nie poszła na widownię. Udała się prosto do kantorka. „Kanciapa” to było ewentualnie inne pasujące słowo. Tutaj rezydowała Wiesia, która nieco samozwańczo kierowała ostatnio instytucją. Samozwańczo, ale nie bez powszechnej akceptacji.

Nikt nie miał do tego głowy – do tego, czyli do bieżącego zarządzania, składania wniosków, rozmów z mieszkańcami, którzy co prawda nie mieli czasu się angażować, ale chętnie wyrażali swoje zdanie.

– Wiesiu, potrzebuję porozmawiać – oznajmiła.

Wiedziała, że weszła trochę za szybko, więc się odwróciła i dała kobiecie czas na ukrycie tego, czym się akurat zajmowała. Delikatny aromat likieru mniej zorientowany gość mógłby uznać za perfumy albo nawet za woń zmywacza do paznokci, a zaczerwienione policzki – zinterpretować jako przejaw zapracowania.

– Wpadłaś jak po ogień – powiedziała Wiesia.

– Przepraszam. Pracowałam cały dzień i taka jestem zamotana.

– Jak książka? Czy to będzie...

– Nie, nie, to poza serią. – Uciekła wzrokiem, żeby nie widzieć jej rozczarowania. Niczym autorka serii powieściowej z książki Stephena Kinga Ula miała najwyraźniej psi obowiązek kontynuować swój najpopularniejszy cykl. A tymczasem robiła coś zupełnie innego.

– W domu wszyscy cię czytamy. Od młodych aż do starych. Wiesz o tym, prawda?

– Bardzo, bardzo fajnie. Posłuchaj, muszę o czymś z tobą porozmawiać. – Zobaczywszy zmieszanie na twarzy Wiesi, zrozumiała, jak to zabrzmiało i dodała szybko: – Mianowicie o ostatnim przedstawieniu.

– Ach tak? Co chciałyś wiedzieć, moja droga?

– Kto to wymyślił.

– Dzieci oczywiście.

– No tak. – Ula pochyliła się do przodu, lecz zaraz się cofnęła, bo aromat od Wiesi buchał jak żar z pieca. – Ale które konkretnie?

– Czy to ważne?

- Wiem, że to dziwne, ale dla mnie ważne. Nawet bardzo.
- O rany. Brzmisz poważnie. Mogę się wywiedzieć.
- Bardzo cię proszę.
- Ale... mam nadzieję, że to nie jest nic złego? Wyglądasz, jakby ktoś zajrzał ci do notatek i ukradł książkę!

Wiesia się zaśmiała. Ula także zdobyła się na słaby uśmiech. Nie mogła dać po sobie niczego poznać. Pokręciła tylko głową.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. Po prostu coś w treści bardzo mnie zaintrygowało, ale wolałabym utrzymać sprawę w tajemnicy.

Dyskrecja. To nie była mocna strona Wiesi, a im dłużej trwał dzień pracy, tym było z nią gorzej. Wiesia już teraz wyglądała, jakby miała pobiec i wszystkim rozgłosić prośbę Uli.

Ula już niemal słyszała te szepty.

- Dobrze, kochanie, dobrze. Zrobię to dla ciebie – powiedziała Wiesia.
- Dziękuję. I wiesz co? Naprawdę nie powinniśmy o tym szerzej mówić. To tylko do mojej wiadomości. Nie ma co zniechęcać dzieci.

- Jesteś pewna? Na pewno nie chodzi o to, że coś ci jednak ukradziono?

Ukradziono jej. Wiesia w pewnym sensie trafiała w sedno, strzelając jednocześnie kulą w płot.

- Nie. Nic się nie martw, kochana. Zadzwoń do mnie, proszę, jak się zorientujesz.

- Dobrze.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. To tylko Wiesia, ale z jakichś powodów Ula zaczęła ciężiej oddychać. Każdą książkę, którą pisała, traktowała jak swoją słodką tajemnicę. Dopóki nie czuła się gotowa, nie lubiła się nią z nikim dzielić; to był intymny świat, należał do niej i do jej bohaterów. Ale ta tajemnica zaczęła jej ciążyć jak kamień. Ula czuła, że w jakiś sposób wydostała się z jej umysłu i zaczęła krążyć nad Zwierzyńcem, okolicą i całym Roztoczem.

Przeszłość powróciła – niosąc ze sobą pytanie, co się stało z Heleną Radło.

8

Dusiłem się i dopiero po chwili otworzyłem usta, jak ryba łapiąc chłodne październikowe powietrze. Za oknem było ciemno. Wstałem, żeby wyrzucić z siebie koszmar. Zdziwiłem się, kiedy zobaczyłem na zegarku szóstą czterdzieści pięć – dzień skracał się w ekspresowym tempie.

Wydawało mi się, że gdzieś w ciemności ktoś cicho płacze – i to wcale nie musiało być złudzenie. Dopiero w czterdziestej wiosnie życia odkryłem, że mam niesamowity słuch. Lata problemów ze snem, wychwytywanie wszystkich szmerów, wciskanie stoperów w najgłębsze zakamarki małżowin – aż pewnego dnia laryngolog po prostu dostrzegł tę moją niezwykłość.

Ironia – jakby los wyznaczył mnie do słuchania ludzi, jakbym naprawdę się do tego urodził. Albo – jak później myślałem – jakbym się do niczego innego nie nadawał, tylko do uważnego słuchania i stwarzania pozorów, że potrafię zrozumieć, jak działa ludzki umysł.

Położyłem się, ale już nie mogłem zasnąć. Sen, w którym dziecko uciekało i znikowało, działał na mnie przygnębiająco. Ten koszmar atakował mnie cyklicznie już od paru lat. Wsłuchiwałem się. Wiatr wiał i kołysał starym domem. Ponownie zerknąłem na zegarek. Wiedziałem z domowego radiowęzła, że Jacek znów gdzieś wyjechał; miałem dobre czterdzieści minut, zanim wszyscy wstaną. A może powinienem zakradać się i ścigać pana domu, który po zapoznawczej przechadzce po lesie najwyraźniej nie chciał mieć ze mną nic wspólnego?

Bezsenne leżenie, nie cierpiałem tego. Nawet nie samego zmęczenia, które było jego skutkiem, lecz myśli, kłębiących się i natarczywych, którym nie zawsze potrafiłem stawić czoła. Myśli o przeszłości, którą powinienem przekreślić, ale nie potrafiłem. Ogarnęło mnie zniechęcenie, bo sprawa, jakiej się podjąłem, wcale nie wydawała się prosta. Przeciwnie. A ja pragnąłem prostoty w moim życiu i może powinienem wyjechać, bo to nie było dla mnie.

Wybrałem numer Doroty. Wiedziałem, że o tej porze, czasem jeszcze w samym T-shircie odsłaniającym długie nogi, poprawiała dokumenty w swoim laptopie. Lubiałem to, że byłem jedynym, który miał prawo widzieć ją w takiej sytuacji.

Tak było kiedyś. Co teraz robiła moja szykowna żona?

Wyobraziłem ją sobie jeszcze raz. Jakiś czas temu, dzieląc poniekąd moją traumę, odeszła z sądu i zajęła się notariatem. I znacznie lepiej odnalazła się na tej nowej ścieżce, udowadniając, że styk prawa z biznesem może od zawsze stanowić jej przeznaczenie.

Niedługo później przeskoczyła z obsługi dużych mieszkań do obsługi dużych klientów – i radziła sobie jeszcze lepiej. Chciałem wierzyć, że długie nogi, ładna twarz i dobry gust nie miały tutaj znaczenia. Chciałem wierzyć, że wszędzie radziłaby sobie dobrze. A poza tym nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak ona może brnąć przez te dokumenty. Tak jak ona nie miała pojęcia, jak udaje mi się wysłuchać tych wszystkich ludzi.

Byliśmy na równi.

– Halo? – odebrała w końcu.

– To ja – powiedziałem głupio, bo to jej „halo” jednak mnie zaskoczyło. „Halo”, jakbym był obcym człowiekiem. Odebrała telefon, jakbyśmy rozmawiali przez dwie nokie z lat dziewięćdziesiątych.

– Tak?

Nawet bez imienia. Odczułem ukłucie w okolicach splotów nerwowych. Kto mądry powiedział, że cierpienie wywołane jest niepewnością, niejasną sytuacją, zawieszeniem? Tacy właśnie byliśmy: zawieszeni, fizycznie odseparowani, i nie byłem na tyle odporny, żeby mnie to nie ruszało.

– Pamiętasz? Jestem na Roztoczu.

– Kiedy wracasz? – Brzmiało to bardziej jak uprzejmościowa rozmowa.

– Za parę dni.

– To dobrze. Dobrze. Wiesz, będę musiała za chwilę kończyć. – Jak automatyczna sekretarka.

W tle usłyszałem coś w rodzaju męskiego głosu. Prawdopodobnie telewizja, a może internet. Podcasty. Nawet teraz nie zaprosiłaby przecież faceta tylko dlatego, że wyjechałem...

– Jeszcze nie brałam prysznic, a muszę zaraz wyjść – powiedziała.

Biegała codziennie o piątej rano. Potem brała prysznic. Trochę umierałem kiedyś ze strachu o nią, a trochę ją podziwiałem.

Zerknąłem na zegarek – była siódma. Zupełnie nie jej harmonogram.

– Jasne – powiedziałem.

– No to pa – odparła i się rozłączyła.

Bez nazywania tego przeżywaliśmy separację. Gorsze niż rozwód. Spaliśmy w jednym łóżku, ale o niczym specjalnym nie mogło być mowy. Moja żona prawniczka nie rozwiodłaby się nawet za cenę bycia nieszczęśliwą. Z takiej pochodziła rodziny i to trzymało na uwięzi nasze małżeństwo; to ja miałem być tym, który wykona krok.

Mój problem polegał na tym, że ją kochałem.

Znowu usłyszałem łkanie. Ubrałem się. Rozmowa z Dorotą i drętwe myśli zupełnie wyrwały mnie ze snu. Miałem przed oczami obraz z dawnych czasów: Dorota radosna, z czołem przewiązanym bandaną, i ja, pan świata, z dłuższymi ciemnymi włosami, które strzygłem za ponad sto złotych. Wiele się zmieniło.

Wyszedłem na korytarz. Dom wydawał się ciemny. Widziałem światło, ale gdzieś w okolicach kuchni, daleko. Podążyłem w tym kierunku. Przy stole siedziała Beata Gajus. Widząc mnie, otarła łzy. Nie mogłem już się wycofać.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało.

Teraz, pomyślałem. Właśnie teraz, kiedy widzę bardziej ludzkie uczucia w tej kobiecie. Może nie każdy potrzebuje wszystko wypowiedzieć. Nie każdy żyje na pokaz, w imię wizerunku. Ta matka opłakiwała śmierć starszego syna, Marcela, i robiła to w samotności.

– Boję się o niego – powiedziała.

Nie odpowiedziałem, zastanawiając się nad kolejnym ruchem.

– To moje dziecko, ale czasami mi się wydaje, że Michał...

– Beato, wszystkie dzieci kłamią.

Spojrzała na mnie.

– Tak, ale on...

– Wszystkie dzieci to robią – powtórzyłem. – To, że kłamię oraz wymyśla, jeszcze o niczym nie świadczy. Że jego historie to bajki... Bardziej niepokoi mnie złość. To będzie problemem, jeśli się z tym nie zmierzmy, jeśli nie zatrzymamy już teraz.

Beata znowu ukryła twarz w dłoniach.

– Nie chodzi tylko o kłamstwa, prawda? – zapytałem.

– Nie.

– Jestem tu, żeby pomóc. Nie musisz ukrywać przede mną informacji o chłopcu. Nikomu tego nie zdradzę, obowiązuje mnie tajemnica.

Zaczęła płakać.

– Dziękuję – powiedziała. – Czy on... czy to wszystko minie?

Upragnione dzieci. A potem lęk. Obwinianie się o błędy i brak miłości; zamknięty krąg. Odwieczny dylemat, czy można kochać Minotaura.

– Widziałam, jak latem torturował owady... Wstydzę się, po prostu się wstydzę, nawet przed tobą, rozumiesz to? Wstydzę się o nim mówić i wstydzę się tego, że się wstydzę.

Czekałem cierpliwie.

– Czy to wszystko... przejdzie? – zapytała.

– Tak.

– Czy jest wyleczalne?

– Oczywiście. Choć „wyleczalne” sugeruje chorobę. A on jest tylko dzieckiem.

– A jeśli jest inny?

– Co to znaczy „inny”?

– Tak w ułamku procenta. Czarna owca.

Pokręciłem głową.

– Czasami mi się wydaje... – urwała. – Czy znasz historię o Karolu Kocie?

Nie skomentowałem, więc zrozumiała to po swojemu.

– Nastoletni morderca, który sterroryzował Kraków. Z dobrej rodziny, żadnych patologii, kochany, zadbany chłopiec... To koszmar psychologów, prawda? Nie tylko psychologów, koszmar ludzi, bo skoro niektórzy zabijają, tak sami z siebie... Wszystkim ulżyło, kiedy go stracili, a po śmierci lekarze wykryli raka mózgu.

– Tak. Znam tę historię.

– Znasz też jej prawdziwe zakończenie?

Milczałem.

– Tak, chyba znasz – powiedziała. – I wiesz, że to była nieprawda. Brakuje dowodów na przeprowadzenie sekcji, a cała historyjka wskazuje na systemowe kłamstwo. Bo społeczeństwo nie mogło znieść informacji, że nie było żadnego raka. Że mordował, bo miał taki instynkt.

Zrobiła pauzę.

– A wiesz, jak został w ogóle wykryty?

– Trzeba było tylko spytać dzieci – powiedziałem cicho.

– Tak. Kolegów i koleżanki. Dzieci, których nikt nie słuchał. Nazywali go Krwawym Lolo.

– Beata... – Chciałem jej położyć dłoń na ramieniu, tak zwyczajnie, po ludzku, ale się powstrzymałem. – Nie ma żadnego powodu, żebyś mi o tym

mówiła.

Spojrzała na mnie, jakby chciała przejrzeć, czy nie kłamię.

– To, o czym mówisz, jeszcze o niczym nie świadczy.

– To jest moje dziecko. Jedno dziecko i jest takie. Dlaczego on taki jest? Nie chcę, żeby taki był!

Czy gdyby drugi syn żył, byłoby jej łatwiej? Czy tak rodzice myśleli? Że drugi dzieciak stanowił ubezpieczenie, gdyby z tym pierwszym coś nie wyszło? A jeśli tak, czy należało ich za to winić? W dziwny sposób to wszystko, co mówiła i jak mówiła, wydawało mi się bardzo, bardzo ludzkie. Wciąż jednak bałem się podążyć myślami tam, gdzie nagle pojawiło się światło ostrzegawcze migające mi pod czaszką jak dioda.

Potarłem czoło.

– Przede wszystkim to, o czym mówisz, nawet jeśli istnieje, jest bardzo rzadkie.

– Ale czy można się temu przeciwstawić? Czy można dać jakiś odpór, zdusić w zarodku?

– Temu właśnie służą terapie i interwencje. Nie lekceważ uniwersalnych narzędzi tylko dlatego, że są uniwersalne. Dziecko poznaje ramy, w których coś może i czegoś nie może, na co pozwalamy, a na co nie...

– Może to wina Jacka – weszła mi nagle w słowo i chyba w ogóle mnie nie słuchała. – Faworyzował Marcela.

Ucichłem, czując ulgę, że w końcu wypowiada to imię.

– Michał to czuł – dodała.

– I dlatego robi krzywdę zwierzętom? Większość rodziców ma swoich faworytów, mimo to rzadko dochodzi do okrucieństwa.

– Jacek faworyzował Marcela – powtórzyła. – Choć prosiłam, żeby tego nie robił. Prosiłam wiele razy. Marcel, przepiękny i arcymądry... Czy małe dziecko, jak Michał, może już to czuć?

Nie chciałem udzielać tej odpowiedzi.

– Emocje... – zacząłem bezbarwnie.

– Proszę mi powiedzieć – zażądała. – Czy mógł odczuwać zazdrość? O ojca, którego nie ma w domu, a jeśli jest, to całą uwagę poświęca drugiemu synowi?

– Oczywiście – powiedziałem cicho. – Beata, ale nic nie jest nienaprawialne. Musisz mi zaufać.

– A jeśli coś już się stało? Możesz to odwrócić?

– Mogę pomóc.

– Więc nie potrafisz zniszczyć?

Powoli pokręciłem głową.

– Możliwe, że potrzebna będzie terapia. Regularna terapia, a nie tygodniowa interwencja. Jeżeli naprawdę masz obawy, to także wizyta u psychiatry. Ale moim zdaniem jest jeszcze na to za wcześnie.

– Na co za wcześnie? Mój mąż już ucieka z domu.

Wątpiłem, by robił to przez Michała. Ale chyba chciałem, żeby ta rozmowa się już skończyła. Dawno opuściłem profesjonalną strefę komfortu.

– Dobrze – powiedziałem. – Może dokończymy później. Dzisiaj pracowity dzień, prawda?

– Tak.

Wstała i ruszyła do wyjścia. A potem nagle się odwróciła.

– A czy przyznałbyś, gdyby coś cię przerastało? Gdybyś nie miał w czymś doświadczenia?

– Beata, wszystko, o czym mówisz... – Pstryknąłem palcami.

– Ale czy przyznałbyś, że nie masz tej wiedzy? Że nigdy nie pomożesz.

Wahałem się. Prawdziwa odpowiedź na to pytanie otworzyłaby furtkę, której jeszcze nie chciałem otwierać.

Milczałem niezdecydowany, więc powiedziała:

– Tak myślałam.

– Beata, nie chciałem tego mówić, ale jest jedna rzecz...

– Tak?

Splotłem dłonie.

– On jest adoptowany, prawda? – powiedziałem.

– Michał? – Poczzerwieniała. – Skąd taka myśl?

– Tak mi się wydawało. Z obserwacji.

– Oczywiście, że to moje dziecko – odparła. – To mój rodzony syn.

Pokręciła głową, ale zdążyła się szybko opanować. Zdobyła się nawet na nikły uśmiech.

– Dobrze. Muszę już iść, dziękuję za tę rozmowę. Zobaczymy się na śniadaniu, o ósmej – rzuciła i odeszła.

Przez chwilę wsłuchiwałem się w jej oddalające się kroki na wytartej drewnianej posadzce. Drugi dzień, interwencja dopiero się zaczynała. Włożyłem płaszcz i wyszedłem na zewnątrz. Wygrzebałem z paczki papierosa. Smak smoły i kawy z rana. Skryty za wysoką balustradą, byłem mało widoczny dla otoczenia.

Koło szopy wyczułem jakiś ruch. Świeciło się światło, ktoś się szykował do drogi. Wychylił się z niej Andrzej w kurtce moro. Dokąd się wybierał? Zamknął kłódkę, ale nie włożył klucza do kieszeni, tylko położył go pod dużym kamieniem.

Nagle zerknął w moją stronę. Przesunąłem się bliżej ściany, jakby naprawdę mógł mnie zobaczyć, i nie miałem pojęcia, dlaczego to zrobiłem.

9

Nadszedł czas na kolejną wyprawę do lasu. Ula napisała sobie na kartce: Jakub. Postawiła przy nim znak zapytania. Kim był dziwny mężczyzna, który nadszedł wtedy nad stawy? Powiedział przecież, że przyszedł z Karyszki.

Wcale nie chciała iść do tej wsi. Jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie. Co powie, kiedy zjawi się w tym domu? Jak miałyby się zachować, co powiedzieć, skoro nawet własnemu mężowi nie wyjawiała, że zajmuje się życiem Heleny Radło? Jaką okrutną ironią byłoby, gdyby dowiedział się tego nie od własnej żony, ale z krążących nad Roztoczem plotek?

Nagle, zupełnie bez powodu, zachciało jej się śmiać. Może to z nerwów. Zaczęła się chichrać, chyba sama z siebie. Dopiero po kilku chwilach usłyszała:

– Mamo?

Odwróciła się.

– Dobrze się czujesz?

– To stara matka nie może już się pośmiać?

– Nie jesteś stara, mamo.

– Taka się czuję.

– Przestań! – Kamila poczerwieniała. – Myślisz, że niewystarczająco się o was boję?

– Dziecko...

– Nie wystarczy ci, że tata cały czas mówi o śmierci? Ty też musisz?

Kamila pokręciła głową. Poczerwieniała i zaczęła płakać.

– Kochanie... – Ula wyciągnęła dłoń, ale ją cofnęła. – Dziecko, co się z tobą dzieje?

– Nic, mamo – odparła Kama i odeszła w stronę salonu. Ula nie mogła jej stąd widzieć, ale wydawało jej się, że dziewczyna skuliła się na kanapie.

Kamila faktycznie nie była sobą. Od dawna. Snuła się gdzieś na marginesie rzeczywistości, grzebiąc w telefonie. Ale nie chodziło o sam telefon, Ula miała intuicję, że ucieka tam od czegoś bardziej realnego...

Nagle poczuła się dziwnie: zarazem zablokowana i zagubiona. Zajmowała się zupełnie inną, zaginioną dziewczyną, a tymczasem tutaj, w domu, pojawiło się

zagrożenie. Coś tam siedziało, coś się ruszało, ale Ula poruszała się wokół tego jak saper.

Stała niezdecydowana. Zrobiła plany, chciała już iść, a dogrzebanie się do córki wydawało się trudnym przedsięwzięciem. Taka grzeczna, ułożona, idealne dziecko... Ula spojrzała na już nałożone buty. Na Ksawerego, który zdążył wywęszyć spacer. Podeszła i przytuliła córkę, czując, jak mała się usztywnia, i obiecując sobie, że zajmie się tym po powrocie.

Później. Jutro.

Wyszła z domu, ale podążyła w innym kierunku, niż wcześniej sama ze sobą ustaliła; nie w stronę stawów Echo, tylko starego browaru i głównej zwierzynieckiej drogi. Kiedy minęła ten smutny szary budynek, w lecie zapełniający się piwoszami, przeszła przez jezdnię i wkroczyła na szlak.

Tym razem poszła drogą, a potem szlakiem na Bukową Górę. Nagle odsłoniły się przed nią gołe jesienne pola. Owinęła się szczelnie płaszczem, kiedy zaczęła schodzić w tamtą stronę.

Wiało, wiatr niósł ze sobą całe Roztocze; czuła zapach bagnisk, przegnitej trawy, liści zalegających tonami po lasach, nadchodzącej zimy. Gdzieś na samym końcu tych pofałdowanych pól znajdowała się wieś o nazwie Karyszka. Tam właśnie Ula zmierzała.

O tej porze roztoczańskie wsie wydawały się jeszcze bardziej opustoszałe niż Zwierzyniec. Żadnej nadziei tutaj dla ludzi, którzy po prostu zapadali w sen zimowy. Telewizja w ograniczonej ofercie, kołdry, a ostatnio jeszcze internet. Domy, ale nie drewniane, jak w Zwierzyncu, tylko murowane, biedne, z zabetonowanymi podwórzami. Odrębny świat, który jeszcze się nie przystosował do wymogów turystyki.

Ksawery chyba też czuł się nieswojo, oszczekiwany przez stado przykurczonych kundelków. Hałas, jaki robiły, oznajmiał jej przyjście wszystkim okolicznym mieszkańcom.

Zatrzymała się. Od czego jednak zacząć? Malutka wioska pośród rozmokłych pól. Ani sklepu, ani kiosku, ani przystanku autobusowego.

Nie miała wyjścia, musiała zapukać do jednego z domów. Nie do rodziny Radłów, nie tak od razu. Ich dom zdążyła już poznać. Widziała go na zdjęciach, a teraz z bliska. Z brudnej cegły, nigdy nieotynkowany, w obejściu budynki gospodarcze beczelnie kryte azbestem. Tu właśnie wychowywał się ów roztoczański kwiat, Helena Radło – nawet tu mogło rozkwitnąć piękno.

Do tego domu jeszcze nie mogła wejść, zapukała za to do jednego z bliźniaków. Po jakimś czasie wyszedł z niego mężczyzna w koszulce „żonobijce”. Spoglądał na nią spokojnie, choć dosyć zaintrygowany. Obrzucił też wzrokiem Ksawerego.

– Dzień dobry. Poszukuję mężczyzny o imieniu Jakub – powiedziała.

– Jakub? – Mężczyzna podrapał się po torsie.

– Wysoki, z brodą, ostatnio ubrany w długą kurtkę, może pelerynę...

– Ej! – krzyknął gospodarz do środka. W polu widzenia pojawiła się żona. – Pani szuka jakiegoś Jakuba.

– Z Karyszki?

– Tak. Podobno tutaj mieszka.

Żona z kolei zuchwale zlustrowała Ulę od stóp do głów, niejako potwierdzając fakt, że kobiety ubierają się dla innych kobiet. Sama była zaskakująco dobrze ubrana, a Ula włożyła na siebie, co akurat trafiło jej się pod rękę.

– Nie, nie znam. – Kobieta szybko straciła zainteresowanie.

– Ja także sobie nie przypominam – powiedział jej mąż. – Ale zapytamy jeszcze sąsiada...

Ula się obejrzała. Z domu po drugiej stronie ulicy ktoś właśnie wyszedł. Telepatia? Poczta puszkowa?

– Nie trzeba – wtrąciła.

Za jej plecami ktoś się zatrzymał, do tego kogoś zaraz podeszła kolejna osoba. Okazja do pogawędki. Przestraszyła się, że za wcześnie tutaj przyszła. Falstart, nie chciała zostać jeszcze rozpoznana. Bo nadejdzie przecież dzień – i to niedługo – że będzie musiała udać się do rodziny Radłów.

Jedno wydawało się jednak jasne: Jakuba tutaj nie było.

Gospodarz nie odpuszczał.

– Dlaczego go pani szuka? – zapytał.

– Bo to mój znajomy.

– Żadnego Jakuba tutaj nie ma, proszę pani. Szuka pani na próżno.

Odeszła, zanim – miała nadzieję – zdążyli zapamiętać jej twarz. I tak będą plotkować, więc czuła się na siebie zła. Kim był tajemniczy Jakub? Czy musiała już to wiedzieć? Intuicyjnie nie pasował do Karyszki, nie wyglądał na gospodarza, nie miał dłoni rolnika, a sposób jego wyrażania się sugerował osobę pracującą głową.

Czy należał do rodziny Radłów? Nie mogła tego wykluczyć.

Kurtka moro, gumofilce. Może jego słowa były bardziej niewinne, niż się wydawało? Może nie powinna węszyć, tylko potraktować go jako wysłannika losu, który ma przekazać informacje, ale pozostaje tylko posłańcem.

Kręciło jej się od tego wszystkiego w głowie.

Wracała przez las, trochę z nadzieją, że znowu go spotka. Nie czuła się zbyt pewnie, ale natknięcie się na innych ludzi wydawało się bardzo mało prawdopodobne. Turyści nawet nie znali tego przejścia. Szła, czując coraz większą wilgoć w butach; znowu rozhulał się też wiatr. Pies szedł obok, lekko skulony. Dwukrotnie przekroczyła zwałony, spróchniały pień, za drugim razem poślizgnęła się i podparła dłonią w błocie.

Do szosy dotarła niemal biegiem, a potem szła poboczem, słysząc, jak kierowcy zwalniają przy niej zaciekawieni. Co robi samotna kobieta maszerująca w pogodę, która nie nadawała się zupełnie do niczego? Wreszcie znalazła się w połowie długości stawów: stała tu strażnica, można było wejść i obejrzeć panoramę.

Woda w stawach Echo została już częściowo spuszczone, ale dalej ciągnęło od nich chłodem i ciemnością. O tej porze zbiorniki stawały się „uczciwsze”: nie udawały kąpieliska, ale ujawniały swoją prawdziwą naturę bagien, które kilkadziesiąt lat wcześniej ktoś postanowił zalać wodą.

Nagły podmuch wiatru przewiał ją ostro. Poczwała, że ma już dość lasu na dzisiaj. Wróciła do Zwierzyńca, kupiła warzywa na kolację. Pomyślała, że zrobi też cannelloni, a później, jeśli Daniel wyjdzie z salonu, znajdzie chwilę na rozmowę z Kamilą...

Zamyślona, prawie nie zauważyła, kiedy dotarła na swoje podwórze. Postać na wózku poturkotała w jej kierunku.

Daniel jest za lekko ubrany, pomyślała zupełnie jak jego matka.

– Gdzie byłaś?

– Na spacerze.

– Tak długo?

– Jeszcze w sklepie i na Świetlicy... – skłamała bezmyślnie.

– Nie, Ula. Tam cię nie było.

– Szpiegowałeś mnie?

– Nie mogłem się dodzwonić. – Głos zabrzmiał lekko szyderczo. Kiedy to się pojawiło w jej mężu, kiedy zaczął się zmieniać? – I trochę się zmartwiłem. Więc spróbowałem na Świetlicy. Wiesia była bardzo zdziwiona, że mnie słyszy.

– Ja także.

– Powiedziała, że byłaś.

– Aha.

– Tylko że wczoraj.

– Dni mi się zlewają – wymamrotała.

Dlaczego skłamała? Kretynka, przecież mogła iść po prostu na spacer, nie potrafiła kłamać.

– Z dzisiejszym dniem ci się pomyliło?

Milczała.

– Więc pozostaje pytanie, gdzie byłaś. – Przybliżył się. – Zniosę wszystko, tylko nie kłamstwo. Zniosę każdą prawdę, ale kłamstwem się brzydzę. Nie wyświadczasz mi żadnej przysługi...

– Dobrze, nie byłam na Świetlicy.

– Och, cieszę się.

– Ale nie zrobiłam nic złego. – Czy naprawdę tak było? W pewnym sensie nic... – Czy nie możesz mi uwierzyć?

– Więc powiedz, co robiłaś.

Powiedział, że nie wyświadcza mu żadnej przysługi.

– Nie mogę – odparła.

– Ale dlaczego? Skoro nie zrobiłaś nic złego?!

Nie odpowiadała. Daniel patrzył na nią, ale nie ze złością, tylko tak smutno. Odwrócił się i powoli odjechał wózkiem. Było jej przykro. Miał umysł naukowca, ale kochał wysiłek fizyczny, a kiedy się poznali, jego ciało było jak struna. Muskularne. Latem jeździł na skałki i żeglował na Solinie. Teraz wjeżdżał do domu na wózku.

Chciała coś zrobić, zatrzymać go, zanim na nowo zniknie w swojej jaskini – z głową przepełnioną złością i pewny, że żona go oszukuje.

10

Moja żona biegła, potem jadła owsiankę z jabłkami i piła zieloną herbatę zamiast kawy. A ja od rana wdychałem dym winstonów. Poza tym dwie poranne rozmowy wyzęły mnie jak gąbkę i do tego byłem niewyspany. Jak co dzień od trzech lat.

Skryty za filarami, jak cień obserwowałem życie rodzinne. Michaś szedł do szkoły. A potem znowu miałem wkroczyć ja, z nadzieją, że pomogę. Do tego czasu pozostało kilka godzin i nie chciałem ich spędzać w domu Gajusów. Wabiła mnie ta przegniła, cudowna jesień.

Kiedy uznałem, że minęło poranne zamieszanie i zrobiło się pusto, skierowałem się w stronę szopy. Dochodziły stamtąd postukiwania i trzaski. Znalazszy się bliżej, zrozumiałem, że dźwięki nie pochodzą z tego budynku.

Z tyłu przyklejona do szopy była zwykła wiata, niewidoczna od strony podwórza. Nieoświetlona i w gruncie rzeczy dosyć prymitywna. Pod dachem zobaczyłem Andrzeja. Musiał już wrócić albo może jeszcze nie wyszedł do lasu. Rozejrzałem się. Czuć było tutaj średniowieczem. Dopiero po chwili zorientowałem się, co on tu robi. Wykuwał i hartował noże. Leżały dosłownie wszędzie.

Kiedy mnie zobaczył, odsunął się i zamknął podwójne drzwi prowadzące do szopy. Zdążyłem zauważyć, że ma tam niezłe gniazdo. Może „szopa” nie oddawała w pełni stanu rzeczy; to było po prostu jego miejsce na ziemi. Nie zamknął drzwi na kłódkę jak rankiem – zatrzaskał je tylko. Wydały z siebie słaby jęk.

Z tym człowiekiem nie zamieniłem jeszcze ani słowa. Tymczasem miał tak interesujące zajęcie. Jego wiata oraz najwidoczniej jego szopa pełne były frapujących sprzętów.

- Mogę obejrzeć? – Wskazałem na noże.
- Możesz – odparł zaskakująco miękkim głosem.

W lekkim nieładzie leżało tu sporo metalowych narzędzi zbrodni.

- Hobby? – zapytałem.
- Dla odstresowania.
- Tylko dla siebie?

– Trochę sprzedaję.

– W Zwierzyńcu?

– Nie, przez internet.

Musiałem wyglądać na zdziwionego.

– Mam konto na Facebooku.

Pozory myliły.

Wyglądał na niesamowitego dzikusa – ale teraz bardziej dostrzegałem w nim osobę, która nie tyle nie umie, ile zwyczajnie nie lubi się odzywać.

Która koncepcja wydawała się bliższa prawdy? Wrózenie z fusów, większość ludzi można było dobrze poznać dopiero po kilkunastu latach. Jak dowodził Daniel Kahneman, skłaniamy się ku szybkim wnioskom, nie angażując myślenia analitycznego.

Musiałem bezwiednie się do niego zbliżyć.

– Ten jest bardzo ostry, niedawno nad nim pracowałem – rzucił, kiedy niemal dotknąłem noża z białą rączką. – Ostrożnie.

– Sporo tego.

Wzruszył ramionami.

– Bo mam sporo czasu.

Moja twarz musiała oddać więcej emocji, niż chciałem.

– Renta – uzupełnił lakonicznie, ale treściwie.

Zastanawiałem się, na co może chorować ten istny okaz zdrowia. Zasunął plastikową płachtę.

– Muszę iść.

– Oczywiście, proszę – odparłem.

Pokiwał głową.

– Co planujesz, jeśli mogę zapytać? – podjąłem.

– Siostra prosiła mnie, żebym sprawdził, czy nie ma jeszcze rydzów w zagajniku. Chciałyby je usmażyć na kolację.

– Ach.

Grzybiarze. Faktycznie byli ostatnio wszędzie. Wydawało się, że wychodzą z jakichś czeluści, z sobie tylko znanych leśnych pieczar. Inna sprawa, że nie miałem pojęcia, czy w parku narodowym można zbierać rydze. Ale ugryzłem się w język. A potem zadałem pytanie, którego sam się nie spodziewałem.

– Czy mógłbym ci towarzyszyć?

Szliśmy długo. Andrzej nie zwracał uwagi na ludzi po drodze. Jego kurtka koloru khaki to znikwała, to pojawiała się w głębi lasu. Stawał się prawie

niewidoczny, stąpał miękko jak kot i cicho jak pajak. Wysiętek marszu z młodszym, znającym teren mężczyzną wybił mi z głowy wszystkie niepokojące poranne myśli.

Wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Zagajnik wyglądał jak inne, ale kiedy się do niego zbliżyliśmy, dostrzegłem całe szeregi, kolonie rydzów. Andrzej podszedł do mnie szybkim krokiem. A kiedy był już naprawdę blisko, wyjął z kieszeni nóż. Rozpoznałem jedno z jego dzieł.

– Proszę się nie skaleczyć.

Wkrótce zebraliśmy cały koszyk. Widocznie uznał, że dość – choć sporo zostało. W każdym razie bez słowa usiadł na pniaku i zapalił papierosa. Palenie w lesie, zbieranie jego skarbów. Poruszał się w nim jednak miękko, niczego nie depcząc. Zanim ustanowiono lasy państwowe, tacy jak on po prostu w nich żyli. Jego własny szwagier wystawiłby mu mandat.

Dwie skrajne postawy w jednym domu. Jak ci mężczyźni się ze sobą dogadywali? A jednak coś ich łączyło, choć nie widziałem, aby zamienili ze sobą choć jedno słowo...

Kurtkę odwiesił na gałąź. Przełknąłem ślinę. Intuicja uformowała w moich ustach pytanie.

– Jak on zginął?

– Kto?

– Marcel.

Zaciągnął się głęboko.

– Utopił się.

– Chciałbym znać szczegóły.

Wzruszył ramionami.

– Nikt nie wie. Wyszedł sam... łąził sam dość często, był z niego mały kozak. – Andrzej zamyślił się i już sądziłem, że na tym skończy. – Ale nie wrócił na noc...

– Dlaczego tak łąził?

– Lubił.

– Aha.

– Niektórzy lubią się powłóczyć. No ale nie wiem, zgaduję. – Pokręcił głową. – Policja też niewiele odkryła, choć siedzieli u nas ze trzy dni. Zorganizowano poszukiwania, od razu myśleliśmy o stawie.

– Dlaczego?

– Zdradziecka woda. Może chciał sprawdzić głębokość, stawy wydają się płytkie. Pewnie myślał, że już spuścili wodę, i chciał zobaczyć bagna pod spodem.

Zamilkł.

– Te bagna naprawdę wciągają – dodał. – Możesz zniknąć i ani kość nie wypłynie.

– Ale... Marcela znaleźli?

– Tak. Ja też tam byłem. I Jacek... Musiałem go trzymać, kiedy zobaczył tę niebieską kurtkę.

Westchnął.

– Bardzo szkoda chłopaka.

Wróciliśmy, a potem Andrzej zostawił mnie bez słowa i znowu gdzieś zniknął. Powiedzieć, że chodził swoimi ścieżkami, to nic nie powiedzieć. Poczekalem jeszcze z godzinę. Pan domu również znikł, znowu czymś zajęty. A po naszej porannej rozmowie Beata chyba nawet niespecjalnie czuła się winna.

Przekazała mi, że w domu jest już Michał. Ucieszyłem się i zapukałem do jego pokoju. Znowu bawił się klockami Lego. Za oknem przedwcześnie zapadał zmrok, nadając pomieszczeniu gotycki klimat.

Kiedy wszedłem, odniosłem wrażenie, że mały nerwowo szarpnął ramieniem.

– Denerwujesz się? – zacząłem.

– Lubisz mnie? – zapytał znienacka.

– Oczywiście, że cię lubię. Skąd ci przyszło do głowy takie pytanie?

Wzruszył ramionami. Przypatrywał mi się równie uważnie jak ja jemu.

– Przecież nie ma powodu, żebym cię nie lubił.

– Już nie chcę się bawić klockami – powiedział.

– Wcale nie musisz.

Cisza.

– A w co chciałbyś się pobawić? Może chciałbyś porysować?

Dałem mu kredki. Patrzyłem, co robi. Wziął się do roboty solidnie, ale nie narysował nic niezwykłego. Samochody, parę postaci z bajek. Mama, tata. Dom; z komina wydobywał się bardzo gęsty dym.

Chłopiec rysował niesamowicie intensywnie, jednak z przewagą ilości nad jakością. Nie chciałem mu przerywać, ale kartki powoli się kończyły, a Michał pogrążony był we własnym świecie, w twórczym szale.

– Czy są jeszcze kartki? – zapytałem.

– Chyba tak.

– Gdzie?

– Na półkach – mruknął z roztargnionym wyrazem twarzy, jak Jackson Pollock wylewający swoją emalię.

Wstałem, rozglądając się po pokoju. Pierwszy raz mogłem go spokojnie zlustrować. Widać było trud włożony w to, żeby nadać temu wnętrzu dziecięcy charakter. Czy się udało? Wydawało mi się, że pod kolorowymi regałami dalej widzę tylko smutne stare mury. Dom spowity duchem tragedii.

Szperałem po półkach; co za bałagan. Wbrew pozorom wcale tu nie sprzątno, tylko upychano wszystko po kątach. Pokój wydawał się jak ten dom: z pozoru zadbany, a tak naprawdę nie.

Gdzie te kartki? Tysiące książeczek, niektóre pokryte kurzem, serie z Puciem i Kicią Kocią, które z powodzeniem można by już oddać młodszym dzieciom. Serie z Tomkiem i panem Samochodzikiem, na które Michał wydawał się zdecydowanie za mały, a sądząc po kurzu, nikt po nie nie sięgnął od upadku PRL-u...

W końcu się dogrzebałem. Pod spodem znalazłem stosik dzieł Michasia. Dobrze, że rodzice ich nie wyrzucali, jak robili to inni, u których pracowałem. Za dnia chwalili dokonania dziecka, a nocą, jak przestępcy, pozbywali się dzieł, aby ich idealnie urządzone domy nie zmieniały się w składy makulatury.

Stosik był zaskakująco gruby, przejechałem palcem po kartkach. Przysięgam, że w tym momencie zdało mi się, że rybki w akwarium w kącie pokoju zaczęły szybciej pływać, odbijając się niemal od szklanych ścianek. Oczywiście to wszystko było złudzeniem – efektem tego, co zobaczyłem.

Kartki, dziesiątki kartek pokolorowanych w jednej tonacji – zielonej. W kategoriach abstrakcja czy obraz figuratywny zdecydowanie postawiłbym na to drugie. Widniała na nich postać z zielonymi włosami.

Instynktownie wyczułem, że mały przerwał zabawę. Może mi się przyglądał, a może po prostu czekał na kartki. Przebierałem po nich palcami. Czy chłopiec ukrył to przed rodzicami?

Wszędzie był zielony ludzik, a gdzieś tam też dziecko ze złotymi włosami i w niebieskiej kurtce... Trzymali się za rękę.

11

Ula czuła się skołowana. Praca nad książką stanęła w martwym punkcie; paraliżowała ją rozmowa z Danielem i poczucie winy. Skąd się to brało? Dlaczego? Czy naprawdę zrobiła coś złego? Robiła to *dla nich*, tylko dlaczego nie potrafiła wypowiedzieć tego głośno? Wszystko robiła dla Daniela, ciągnęła *jego* projekt, zajmowała się *jego* dziełem życia, a on tylko parsknął na nią jak kot polany wodą i zamykał się w czeluściach własnego pokoju, poranionego umysłu i ciała.

Świetlica dzisiaj była chyba przedłużeniem jej stanu; mimo słonecznego dnia szło jej ciężko. Przedstawienie, żywiące się jej własną książką, również utknęło, bo znowu kogoś zabrakło. Wyszła na zewnątrz. Końcówka października, znienacka zrobiło się ciepło. Mimo kojącej pogody nagle zwątpiła w sens tego, co robiła.

Czemu to pisanie miało służyć? Czy ona sama wierutnie się nie okłamywała? Czy jeszcze tworzyła cokolwiek poza czytałkami, które czytelnicy łykali w jedną noc? Początkowo nie posiadała się z radości na wieść o ich poczytności, z czasem zaczęła na nie patrzeć jak na dzieła jednorazowe, do przeczytania i zapomnienia.

Na dworze dołączyła do niej Wiesia, wystawiając twarz do słońca. Wielkie kocie okulary sprawiały, że wyglądała jak ogromna, doświadczona przez życie kotka. Ironię losu stanowiło to, że kochała psy, których miała chyba z pięć.

Dzieci były niedaleko, wśród nich kręciła się Kama. Córka rzuciła Uli porozumiewawcze spojrzenie, jakby to ona potrzebowała dzisiaj otuchy.

– Czy pamiętałaś o mojej prośbie? – zwróciła się półgłosem do Wiesi.

– Proszę?

Wiesia wyglądała na zdezorientowaną, więc Ula dodała:

– Sprawdzić, kto wymyślił przedstawienie?

– O Chryste, przykro mi. Zapomniałam... – oznajmiła głośno.

– Nic się nie stało. – Ula położyła jej dłoń na ramieniu, trochę po to, aby wyciszyć rozmowę.

– Przepraszam – powtarzała Wiesia.

– Powiedziałam, że nie trzeba – odparła Ula, zastanawiając się, jakie dziury w pamięci ma już koleżanka i czy cokolwiek można jej przekazać. Oby pewnego dnia nie padła na ziemię i nie stała się ofiarą własnych psów. – Naprawdę nic się nie dzieje.

Wiesia dalej wyglądała na wytrąconą z równowagi.

– Nie tylko za to cię przepraszam – rzekła skruszona.

– A za co jeszcze?

Wiesia się zawahała.

– Chyba cię trochę zdemaskowałam przed Danielem – oznajmiła.

Ula najpierw się w nią wpatrywała, potem machnęła ręką, uświadamiając sobie, że naprawdę mało się tym przejmuje, a w każdym razie na pewno nie oskarża biednej Wiesi. I tak to się musiało wydać, choć nie wiedziała jeszcze, ile wie sam Daniel. A zależnie od tego powinna opracować konkretną strategię.

– Wiesz, że poznałam go jako studentka? – zagaiła.

Wiesia pokręciła głową.

– Żebyś wiedziała, jak on mi imponował. Na KUL-u wszystkie były w nim zakochane. Gwiazdorzył, wiesz?

Wiesia kiwnęła głową. Ula się zaśmiała.

– To do niego nie pasuje, prawda? Do tego Daniela, którego znamy.

– Nie. Chociaż... – Wiesia nagle przerwała.

– Tak?

– No przecież wiesz. Jesteśmy przyjaciółkami.

Nie były, ale Ula wpatrywała się w nią uważnie.

– Nie jestem głupia, a na pewno nie jestem już młoda i głupia – powiedziała.
– Czy chodzi ci o te dziewczyny?

Milczenie.

– Wiem, że chodziły słuchy – mówiła dalej Ula. – Ale kobiety zawsze się koło niego kręciły, możesz mi wierzyć. A on chciał czegoś więcej. Miał wizję. Pomysł, jak wprowadzić idee w życie. Zwierzyniec wydawał się idealny, to było jego miasto i oczy mu błyszczały, kiedy o tym opowiadał. Nie chciał być jednym z tych naukowców z uniwersytetu, niezainteresowanych niczym poza własną habilitacją i notką w Wikipedii. Wtedy właśnie zaczął mi opowiadać o Zwierzyńcu. O tym, jak to było tutaj dorastać i czego brakuje małym miejscowościom. Oraz dlaczego po transformacji świat o nas zapomniał. Pewnego dnia rozrysował to wszystko przede mną...

– Pewnie nie było ci łatwo.

– Dlaczego?

– Jesteś z Lublina, prawda?

– Tak.

– Dziewczyna z wielkiego miasta.

– Jest mniejsze, jeśli w nim mieszkasz – zapewniła. – Jak każda metropolia.

Ale to ironia, nie sądzisz?

– Co?

– Że on, twórca Świetlicy, nie był w niej od dziesięciu lat, a ja jestem codziennie.

Czuła, że się niebezpiecznie rozgaduje, ale nie potrafiła tego zatrzymać. Znowu minęły je jakieś dzieciaki. Dorastające dziewczyny. Zupełnie jak Helena Radło kilkanaście lat temu. Wszystko, co o niej czytała... Czyżby teza, którą postawił Daniel, była trafna?

Mawiał, że to, co trapi dzieciaki stąd, to nie są zła wola, lenistwo czy „złe” geny, ale po prostu brak możliwości, jakie mają dzieci z miasta. No i Świetlica kwitła, pomyślała Ula – tylko po to, żeby w następnej chwili przypomnieć sobie o przedstawieniu.

Zamknęła oczy. To musiał być przypadek, to na pewno był przypadek. Zbieżność tematów nie świadczyła o niczym innym, tylko o paranoi, w której żyła ona sama. Może nie powinna zawierać wszystkiemu, co widziała i czuła? Powinna się przyjrzeć własnej psychice, a nie dzieciakom, które w miejsce nudnego odtwarzania wzorców spróbowały zrobić coś z życiem.

– A gdybym wiedziała, co się później wydarzy... – powiedziała i urwała.

Odniosła wrażenie, że Wiesia zaczęła na nią patrzeć z większą intensywnością.

– Nie obawiasz się dzielić z nim życia?

Przez chwilę Ula wpatrywała się w Wiesię z niedowierzaniem.

– O czym ty mówisz?

Koleżanka nie odpowiedziała.

– Nie miał z tym nic wspólnego – podjęła Ula. – I nawet tak nie żartuj.

– Nie wiem, czy tak uważam. Nie wiem, czy ty tak uważasz... Nikt nie wie, co o tym sądzić, skoro nie odnaleźli tej biednej dziewczyny. Ale przecież gdyby był zupełnie niewinny...

– Tak?

– Toby go to nie spotkało, prawda?

No i stało się. Ula przez chwilę przetrwała, co właściwie Wiesia zamierzała jej przekazać. Człowiek z zewnątrz nie miałby żadnych wątpliwości. To raczej jej własny umysł blokował się przed przyjęciem tego do świadomości...

Kiedy sens wypowiedzi Wiesi ostatecznie do niej dotarł, dotarł również i gniew – w jej głowie przyjmujący zwykle postać czegoś ognistopomarańczowego lub dla odmiany wściekle fioletowego.

– Ty... jak możesz?! Czyli kalectwo miało być dowodem jego winy, tak?

Wiesia długo nie odpowiadała.

– On się wycofał ze świata – oznajmiła w końcu.

– Niedziwne, skoro ten świat taki jest.

– Jaki?

– Jak ty. Oceniający, krytyczny. Osądzający nie logicznie, ale emocjonalnie.

I po prostu głupi.

Wiesia poczerwieniała. Ula patrzyła jej prosto w oczy. A potem Wiesia zaskakująco spokojnie zgasiła papierosa w słoiku i schowała się z powrotem w Świetlicy.

12

Do tej pory, kiedy myślę o wodniku, przed oczami pojawia mi się postać z rysunków Michała. Zbliżyłem się do chłopca z kilkoma kartkami w ręku.

– Kto to jest? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam.

– Ostatnio mówiłeś...

Zawahałem się. Wydawał się mało zainteresowany.

– Ostatnio mówiłeś, że Marcela zabrał wodnik.

Zdobyłem jego uwagę. Michał wpatrywał się we mnie i chciał wiedzieć. Chciał wiedzieć tak samo jak ja. Zielona postać wodnika pochodziła z jego opowieści, ale dotarło do mnie, że on nie kłamie. Że sam chce wiedzieć.

Że zapomina.

– Może – mruknął.

– Dlaczego tyle tego namalowałeś? – Przewracałem kartki w dłoniach. – Czy pamiętasz, kiedy je rysowałeś?

Chłopiec pokręcił głową.

– Czy ktoś je widział?

– Nie rozumiem.

– Czy je komuś pokazywałeś?

Michał milczał przez dłuższą chwilę.

– Wujku?

– Tak.

– Nie pamiętam, kiedy zrobiłem te rysunki – oznajmił, po czym wrócił do swojego obrazka samochodu.

Dudniło mi pod czaszką.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedziałem.

Uporządkowałem kartki na półce, a następnie wyszedłem z pokoju. Co właściwie zamierzałem zrobić? W garści wciąż trzymałem plik rysunków, które przed momentem pokazywałem Michałowi. Zszedłem z nimi na dół. Nie wiedziałem nawet, dokąd idę, byłem pogrążony w dziwnym transie.

Musiałem napić się kawy i pomyśleć. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że w kuchni ktoś jest – i że są to ludzie, których w tym momencie chciałem zobaczyć najbardziej.

Gajusowie. Spierali się o coś. Siedzieli w samym rogu stołu, jakby chcieli się skryć przed światem. Ona pierwsza mnie dostrzegła i przerwała w pół zdania.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytała.

Odczekałem chwilę.

– Chciałbym porozmawiać – powiedziałem.

Pierwszy raz widziałem ich razem.

Bajka się rozpadała. Do tej pory w mojej wyobraźni Beata i Jacek funkcjonowali jako niezależne byty: perfekcyjna gospodyni oraz leśnik gwiazdor. Dziś Jacek zczesał długie włosy do tyłu i włożył sweter z golfem. Ona – jak zawsze trochę sztywna, w grzecznym sweterku w romby. Wyglądała jak Angielka. Czy jak mnie nie było, też się tak ubierała?

Gdzie się w tym domu spędzało wieczory? Salonu, w dosłownym sensie, nie dostrzegłem. Czy ludzie mogli być zadowoleni z życia bez swojego miejsca na kanapie? Jakiegokolwiek miejsca grupującego domowników?

Nie przyjechałem tu, aby dokonywać rewolucji, ale pierwszy i jedyny wspólny posiłek zjedzono tu w dniu mojego przyjazdu, i to bez dziecka, które zostało wysłane spać.

– Kawy? – zaproponowała grzecznie Beata.

Wstała, unikając mojego spojrzenia. Wydawała się jeszcze bardziej usztywniona niż zwykle.

– Poproszę.

Chwilę później postawiła przede mną kubek. Zapadło milczenie; wydawało mi się znaczące.

– Wy chyba oczekujecie ode mnie konkretnych rezultatów, prawda? – zapytałem.

Beata uciekła wzrokiem. Jacek podtrzymał spojrzenie.

– Tak. W rzeczy samej. Oczekujemy – rzekł.

– Jest jednak pewien problem.

– Domyślam się.

– Czyżby?

Beata wydawała się stropiona. Nagle uświadomiłem sobie, że to nie ja byłem na cenzurowanym, tylko przede wszystkim ona. Kontrolowana przez inwestora,

być może ofiara przemocy finansowej. Występowałem w roli najemnika, ona mnie tu ściągnęła, pewnie za pieniądze męża.

– Proszę mówić jaśniej – rzekł.

– Dobrze. – Zrobiłem pauzę. – Chcę z wami porozmawiać o śmierci Marcela. Michał ciężko to przeżywa. Zwizualizował sobie nawet śmierć brata.

Przerwałem.

– Źródłem agresji chłopca może być śmierć Marcela.

– Dlaczego?

– Bo on tego nie rozumie. Nie wie, dlaczego i co się stało, ale trauma pozostała, potworna, głęboka... Wyobraził sobie postać wodnika. Ten wodnik w umyśle chłopca ma coś wspólnego ze śmiercią Marcela. Nie wiem, skąd Michał to wziął, fantazja dzieci jest nieograniczona.

– Puszczalam mu takie bajki – weszła mi w słowo Beata.

Zerknąłem na nią.

– Rozumiem.

Przełknęła ślinę.

– Czy nie mógłbyś się ograniczyć do tego, co jest na twojej stronie i o czym rozmawialiśmy przez telefon?

Byłem przygotowany na takie pytania.

– Owszem. Mógłbym, choć naprawdę byłoby dobrze, abyście aktywnie uczestniczyli w mojej pracy. Ale czasem... – zawahałem się – przyczyny sięgają głębiej. To nie zależy ode mnie, nie jestem demiurgiem i nie prowadzę regularnej terapii.

Jacek roześmiał się basowo.

– Mówiłem ci, mówiłem od samego początku – odezwał się do Beaty. – Zadowolona?

– Jacek...

– Wyrzuć pieniądze na coś innego. Cokolwiek, co by nie mieszkało w naszym domu przez tydzień.

Oniemiałem. Beata spąsowiała.

– Przepraszam.

– Przypuszczam, że odnosisz się do mojego wynagrodzenia – zwróciłem się bezpośrednio do Jacka – choć moim zdaniem jest uzasadnione. Nie to jednak jest w tej chwili najważniejsze. Uważam, że powinniście szerzej wyjaśnić Michałowi śmierć brata.

– Dlaczego?

– Może z jego perspektywy jego brat dalej żyje. – Pokręciłem głową. – Wiem, że to dziwne, ale spróbujcie zrozumieć: on się znalazł w takim dziwnym uniwersum. Dzieci usiłują sobie tłumaczyć zdarzenia. Kiedy rodzice się rozwodzą, a przy okazji przeprowadzają, powiedzą: tata zmienił pracę. I nie będzie tu przeinaczania faktów, tak po prostu myślą. Moja sugestia, bo nie mam prawa do podejmowania takich decyzji, jest następująca. Przypuszczam, że konieczna jest regularna terapia. Krzywda bliskiej osoby to jedno z najsilniejszych źródeł złości. Tkwi bardzo, bardzo głęboko.

Przerwałem.

– I mogę wam w tym pomóc, bo...

– Bo...

– Istnieje ryzyko, że to nigdy nie ustanie. Na jakimś poziomie Michał nigdy nie przepracuje tego, co spotkało jego brata. Będzie to przerabiał bez końca.

Zapadła cisza.

A potem, choć to wydawało się trudne do uwierzenia, Jacek po prostu wstał i wyszedł. Beata już mnie nawet nie przeproszała, tylko podążyła za mężem.

Nie zamierzałem się denerwować. Spokojnie wypilem kawę. Po tej rozmowie sam poczułem, że muszę się wyrwać z domu Gajusów. Jeżeli dokonano morderstwa, a chłopiec to widział, powinienem zawiadomić policję. A to oznaczałoby wejście w kanał, który opuściłem lata temu i do którego z pewnością nie chciałem wracać.

Wyszedłem na drogę i wkrótce, pogrążony w myślach, maszerowałem przed siebie przez jesienny Zwierzyniec. Od przeszłości nie da się zwać, choć nie zaprzeczę, że myślałem o ucieczce. Uciec – ale tylko dlatego, że czułem się słaby i nie chciałem widzieć zła, a chciałem żyć, choć przecież życie bez zła nie istniało. Więc mój trud był daremny, wysiłek bezsensowny, a myślenie, że to cokolwiek rozwiąże – co tu dużo mówić – głupie.

Dopadła mnie frustracja i może dlatego kroki same zaczęły mnie prowadzić do kościoła. Nie jestem wierzący, od wszelkich religii odszedłem dawno temu. Ale w skołowanym umyśle czasami powracamy do pierwszych symboli dzieciństwa, dla mnie reprezentowanych przez wieże kościołów w miasteczkach Dolnego Śląska. W jednej z takich miejscowości się wychowałem. Do innych dojeżdżałem na rowerze, gdzie indziej spędzałem kolonie. I w każdej stał piękny kościół.

Nie byłem w kościele już z dziesięć lat. Wszedłem i usiadłem z tyłu. Na śluby znajomych dojeżdżałem później i czekałem pod budynkiem, z kwiatami,

udając, że uczestniczyłem w całej uroczystości.

Kościół był otwarty. Wdychałem zapach, trochę jak narkoman. Kadzielnica, stare mury. Wydawał się niewielki, jak przystało na kościół na grobli, w środku było dość ciasno.

A jednak nie byłem sam. Przede mną siedziała kobieta, wcale nie staruszka, o pięknej linii ramion. Jakie to dziwne: dwie osoby w kościele, być może dwie osoby w kryzysie – czego tu szukaliśmy?

Zdawało mi się, że moja obecność, tak wyczuwalna w małym wnętrzu, poruszyła ją. Może prowadziła jakieś samotne rozmowy i nie chciała intruza. W każdym razie dosłownie kilkanaście sekund po tym, jak wszedłem, wstała powolnym, pełnym wdzięku ruchem. Przechodząc obok mnie, lekko obróciła twarz. Widziałem jej czysty profil i wyprostowaną sylwetkę. Coś w jej ruchach zdradzało kulturę. Coś w twarzy – wrażliwość.

Nie obejrzałem się za nią, tylko wsłuchiwałem w cichnące kroki na posadzce. Wkrótce drzwi się zamknęły i zostałem w kościele sam.

13

Ula obudziła się zmotywowana. Wizyta w Karyszce tylko wzmocniła jej determinację. Musiała dotrzeć do Jakuba, ten człowiek wydawał się kluczowy dla jej poszukiwań. Wyszła na zewnątrz, gotowa, żeby zawołać Ksawerego.

– Mamo? – usłyszała głos Kamili.

Obróciła się, prawie zdziwiona. Dzieci. Są z tobą przez tyle lat, potrzebują cię, a potem – pamiętała jeszcze, jak to było z nią – stają się niewidoczne.

Poczuła wyrzuty sumienia. Była pisarką w karykaturalnym sensie: bez przełomowych myśli i zmieniających świat książek, za to z uciążliwym oderwaniem od otoczenia.

– Dokąd idziesz? – zapytała córka.

– Och, zbieram materiały...

– O czym teraz piszesz? Czy znowu będzie gorąco i sensacyjnie?

Ula spojrzała na nią przeciągle.

– Żartujesz sobie ze mnie, kochanie?

– Co ty, mamo, przecież wiesz, że cię czytam.

– Wiesz, że piszę, bo musiałam utrzymać rodzinę. Pamiętasz o tym, prawda?

– Pamiętam.

Ula pokręciła głową. Skąd się brała lekka irytacja? Czy dlatego, że Kamila zupełnie nie zaabsorbowała jej genów, i w całości była młodszą i kobiecą wersją Daniela? Miała jego nos, włosy i figurę. Przede wszystkim zaś jego spokój. Albo może jego spokój sprzed wypadku.

Czasem Ula pograżała się w fantazjach i rozmawiała z dzieckiem, którego nie miała. Drugą córką, znacznie do niej podobniejszą. Hybrydą między nią a jej własnym dzieckiem. Z czasem zrozumiała jednak, że z tą młodszą wersją siebie z pewnością nie dogadałaby się tak łatwo. Pozostawała zbyt niedogadana z samą sobą.

– Nie, kochanie, piszę teraz coś innego – powiedziała.

Kamila milczała przez dłuższą chwilę.

– Chyba wiem – rzuciła w końcu.

– Wiesz?

– Szczerze mówiąc, to wszyscy wiedzą. I plotkują...

Zamilkła nagle. Kamila nie mogła być świadkiem dramatu, jaki dotknął ich rodzinę, ale przecież wychowywała się w jego cieniu. Nie pamiętała ojca bez wózka. W wieku sześciu lat zaczęła zadawać różne dziwnie brzmiące, choć logiczne pytania – ale musiały minąć kolejne cztery lata, zanim zdecydowali się na nie odpowiedzieć. Zanim się nauczyli, jak w ogóle można na nie odpowiadać.

– To nic takiego, kochanie – podeszła i przytuliła córkę.

Kama tak szybko fizycznie zmieniła się w kobietę, pozostając zarazem dzieckiem, że to się wydawało szokujące. Ula obserwowała córkę, jej poważny wyraz twarzy, ubranie w barwach czarno-popielatych. Nagle zrozumiała, że umysł Kamy zaczynał doganiać ciało. Stawała się powoli dorosła, ze wszystkimi potencjalnymi ciężarami, jakie to ze sobą niosło.

– Możesz nam powiedzieć, mamo.

– Wiesz, że nie lubię opowiadać o pracy, zanim skończę, bo...

– Bo boisz się, że to zaburzy odbiór własnej książki.

– Pamiętasz – uśmiechnęła się.

– Oczywiście, że pamiętam. Nie jestem dzieckiem.

– Ale dziwne. – Ula pokręciła głową. – Właśnie to przed chwilą pomyślałam. Że nie jesteś dzieckiem. Kiedy to się stało?

– Nie wiesz?

– Co, córeczko?

Tego się jednak nie spodziewała. W oczach Kamy nagle zalśniły łzy.

Ula usiadła w progu, niezdecydowana, myślami już gdzieś indziej, ale ciałem wciąż tu i teraz – ze swoją dorastającą córką.

Miała bardzo niesprawiedliwą myśl, że Kama jest złośliwa, skoro zmusza ją do rozmowy, kiedy ona jest już mentalnie w pracy... Okropna myśl, bo może dziewczyna naprawdę chciała ją jakoś zatrzymać.

Ksawery szczerknął, patrząc na nie nieufnie – jakby zrozumiał, że nici ze spaceru.

– Coś się wydarzyło? – zapytała.

– Wiesz co. Dwa lata temu.

Zastanowiła się.

– Co się stało dwa lata temu?

– On się utopił.

– Marcel Gajus, czy o to ci chodzi? Czy ty...

– Co ja?

– No on, ty... – Ula poczuła się bardzo zakłopotana.

– Nie byliśmy parą, jeśli o to ci chodzi. Ale bardzo, bardzo go lubiłam.

Dziewczynka zrobiła pauzę.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek spotkam jeszcze kogoś takiego. On był taki fajny, mądry, koleżeński, przyjazny. To, co się stało... – Kama urwała.

– Takie rzeczy się zdarzają – powiedziała Ula.

– Tylko dlaczego tutaj? Dlaczego właśnie nam?

– Córeczko...

Kama zaczęła płakać.

– Najpierw tata, a potem...

– Przecież nie możesz tego pamiętać.

– Czy to znaczy, że mnie to nie boli? Och, mammo...

Usiłowała złapać ją za dłoń, ale Kama się wyrwała. Teraz Ula poczuła się głupio.

– Nie wiedziałam...

– Nie wiedziałaś, bo cię nie było.

– Jak to nie było? Co ty opowiadasz, dziecko!

– Zawsze jesteś gdzie indziej. Tata mi powiedział, bo ty nie jesteś w stanie. Jemu mówisz więcej, on mówi mi. Poza tym słyszałam twoją rozmowę z Wiesią. – Zrobiła pauzę, która trwała niemożliwie długo. – I może ja ci mogę pomóc. Chcesz wiedzieć, kto wymyślił to przedstawienie, prawda?

Ula już wiedziała.

– To był Marcel, prawda? – wyszeptała.

– Tak.

– Jesteś tego pewna?

Kama poczerwieniała. Ula bardzo starannie zastanowiła się nad kolejnym pytaniem. Musiała odegnąć pisarską ciekawość, pozbyć się zachłanności na informacje i ciekawe historie.

Musiała wysłuchać swojej córki.

– Opowiedz mi o nim – powiedziała.

– Co?

– Wszystko. Jak on wyglądał? Przecież ja go nawet nie pamiętam.

– Dokładnie jak pan Gajus. Miał długie złote włosy.

– Czyli był przy tym ładny?

– Może. Ale przede wszystkim superzdolny. Jak się czymś zainteresował, Jezu, miał tak przenikliwy umysł. I właśnie chyba... on się czymś bardzo

zainteresował. A potem... coś się stało.

– Co takiego?

– Był okropnie podekscytowany. Nie chciał mi powiedzieć czym. Zaczął sporo czytać, interesować się nauką, siedzieć na jakichś forach... Kiedy pytałam, co robi, mówił mi, że to są poważne fora, dla dorosłych ludzi... że nie chciałam tego wiedzieć.

– Naprawdę?

– Tak. A potem pojechał do Zamościa. I po tym Zamościu było już zupełnie inaczej.

– Po co tam pojechał? Wiesz?

– Nie wiem, ale wrócił stamtąd w innym nastroju. Popadał w takie smutne stany i przestał mi cokolwiek mówić. Wtedy zaczęły się pojawiać mroczne wątki w sztuce. Bo to przedstawienie pierwotnie wyglądało inaczej, ale po Zamościu... Marcel przyszedł z inną historią. Miałam wrażenie, że zaszło w nim coś złego, czego nie rozumiem. Poza tym były inne niepokojące rzeczy. Zaczął dostawać beznadziejne stopnie, chociaż wcześniej był prymusem. Jakby wszystko przestało go interesować poza tą głupią sztuką.

Ula wpatrywała się w nią dłuższą chwilę. Czuła mętlik w głowie. Dzieci miały swoje trudne momenty. Przypadek rządził życiem, przecież to musiał być przypadek... To jej rozbujana wyobraźnia i stres po rozmowie w lesie powiązały zwykłe w gruncie rzeczy przedstawienie z jej własnym śledztwem. Literackim dochodzeniem.

Gdzieś z tyłu przebijała się inna myśl, być może trzeźwiejsza i zdrowsza. Bo słuchając tego, myślała bardziej o córce. Czuła, że powinna teraz coś zrobić. Jak się reaguje w takich sytuacjach?

– Kochanie...

– Wiem, musisz już iść.

– Dziękuję, że mi to opowiedziałaś. Chcę, żebyś opowiadała mi rzeczy, które są dla ciebie ważne.

– Wiem, mamu. Ale znowu to robisz.

– Co?

– Uciekasz.

– Nieprawda.

– Sama przyznałaś, że zawsze jesteś w dwóch światach. Książkowym i realnym. I tata jeszcze jedno mi powiedział. Że z czasem znikasz coraz bardziej. Że to już nie jest pół na pół. Że już prawie cię nie ma. Jemu się

wydaje, że ty już niemal widzisz rzeczy, które nie istnieją, ale które mają być w twojej książce. I to jest dla ciebie bardziej realne niż my.

– Czyli dogadaliście się, że zwariowałam, tak? – Ula parsknęła śmiechem.

– Nie, tylko że tak wolisz. Że wolisz tamtą rzeczywistość.

– Kama, nie wiem, dlaczego tata tak z tobą rozmawiał. Obawiam się, że obydwójce macie romantyczną wizję mojej profesji. Nie wiem, jak do tego doszło. Pod tym samym dachem. Nie wiecie, ile to dyscypliny, motywacji, samokontroli...

– Więc nie lubisz tego robić?

– Tego nie powiedziałam.

Kamila milczała.

– Bo ja czasem chciałabym, żebyś robiła coś innego – wyznała. – Nawet żebyś pracowała fizycznie...

– Wolałabyś, żebym nie pisała?

– A co mi z tego, że piszesz? Przecież to jest dla ciebie, mamo.

– Cóż, z innej pracy nie utrzymałabym nas wszystkich.

– Dlaczego zawsze o tym? O pieniądzach? To tylko pieniądze.

– Właśnie dlatego, żebyś mogła zadawać takie pytania i mówić rzeczy, których nie pojmujesz. – Ula wstała i w końcu ją przytuliła.

– Mamo, nie rozumiem.

– Zrozumiesz. Wtedy, kiedy będziesz robiła coś dla siebie, a nie dla pieniędzy. Wtedy zrozumiesz, a może nawet pewnego dnia mi podziękujesz, że nigdy nie musiałaś się o nie martwić. A to wszystko kosztem twojej starej matki bujającej w obłokach.

Wyszła z domu zła. Dopiero po dwustu metrach uświadomiła sobie, że nie zabrała Ksawerego. Była tak zdenerwowana po rozmowie z Kamilą. Pies na czas ich potyczek słownych zwinął się gdzieś w kącie, a potem wyszła bardzo szybko, no i zapomniała.

Jak to szło – „bujająca w obłokach”? Sama tak powiedziała, choć wcale tak nie sądziła. Ale czy dało się ujrzeć samego siebie obiektywnie? Wszystkie postaci z jej książek, te białe i te czarne, oraz szare moralnie – oni wszyscy w swoich głowach byli bohaterami.

Jedno wiedziała o ludziach: nawet ci o najbardziej analitycznych umysłach nigdy nie będą mieli pełnego obrazu samych siebie oraz rzeczywistości. Pewnie dlatego jej ulubionym filmem, według niej w ogóle najlepszym filmem wszechczasów, pozostawał *Rashōmon* Akiry Kurosawy.

Nogi same ją prowadziły, napędzała ją także złość na Kamilę, i w jakiś sposób również na Daniela. Przetrawiała w myślach swoją codzienność. Wstawała o piątej rano, aby ze wszystkim zdążyć, i od razu siadała do pisania. Potem budziła Kamilę, robiła jej kanapki i odwoziła do szkoły. Następnie wracała, żeby pomóc Danielowi... nie było ich stać na pomoc, kiedyś w ogóle na nic nie było ich stać.

To, że pisała, że ją czytano, stanowiło cudowne zrządzenie losu. Wszyscy powinni być za to wdzięczni. Z czasem to Kamila przejęła trochę zajmowanie się tatą, oczywiście w sensownych granicach i bez najbardziej intymnych czynności. Ta sfera już na zawsze należała do Uli.

Czy córka mogła mieć jej to wszystko za złe? Może chodziło o to, że matka scedowała na nią część opieki, i to właśnie frustrowało dziewczynę, więc, jak to ludzie mieli w zwyczaju, wszczęła awanturę o coś innego? A może miała rację, może Ula nie starała się wystarczająco, nie dość przebywała z nimi? Może pisarskie harowanie rzeczywiście było tylko wygodną przykrywką?

Od destruktywnych myśli rozboleła ją głowa. Nie wiedziała, kiedy znowu znalazła się w miejscu za szlabanem. Dlaczego tutaj? Nie planowała tego, a ocknęła się nagle, stojąc w ponurym lesie.

Nawet nie zarejestrowała stadniny koni, do której tak lubiła zaglądać. I wtedy dostrzegła sylwetkę. Nie tak widoczną jak za pierwszym razem, bo teraz mężczyzna niemal się stapiał z drzewami.

– Kto tam jest? – krzyknęła głosem, w którym wybrzmiał lekki strach.

Usłyszała kroki. Tak jak ostatnio.

– Czekałem, aż pani znowu tu przyjdzie – powiedział wysoki facet w zielonej kurtce.

Jakub.

– No i się doczekałem.

Przecież to niemożliwe, musiał ją śledzić... Poczula, że kręci jej się w głowie. Cofnęła się pół kroku. Machinalnie zgięła dłoń, jakby trzymała w niej smycz – i uświadomiła sobie, że jest sama.

Ksawery został w domu, jej nominalny obrońca, nawet jeśli w gruncie rzeczy łagodny jak baranek.

Mężczyzna zbliżył się do niej.

– Ta sama pora dnia. Ma pani swoje schematy, wszyscy mają schematy, prawda? Poruszamy się po niewidzialnych torach.

– Okłamał mnie pan – powiedziała.

– Tak? Dlaczego?

– Byłam we wsi. Nikogo takiego tam nie znają. Więc oszukał mnie pan.

– Nie, nie ja panią oszukałem. Sama to pani zrobiła.

– Pan...

– Niczego takiego nie powiedziałem – podkreślił. – Że jestem stamtąd.

– I powiedział pan, że nazywa się Jakub.

Odniosła wrażenie, że teraz trafiła.

– Okłamał mnie pan – ciągnęła. – I teraz pan na mnie czekał. Więc chyba powinnam już iść.

– Nie, nie – rzekł. – Nie powinna pani. Powinna pani teraz pójść ze mną.

– Nie – odparła, cofając się bezwiednie.

– Pójdzie pani ze mną, jeśli chce się pani dowiedzieć, co spotkało Helenę Radło.

Niemal słyszała jakiś odległy stukot, postukiwanie dziecięcia. Potarła dłonią czoło.

– Zakłada pan, że pójde – powiedziała. – Dlaczego?

– Bo jest pani ciekawa. – Rozłożył ręce. – Ale do niczego nie będę pani zmuszał. Pani sama ze mną pójdzie. Droga nie jest daleka.

Spojrzała jeszcze raz za siebie. Dlaczego zostawiła psa? Co powinna teraz zrobić? Sama. Metr sześćdziesiąt, pięćdziesiąt kilo wagi, zawinięta w gruby płaszcz.

Bez komputera i kartki papieru pozostawała najbardziej bezbronną osobą na świecie.

Chciała zatrzymać tego mężczyznę, przemówić do niego. Wyjaśnić i zrozumieć. Ale on miał najwyraźniej zupełnie inną myśl. Obrócił się do niej plecami i po chwili już nie dostrzegała jego wojskowej parki. Kurtka i jej właściciel znikali w ponurych, gęstych zaroślach.

Ula zamknęła oczy. A potem je otworzyła. Nie do końca rozumiejąc, co robi, podążyła za mężczyzną.

W głąb lasu.

14

Zaczynał się trzeci dzień interwencji. Ale zamiast więcej, wiedziałem i rozumiałem chyba coraz mniej. Może to właśnie poprowadziło mnie do tego, co zrobiłem. Bo jakie w zasadzie instynkty mną powodowały? Czy kierowałem się poczuciem zawodowego obowiązku, czy względami osobistymi?

Miałem ochotę nikogo dzisiaj nie spotykać – takie życzenia rzadko się jednak spełniają. Zwlekałem ze wstaniem dłużej niż zazwyczaj. Błyskawicznie zjadłem śniadanie. Wciąż nie pozbierałem myśli, ale kiedy tylko zamykałem oczy, pod czaszką przeskakiwały mi obrazy jak na zepsutej taśmie filmowej.

Wróciłem do pokoju. Żeby się uspokoić, zacząłem medytować – pomogło. Położyłem się na łóżku i zasnąłem – mój sen jednak znowu miał twarz dziecka. Dziecka podążającego uliczkami starego osiedla, wśród brzydkich bloków, i mnie, usiłującego go stamtąd wyrwać, a jednocześnie rozumiejącego, że to niemożliwe.

Ocknąłem się nagle, kark miałem wilgotny i z przestachem zerknąłem na zegarek. Była jednak dopiero dziesiąta.

Poczułem, że mam już dość tego pokoju, który z uroczonego poddasza zaczął się przemieniać w dziuplę spróchniałego drzewa. Poszedłem do kuchni i natknąłem się na Kasię Matwiejewską.

Jej uśmiech potrafił rozjaśnić wnętrza, w których się pojawiała.

– Przemyskasz się jak złodziej – powiedziała.

– Zauważyłaś?

Uśmiechnięta, tak bardzo nie pasowała do swojego męża ponuraka.

– Jak wasze badania?

– Robimy je trzeci rok i kończy się grant.

– Rozumiem.

– A także chyba i cierpliwość Jacka.

– Zdaje się, że w ogóle nie ma jej za wiele, prawda?

– Owszem. Był inny, ale się zmienił. Przypuszczam, że po tych kilku dniach już wiesz, co się tutaj wydarzyło...?

Zrobiła pauzę.

– On to bardzo przeżył.

– Wiem.

I naprawdę wiedziałem, wspominając tę dziwną rozmowę w lesie, w chatce myśliwskiej. Ten człowiek pogrążony był w głębokim smutku po stracie syna i rozumiałem to. Jako psycholog i jako człowiek. Jako ojciec.

– Znałaś go? Pewnie tak, skoro tyle tutaj bywacie.

– Oczywiście. To był niezwykle chłopiec – powiedziała. – Bardzo ciekawy świata. Każdy ojciec chciałby takiego syna, słowo daję.

– Tak?

– Jacek był bardzo dumny. Marcel wyrósłby na, jak to się mówi, człowieka renesansu.

Ale nie wyrośnie. Taki wspaniały dzieciak, którego życie skończyło się nagle w stawach Echo.

– Miał talenty artystyczne, ale nie tylko – kontynuowała. – Nauki ścisłe również go interesowały. Stale podpytywał o naszą pracę. A pewnego dnia zagadnął mnie o chromosom Y... Taki rezolutny, dasz wiarę? Przecież na biologii uczyli go wtedy o porostach.

– Jeśli w ogóle zaczął biologię. To się nazywa teraz przyroda.

– Chyba masz rację.

– O chromosom Y?

– Zgadza się. Bardzo go to interesowało.

– Dlaczego Marcel miałby o to wypytywać?

– Nie wiem, ale taki był właśnie pochłonięty nauką. Sam się sobą zajmował, chodził po lasach, nie tak jak tyle dzieci teraz. Dla niego nie istniał świat nudy i jakimś cudem wcale nie wsiąkł w gry komputerowe. Może również dlatego, że Beata jest w tej kwestii bardzo rozsądna. Ale to nie do uwierzenia, jaki był rozgarnięty, nie to co te wszystkie dzieciaki... – stwierdziła i teraz już na pewno wiedziałem, że nie mają swoich.

Zdradzała ją idealistyczna wizja, bez większego związku z rzeczywistością. Kiedy mieliby mieć dzieci, skoro cały czas spędzali u Gajusów?

– Michaś to miły dzieciak – dodała – ale...

– Nie wolno tego robić, przecież wiesz. Nie powinnaś ich porównywać.

– Po prostu nigdy nie spotkałam tak niezwykłego chłopca jak Marcel. Chociaż wiesz co? Przed śmiercią to wszystko się zmieniło.

– Wyjaśnij.

– Marcel przygasł. Przestał mnie zagadywać, a podczas kilku naszych przyjazdów zauważyłam, że traktował rodziców zdawkowo, żeby nie

powiedzieć wrogo.

– Wiesz, co się mogło stać?

– Nie. Ale niedługo potem zadzwoniła Beata. Była roztrzęsiona. Powiedziała, że mały się utopił.

Znienacka dostrzegłem łzy w oczach Kasi. Przecież to nie byli typowi goście. Mieszkali tutaj jak domownicy. Żyli życiem rodziny Gajusów.

Dotknąłem lekko jej ramienia.

– Wiesz, że jest mi bardzo przykro. Naprawdę.

– Dziękuję.

Otarła łzy wierzchem dłoni.

– Nie wiem, co mnie tak wzięło – powiedziała. – Pewnie dlatego, że robisz to, co robisz.

– Może tak.

– Muszę już iść. Zobaczymy się niedługo.

Po wyjściu Kasi dokończyłem w spokoju kawę, choć moje myśli zmieniły trajektorię i wędrowały w inną stronę niż przed półgodziną.

Rozejrzałem się. W domu było pusto. Przeszedłem na palcach do dużego pokoju.

Czego szukałem? W tym momencie, muszę przyznać, kierowałem się chyba przede wszystkim ciekawością. Czy chciałem się również dowiedzieć czegoś, co byłoby pomocne w pracy z Michałem? A może pragnąłem zobaczyć twarz brata, który tak wiele znaczył dla mojego małego klienta?

Był środek tygodnia, pustka w wielkim domu. Wszyscy oddali się swoim zajęciom, nie słyszałem nawet sapania starego psa. Dołałem sobie jeszcze kawy i zabrałem kubek ze sobą; poszedłem do biblioteki, obserwując przez okna, jak jesienne słońce prześwietla poczerwieniałe korony drzew.

Za mną, przede mną, dosłownie wszędzie mieściły się regały, od góry do dołu zavalone książkami. Zacząłem je przeglądać: klasyka, sporo rosyjskiego. Turgieniew, Czechow, nawet i Gogol. Sporo powieści kryminalnych oraz książek z naklejką „9,90”. Szanuję to, przynajmniej wiadomo, że są kupowane do czytania, a nie do ozdoby wnętrza. Poza tym reportaże oraz bardzo dużo przewodników.

Na samym dole, na specjalnie do tego zaprojektowanej półce, stały albumy. Dość mocno zakurzone. Wziąłem dwa z nich. Jak dobrze, że ktoś jeszcze wywołuje zdjęcia. Obtarłem z obu kurz dłonią, a następnie otworzyłem pierwszy.

Wspomnienia z wakacji. Rodzina. Michał jeszcze jako niemowlę, uśmiechnięty Jacek w kąpielówkach. Skubany, miał ciało greckiego boga. Na innym zdjęciu cała trójka razem. Idealna rodzinka.

Ale zaraz, to musiało być jakieś pięć, sześć lat temu. Czemu tylko we trójkę – czy Marcel został gdzieś wysłany?

Sięgnąłem do kolejnego albumu. I znowu wakacje, Grecja, o ile się nie myliłem. Prawdziwi polscy turyści, fota na tle każdego zabytku, jak należy. Ale znowu tylko święta trójca.

Wziąłem następny album: w tym były uwiecznione święta. Przybliżyłem do oczu jedno ze zdjęć: widniał na nim tył głowy chłopca. Tylko tył, to nie musiał być Marcel, chociaż na zdjęciu jego włosy miały niemal identyczną barwę jak u Michała, ale był starszy, no i z tej samej Wigilii były zdjęcia Michała jako bobasa.

Zajrzałem jeszcze do paru. Tu też nic... Usłyszałem skrzypienie i spojrzałem w górę. To chyba tylko moja głowa skrzypiała. Stary dom pięknie hałasował, śpiewał, drewno oddychało. Ale to zadziałało jak sygnał ostrzegawczy. Wstałem i wsunąłem albumy na miejsce, nie bardzo wiedząc, co robię, nie bardzo mogąc myśleć. Mechanicznie, trochę jak przestępca przyłapany na gorącym uczynku, zacząłem przebierać palcami po grzbietach reportaży.

Usunięto zdjęcia Marcela z rodziny. I to starannie, co do jednego. Mogłem znaleźć na to sporo wytłumaczeń. Jako psycholog, jako człowiek. Co nie zmieniało bezlitosnej wymowy tego czynu i obrazu, który się wyłaniał.

Tego chłopca miało już nie być i jakby go naprawdę nie było. To tylko zdjęcia, ale Marcel Gajus został wymazany z historii rodziny i historii świata.

15

Ula szła za Jakubem. Czy on miał tak na imię? Żadnej pewności. Splątane drzewa i mrok lasu; co ona właściwie robiła? Przypuszczalnie ten człowiek nie dysponował żadną wiedzą. Przeszyła ją nagła myśl, że idzie po swoją śmierć, tak jak Helena Radło przed dwunastu laty.

Kim był w ogóle jej przewodnik? Wszyscy przecież wiedzieli, że Helena nie opuściła Roztocza. To była rodzinna dziewczyna, blisko związana z matką, z braćmi – co ją z kolei, Ulę Radziwiłowicz, kosztowało kawał życia jej rodziny.

Helena Radło nie opuściła Roztocza, nie opuściła tych lasów, a dwanaście lat później zupełnie inna kobieta szła za człowiekiem, o którym nie wiedziała niczego poza faktem, że na pewno nie miał na imię Jakub.

Nagle zrobiło jej się gorąco. Rozluźniła szalik. Przystanęła, oglądając się za siebie. Zgubiła się, zbyt uwierzyła, że ten las należy także do niej, ale teraz po prostu się zgubiła, jak ostatnia kretyńka. Nie miała pojęcia o swoim położeniu. Jakub prowadził ją na przełaj. Miała mokre buty, a mężczyzna pojawiał się przed nią i znikał, jakby był leśną marą. Czuła się tak, jakby rzucił na nią urok.

Kiedy spacerowała, często zbaczała ze szlaków, ale wtedy Ksawery wskazywał jej właściwą drogę. Wystarczyło czujnie obserwować psa i podążać za jego instynktem i nosem. Polegała na nim, bo sama nie miała orientacji w przestrzeni. Teraz zaś szła za człowiekiem, który zachowywał się, jakby się tu wychował. A jednak nikt go tu nie znał.

Zatrzymała się nagle, tak po prostu. Chwilę wsłuchiwała się w las, potem spojrzała w górę. Mężczyzna stanął.

– Za szybko idę – stwierdził.

– Nie...

Spojrzał na nią raz jeszcze. Pokręcił głową.

– Pani się mnie boi – oznajmił, niemal ze smutkiem.

– Nieprawda.

Zrobił dwa kroki w jej kierunku. Cofnęła się bezwiednie. Widziała to teraz wyraźnie. Zarys greckiej tragedii. Kierowała swoimi bohaterami, ich błędami,

ich nawróceniami na właściwą drogę, ich doświadczeniem, głupotą, mądrością. To nic nie znaczyło. Nie zabrała psa, dała się ponieść własnej ciekawości – ta ciągnęła ją w ciemności lasu...

Dlaczego pisarz musi być tak boleśnie świadomy dramaturgii życia – a zarazem, jak przychodzi co do czego, tak na nią ślepy?

– Niech pan nie podchodzi tak blisko – szepnęła.

Rozłożył ręce.

– Wedle życzenia – powiedział. – Wedle życzenia. Zresztą prawie jesteśmy.

– Gdzie?

– Nad stawami Echo.

Przymknęła oczy. Ten zgniły zapach, dlaczego nie poznała go od razu? Trupi odór bagien, kiedy spuszczano z nich wodę i błyskało błoto – ich dziewicza, prawdziwa natura. Podeszli bliżej. Słońce przebijało się przez mgiełkę nad stawami. Gdzieniedzie dostrzegła już bagno. Stało. Zrobiło się niemal bezwietrznie, widoczność była wspaniała.

Stawy Echo, tak chętnie uczęszczane w sezonie, traktowane jak jakiś lokalny Balaton, odsłaniały teraz swoje prawdziwe oblicze. Wydawały się martwe i wyjałowione. Niemal codziennie przechodziła ścieżką nad nimi, ale z tej strony nigdy ich nie oglądała.

Przypomniała sobie wcześniejszą rozmowę z córką. Właśnie tutaj zginął Marcel Gajus. Widziała to miejsce na zdjęciach w lokalnej gazecie oraz w internecie. Chłopiec utopił się, kiedy nalewano wodę do stawów. Jeden z wielu wypadków, które przydarzają się dzieciom.

Jakub stał tuż obok. Zadrzała.

– Tutaj – powiedział.

– Wiem.

– Co pani wie?

– Że tutaj utopił się Marcel Gajus. Pamiętam. To właśnie chciał mi pan przekazać? – Obróciła się do niego, strach ustąpił miejsca irytacji. – Przecież to nie jest tajemnica.

Z zaskoczeniem odnotowała, że Jakub wygląda na zdziwionego.

– Czy jest pani pewna?

– Pan tego nie wie?

Pokręcił głową.

– Nie chodzi mi o chłopca.

Usiadł na kawałku pnia. I gdzieś się zapatrzył. Pozostawała nieco w cieniu – skorzystała z okazji, żeby zrobić mu zdjęcie, z nadzieją, że będzie coś widać. Zdjęcie na dowód tego, że on sam żyje.

Chyba nie zauważył.

– Kiedy pierwszy raz panią spotkałem, wiedziałem, że pani pisze książkę o Helenie Radło – rzekł.

– A ja udałam się do Karyszki.

– To było do przewidzenia...

– I odkryłam, że nikt tam pana nie zna.

Nie odpowiedział.

– Mógłby pan mi to wszystko wyjaśnić?

– W swoim czasie. Przyproceedziłem panią, bo chodzi o Helenę Radło. Nie kłamałem. Mam powody wierzyć, że tutaj, w stawach Echo, znajduje się ciało Heleny.

Skierowała wzrok na wodę.

– Te zwłoki nie były zakopane. Stawy są zalewane, odsączane... Chyba mógłbym sobie wyobrazić lepsze miejsce, choć i to okazało się skuteczne.

Chciała coś powiedzieć, ale czuła się sparaliżowana.

– A może wypłyną pewnego dnia, kto wie – kontynuował mężczyzna. – Być może są obciążone. Ale najbardziej prawdopodobne, że będą tu już leżały na zawsze.

16

Tej nocy znowu spałem źle. Śniło mi się, że trzymam za rękę dziecko. Puszczam je, a ono odchodzi w dal. Ręka zmieniała mi się w kawałek starego, kompletnie robaczywego drewna. Cały się w nie zmieniałem. Ale nie chciałem puścić; chłopiec i ja byliśmy wciągani w bagno. W ostatnim momencie zmienił się w mojego syna. Poznawałem go, choć nie widziałem twarzy.

Wtedy się obudziłem. Leżałem na podłodze. Sturlałem się, a pościel miałem zupełnie mokrą od potu. Wstałem, żeby otworzyć drzwi. Były zamknięte. Zacząłem je szarpać i w nie łomotać. Spojrzałem na swoją dłoń... jak to możliwe? Urwałem klamkę...

Ocknąłem się na łóżku.

Prześniłem dwa sny, jeden po drugim. Nie spałem na podłodze, tylko w łóżku, ale pościel faktycznie była mokra. Uszczypnąłem się w policzek niemal do krwi, jakbym sam siebie chciał przekonać, że to tylko ohydny sen.

Spojrzałem na zegarek. Szósta trzydzieści. Wstałem – i nieufnie spoglądając na klamkę, szarpnąłem za drzwi.

Wysłałem wczoraj wiadomość do Doroty.

Nie odpisała. Być może nadejdzie dzień, kiedy wrócę po interwencji, a mieszkanie będzie puste. Może tak by zrobiła – mimo swojej profesji nie lubiła konfrontacji. Była na swój sposób dziecinna. Uciekaby ze swoimi drogimi sukienkami, z całą swoją szykowną obecnością. Nie rozwód, ale ewakuacja bez daty powrotu.

Lata świetlne temu, zanim byliśmy małżeństwem, rodzicami, tak właśnie sobie radziła. I teraz uciekała, a ja mogłem się tylko przyglądać.

Ubrałem się i wyszedłem z domu, wciąż skołowany odkryciami, których dokonałem wczoraj. Nie musiały mieć znaczenia. Czy ból rodziny nie wyjaśniał takiego zachowania? Usunięcia wszystkiego, co świadczyło o obecności dziecka? Czy nie mieli prawa do tego, żeby wymazać obrazy tragicznie zmarłego chłopca z historii rodziny?

Owszem, mieli – ale to było rzadkie. Z praktyki wiedziałem, że rodzice raczej postępują odwrotnie. Zdjęcia zmarłych członków rodziny wiszą

wszędzie. Duchy wychodzą z grobu i przypominają o sobie. Nie mogą odejść, bliscy im na to nie pozwalają.

Tutaj było zupełnie inaczej. Może mamła mnie własna przeszłość, podążająca za mną krok w krok, niezależnie od tego, jak bardzo chciałem się od niej odciąć? Dziesięć lat oglądania najbrzydszej strony ludzkiej natury. Ocena, chłodna kalkulacja i człowiek uzależniony od oglądu i opinii innego człowieka, który błądzi jak wszyscy.

Na zewnątrz zapaliłem papierosa. Nie przyjechałem tutaj po to, żeby grzebać w czyichś tragediach; wiedziałem jednak, że skoro myśli już się załęgły, szybko mnie nie opuszczą. Sądząc po ostatniej rozmowie z Beatą i Jackiem, stałem się niechcianym gościem. Czy moje wynagrodzenie było zbyt duże, żeby pozbyć się mnie z domu? Czy ja na pewno chciałem tu dalej być?

Wyszedłem poza granice posiadłości Gajusów. Wiatr delikatnie kołysał drzewami, a godzina była wczesna. Zanim przemyślałem, co dokładnie robię, ruszyłem w stronę miasta.

Udałem się na cmentarz. Nawigacja najpierw skierowała mnie na żydowski; musiałem coś źle wpisać. Był otwarty. Dopiero po chwili ze wstydem uświadomiłem sobie, jak blisko jestem Szczepieszyna, jednej z najstarszych gmin.

Niesamowicie skromny był ten cmentarz żydowski, ogrodzony tylko drewnianym płotkiem. Z pewnym żalem odmówiłem sobie czasu na obejrzenie go. Nie chciałem, żeby moja nieobecność w domu została zauważona. Skierowałem się więc w prawo i wkrótce dotarłem do cmentarza katolickiego.

Wisały nad nim gęste, ciężkie chmury, za chwilę lunie z nich deszcz. Zaczął też wiać zimny wiatr. Na cmentarzu było spokojnie, choć przecież zbliżało się już trzęsienie ziemi w postaci Święta Zmarłych. Ich spokój ten jeden raz w roku mieli zburzyć krewni. Aura nieidealna do zwiedzania, lecz idealnie pasująca, kiedy nie chce się zwracać na siebie uwagi. I tak czułem się jak intruz, jakbym nie był na właściwym miejscu; jakbym nie miał prawa tu być.

Dlaczego właściwie tutaj zaszedłem? Czy chciałem zobaczyć grób tego, którego cień położył się na całej rodzinie – a już na pewno na jego maleńkim bracie? Czy Michał wyzbędzie się tego cienia, czy ten będzie mu towarzyszył w postaci melancholii przez wiele lat? Kiedy zapali skręta z kolegami, kiedy znajdzie się w romantycznej sytuacji z dziewczyną? Czy jeśli przeszyje go nagły smutek, będzie wiedział, że to jest żal po Marcelu?

A może tak wcale nie będzie, bo natura jest mądra i chłopiec po prostu zapomni?

Misja wydawała się trudna, ale liczyłem na pozycję społeczną Gajusów. Co jak co, ale taka rodzina nie miałaby marnego nagrobka. Przynajmniej jeden z przodków, jeśli nie większość, musiał być obdarzony wielkim ego – takim, które skutkowałoby zbudowaniem mauzoleum.

Znalazłem może nie mauzoleum, ale z pewnością coś bardzo dostojnego – imiona, które widniały na jednym z grobów w towarzystwie nazwiska Gajus: Anzelm, Dionizy, Szczęsny. Pachniały starością. Szukałem czegoś nowszego.

W końcu znalazłem.

Chłopiec leżał zupełnie sam. W chwili śmierci miał dziesięć lat. Tylko dziesięć lat życia, a potem śmierć w mętym, szarym stawie. Pierwsze słowa, pierwsze kroki, by zaraz potem leżeć twarzą do mułu. Jak do tego wszystkiego doszło?

Szkoda, że nawet na grobie nie było zdjęcia. I tutaj chłopca pozbawiono twarzy, ziemskiej powłoki. Wycofałem się pod murek, w miejsce, gdzie niegdyś chowano samobójców. Przypuszczam, że teraz kwatery przy murze kosztowały tyle samo, co miejsca przy głównych alejach. Tak skryty wyciągnąłem telefon.

Wpisałem imię i nazwisko. Marcel Gajus.

Dwie wzmianki w lokalnych mediach. No bo dlaczego miałyby być inaczej? Pisz się tylko o jakichś szczególnie brutalnych sprawach, a przecież ile dzieci tonie, ilu ludzi dziennie ginie na drogach, ilu się morduje na libacjach?

Ale coś było. „Chluba” szkoły podstawowej; wreszcie miałem zdjęcie, choć czarno-białe, z jakiejś pocziwej akademii. Chłopiec zyskał twarz. Wydawał się bardzo podobny do Michała. Dziennikarz opowiadał o Marcelu rzewnym i zdecydowanie elegijnym, a nawet tchnącym hagiografią tonem.

Jaki był zdolny, nadzieja Zwierzyńca – naprawdę się tak wyraził. Im skromniejsza gazeta, tym wyższy ton. Chłopiec miał rozległe zainteresowania, to już wiedziałem, ale ich liczba naprawdę robiła wrażenie: nauki ścisłe, języki, teatr. Udzielał się też w przedstawieniach wystawianych w Świetlicy – czymkolwiek było to miejsce.

Zatem nie tylko chłopiec, dziecko, lecz także mały *primus inter pares* – a mimo to jego istnienie zostało wykasowane, jakby nigdy nie żył. Nawet w gazecie irytująco mało było o samym dziecku i okolicznościach wypadku. Wciąż wiedziałem głównie to, co wyznał mi Andrzej dwa dni wcześniej.

Jak zginął Marcel? Utonął w stawach Echo. W tym samym zbiorniku, którego oddech czułem każdego dnia w domu Gajusów. Rozległym, ale dość płytkim bajorze.

W końcu jednak dotarłem do czegoś. Pisano o nieszczęściu i o nieporozumieniu, Marcel nie wiedział, że woda była głębsza niż zazwyczaj. Stawy napełniano na sezon. I tak dalej, i tak dalej. W jednym i tym samym artykule zawarto elegię na cześć Marcela Gajusa i informację, że stawy napełnia się już na wakacyjne biwaki – płynny przeskok od tragedii do przygotowań do sezonu turystycznego.

Z lekką złością przeszedłem do kolejnego artykułu. Nareszcie. Tam było mniej informacji, za to znalazłem coś innego.

Mapkę. Miejsce, w którym utonął chłopiec.

Odłożyłem telefon do kieszeni i przez chwilę obserwowałem cmentarz. Było tak cicho i chwilowo bezwietrznie, że chyba słyszałem odgłos miotłki używanej kilkaset metrów dalej. Poszukałem w kieszeni papierosów i wyciągnąłem jednego, ale zapaliłem dopiero przy wyjściu. Przez chwilę zaciągałem się dymem, rozchodził się w płucach i skracał życie.

Zerknąłem na zegarek. Miałem jeszcze dwie godziny wolnego, potem byłem umówiony z Beatą. A odległości były całkiem niewielkie – chociaż dla bezpieczeństwa powinienem pójść teraz dalej od domu Gajusów, wzdłuż ulicy Wachniewskiej, a następnie zielonym szlakiem, ponoć jednym z piękniejszych w okolicy.

Wyszedłem z cmentarza i ruszyłem w stronę stawów Echo.

Poranki na Wachniewskiej: kawa, dwie łyżeczki miodu; Ula miała swoje rytuały. Odkąd została pisarką, musiała jasno postawić sprawę: ona naprawdę pracuje, jakby była na etacie. No bo była na swoistym etacie! Potem powoli rozgrzewka; media społecznościowe, bezsensowny scrolling, strata czasu, która w dłuższej perspektywie mogła posłużyć jako dodatkowa motywacja. Kolejna kawa. Stopniowo opuszczała jednak ten świat, przenosząc się do świata swoich bohaterów. Wąchała miejsca, słyszała gwar miasta, ciszę lasu, czuła zapachy. Każda opowieść pachniała, smakowała, brzmiała.

Czasem Ula przebywała na wyspach, innym razem w opuszczonych zamkach i klasztorach, na mazowieckiej wsi, nad mazurskimi jeziorami, w Lublinie lub w Zamościu, w wypasionych apartamentach i w zapadłych wiochach.

Tym razem zadanie wydawało się nad wyraz łatwe. Nie musiała się nigdzie przenosić, bo czuła się, jakby wracała do korzeni. Była tutaj, była Heleną Radło i zarazem jej mordercą, była jej rodziną i przyjaciółmi.

Zamknęła oczy, chcąc jak najszybciej przeniknąć do tej rzeczywistości.

Wtedy usłyszała pisk otwieranych drzwi.

Jej mąż wjechał zupełnie bez pukania, zdenerwował ją. Wyrwana z rozmyślań, przez chwilę czuła się jak obywatelka nieistniejącego świata, zawieszona gdzieś pomiędzy Ziemią a literaturą.

– Musimy porozmawiać – rzekł.

Zdjęła okulary.

– Zamierzasz ze mną zerwać? – zapytała.

– Skąd taka myśl?

– Tak się kiedyś mówiło, prawda? „Musimy porozmawiać”. No więc piętnaście lat temu wpadłabym w panikę...

I nagle się zastanowiła nad swoimi słowami. Czy to było niemożliwe? Czy jej niepełnosprawny mąż nie mógł kogoś poderwać?

Oczywiście, że mógł, internet umożliwiał absolutnie wszystko.

Straszne, głupie myśli, skąd one się brały?

– Po mieście chodzą słuchy... – zaczął.

– Nie wiedziałam, że słuchasz słuchów.

– I że śledzę szum Zwierzyńca? Staram się, żeby nie zwariować, nie ukusić się do końca.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Niewiele o mnie teraz wiesz, prawda? – odezwał się bez złości, raczej z rezygnacją.

– Dlaczego tak mówisz, Daniel?

– Bo myślę, że stworzyłaś sobie wizję Danki w akwarium. Ale akwarium jest trochę ciasne.

– Masz kogoś? Czy o to ci chodzi?

– Zwariowałaś? – Wskazał na swoje nogi. – Nawet tak nie żartuj. Zresztą gdybym chciał mieć romans, jak niby miałbym go zrealizować?

– Nie bądź okrutny.

– Okrutny? – Pokręcił głową. – Okrucieństwo to jest to, co ty robisz, moja droga. Ukochana żona, która wbija mi nóż w plecy, rozgrzebując przeszłość.

Zrobił pauzę.

– Moją własną przeszłość.

– Oszalałaś – szepnęła.

– Chciałbym. Naprawdę czasem chciałbym oszaleć, żeby nie uczestniczyć w świecie; w tych barwach, jakie dla mnie przybrał.

– Daniel, doktor...

– Jaki, kurwa, doktor? – Podniósł głos. – Co mi pomoże doktor? Przestańcie mnie faszerować chemią. Nie mam depresji.

To nie była prawda.

– Jedyne, co na mnie źle wpływa, to tajemnice mojej żony. Powiedz mi, co piszesz.

– Powieść.

– Jaką?

Milczała, czując, że mimowolnie zaciska wargi i że jej palce coraz mocniej ściskają poręcz fotela.

– Jaką powieść? – powtórzył.

– Taką jak zawsze – wymamrotała.

– Nie taką jak zawsze. Kim są bohaterowie tej książki? Jak mają na imię?

Milczała.

– Czy jest wśród nich Daniel Radziwiłowicz? – zapytał. – Czy też łaskawie zmieniłaś moje dane?

Powinna to przerwać, lecz nie potrafiła.

– Ale przecież wtedy to, co piszesz, straciłoby sens, prawda? – kontynuował.

– Nie tak się pisze powieści oparte na faktach. Trzeba eksploatować prawdziwych ludzi. Aż ich zużyjesz do cna.

– Skąd niby wiesz? – Zbladła. – Skąd te wszystkie teorie? Szum miasta, co to ma znaczyć?

Przerwała.

– Byłeś tu, prawda? – powiedziała. – Przeglądałeś moje rzeczy? Daniel, tak nie wolno, przecież rozmawialiśmy, dopóki książka nie wyjdzie, to są intymne, bliskie...

– Bliskie, intymne... o czym ty, kurwa, mówisz! – krzyknął.

Teraz już z pewnością Kama musiała ich słyszeć. Tak prosiła Daniela, by nie krzyczał, nie chciała, by córka przechodziła przez to, co ona kiedyś. O to jedno go prosiła...

– Ty przeglądasz i rewidujesz moje życie. Grzebiesz w nim, wywijasz do góry nogami. Robisz wiwisekcję największej krzywdy, jaka spotkała mnie w życiu!

– Daniel...

Nagle zobaczyła, że uchodzi z niego powietrze. Nie ruszał się, wbrew jej prośbom w ogóle nie ćwiczył, nie wychodził na dwór. Nie miał siły, nie mógł jej zagrozić, chyba że słowami...

– Zamordowałem ją? – zapytał.

Zadrzała.

– Jak możesz?

– Nie, nie „jak mogę”. Skoro szukasz prawdy, to odpowiedz mi na pytanie. Czy ją zamordowałem. Tę biedną, biedną dziewczynę.

– Oczywiście, że nie.

Patrzył na nią i wnikliwie obserwował.

– To nie tak, że jesteś pewna – orzekł. – Ty po prostu jeszcze tego nie wiesz. Zwyczajnie nie wiesz i nie chcesz powiedzieć nieprawdy.

A potem ją zaskoczył. Nie wiedziała, że stać go na dalszą ofensywę.

– Odpowiedz mi na pytanie! Czy zamordowałem Helenę Radło?

I może z zaskoczenia, może z tego, że tak ją zaatakował, kiedy już była w innym świecie, wypowiedziała słowa, których nie powinna.

– Nie wiem.

Mąż spojrzał na nią przeciągle i pokiwał głową.

– Daniel... – zaczęła.

– Nie wierzę w to... Ale przecież gdybyś tak uważała, jak mogłabyś przez te wszystkie lata ze mną być?

Oddychała bardzo ciężko. Wiedziała, jaki popełniła błąd, bała się zrobić kolejne. Jej pracownia stała się areną walki, wszystko było już możliwe. Ona i jej mąż, jak wykończeni bokserzy w dwunastej rundzie. Dalsze ciosy wciąż wydawały się prawdopodobne.

Wstała nagle.

– Dokąd idziesz? – zapytał.

– Już nie mogę, Daniel.

– Gdzie idziesz? – Usiłował złapać ją za rękę. Żalony gest, od którego normalnie krajałoby się jej serce. Jedyne, czego pragnęła, to po prostu stąd wyjść. Opuścić ten pokój, jej świątynię, do której się włamano. Jej książkę, do której się włamano. Do której, jak słusznie określił to Daniel, włamał się jeden z jej bohaterów. Nie wiedziała, czy zdoła wrócić, a każda minuta sporu pogarszała sprawę.

Wyrwała dłoń i się cofnęła.

– Uła... – wyszeptał, ale już za jej plecami. Wydawało jej się, że zmienił ton, ale nie mogła ryzykować. Za daleko zaszli, odsłonili się i kolejne uderzenia wydawały się kwestią czasu.

Nie odwracała się. Przeszła szybkim krokiem przez korytarz. Niemal nie zauważyła, jak znalazła się na zewnątrz. Była bez bluzy, puchówkę zarzuciła na T-shirt. Za plecami słyszała szurgot kół wózka. Nie chciała się odwracać, wchodzić w tę dyskusję, która wywoływała w niej poczucie winy.

Rozejrzała się. Tym razem nie mogła zapomnieć Ksawerego. Przywołała go gwizdem, a potem zabrała smycz. Ruszyła z psem w stronę lasu.

18

Maszerowałem ścieżką. Na ziemi leżało coraz więcej liści. Piękne kolory ustępowały przegniłej rdzawości. Dotarłem na skarpe i zszedłem na piaszczystą plażę. Stawy wydawały z siebie zapach mułu, podmywane wodą drzewa ukazywały swoje reumatycznie powykręcane konary – nagość wystawiona na widok publiczny, aż miałem ochotę odwrócić wzrok.

Stawy Echo obejmowały powierzchnię kilkuset tysięcy metrów: mokradła, ledwo zalane wodą. Wiało od nich zimnem. Odwróciłem wzrok. Na skraju plaży, na ostatnim stopniu drewnianego pomostu, dostrzegłem postać. Stała i wydawało się, że wgapia się we mnie.

Zapach mokradeł, odór śmierci...

Kto o tej porze mógł się tu przechadzać? Poczułem, że wszedłem prosto w czyjąś kontemplację. Ale byłem ciekaw. Drobna, może kobieca sylwetka była ustawiona do mnie półprofilem. Wydawała mi się znajoma, bardziej niżbym chciał. Gdzieś już ją widziałem...

Ruszyła w moim kierunku.

Dwoje ludzi w pustym miejscu. To z automatu budzi niepokój. Ale zwykle jego źródłem jest mężczyzna. Dlaczego? Sam wchodziłem w tę rolę, widziałem siebie jej oczami: zarośnięty, ponury, przygarbiony. Wyszukujący samotne kobiety, jak jakiś roztoczański Andriej Czikałilo. A mimo to spoglądała na mnie bez lęku. Może dlatego, kiedy znaleźliśmy się bliżej siebie, zagadnąłem ją, i to słowami, których normalnie bym nie użył.

– Przechadzka?

– Można tak powiedzieć – odpowiedziała i zobaczyłem, że ma piękny uśmiech. – Szukam inspiracji.

– Tutaj, nad opustoszałym stawem?

– Właśnie tak.

Przeglądałem jej się z ciekawością.

– Maluje pani?

– Nie, piszę.

– Horror? – zaśmiałem się.

– Coś w tym stylu. Horrory codzienności. Śmiertelne choroby, dramatyczne rozstania, nieporozumienia, traumy... wszystko, co najgorsze nas, śmiertelników, spotyka.

– Rozumiem.

– Wygląda pan, jakby pan nie rozumiał, ale to nic. Piszę powieści.

Teraz trochę się przestraszyłem. Ale nie siebie, tylko tego, co zaraz padnie. Jakie to musi być niemiłe, kiedy jesteś pisarzem i nie znają twojego imienia. Niegdyś, w moich lepszych czasach, regularnie chodziłem z żoną na targi książki. Zawsze źle na mnie działały obrazki pisarzy, zwłaszcza tych starszych, do których nikt nie podchodził.

Przyglądałem jej się nieco bezczelnie. Była bardzo szczupła, raczej przed czterdziestką. Wielkie okulary i jeszcze większa kurtka puchowa nadawały jej wygląd intelektualistki i mola książkowego, poniekąd zgodnie z ujawnioną profesją.

Wielkie oczy. Atrakcyjna, ale nie dla każdego.

– A pan jest tym psychologiem, prawda? – zaskoczyła mnie.

– Skąd...

– Zwierzyniec to jak wieś – zaśmiała się.

– Coś takiego...

– Po sezonie kurczy się i wyjawia prawdę, że mieszka nas tu dziesięć osób na krzyż. Jest pan u Gajusów – powiedziała.

Żadne pytanie, tylko suche stwierdzenie faktu.

– Znacie się...

– Oczywiście. – Czy tylko miałem wrażenie, że uciekła teraz spojrzeniem? – I nic się nie ukryje. Może pan być tego pewien. Więc jak panu idzie praca z chłopcem?

– Dziękuję, w porządku.

Trochę się tutaj zawahałem. Przyglądała mi się życzliwie.

– W zasadzie przyszedłem... chyba przyszedłem tu dziś w sprawie jego brata.

Jej reakcja mnie zaskoczyła. Utkwiła we mnie przeciągłe spojrzenie.

– Naprawdę? – Pokręciła głową i powtórzyła po mnie: – Coś takiego... Jakbyście się uparli, żeby o tym mówić.

– Nie rozumiem.

– Nie, ja tak tylko. – Machnęła ręką. – To znaczy moja córka niedawno mi o nim opowiadała.

– Chętnie bym się kiedyś dowiedział co.

Przez chwilę milczała.

– Z czym dokładnie pan tu przyszedł? – zapytała.

– Podobno tutaj zginął – odparłem. – Nie wiem jednak, gdzie konkretnie.

– No tak – weszła mi w słowo. – No przecież. Rzeczywiście...

Położyła sobie prawą dłoń na twarzy.

– Jak mogłam nie skojarzyć, idiotka.

I nagle się zachmurzyła.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Chodzi o to, że piszę książkę. O pewnej dziewczynie... i rzeczywiście, musiał pan przyjść, człowiek z zewnątrz, żeby przypomnieć mi, gdzie on się utopił... Tylko że to nie było tutaj, ale po drugiej stronie stawów...

– Jak się nazywała ta dziewczyna?

– Helena Radło.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– To jest to samo miejsce, tylko dziesięć lat później – szepnęła, znowu chyba do siebie.

Wpatrywałem się w nią. Dziewczyna, chłopiec. Śmierć nad stawami.

Wodnik.

– Chłopiec zginął sam – powiedziałem. – Może to jest miejsce samobójców?

– Być może – odparła, ale w jej głosie usłyszałem powątpiewanie.

Chciałem więcej; chciałem, by opowiedziała mi coś jeszcze... I nagle się zawahałem. Małe miasto. Mała wieś, sama tak powiedziała. Czy powinienem jednak powiedzieć „B”, kiedy wypowiedziałem już pierwszą literę alfabetu?

Spoglądała na mnie badawczo. Miałem wrażenie, że czyta mi w myślach. Ale to wszystko nie było aż tak nieprawdopodobne. Śmierć takiego chłopca musiała przecież wstrząsnąć Zwierzyńcem.

Gorączkowe myśli przerwał nagły hałas. Spojrzałem w górę. Drewnianym podestem ktoś schodził, trzeszczały stare szare deski. Skrzypiały pod konkretnym ciężarem i energicznymi krokami. Zobaczyłem, jak zbliża się ku nam jakiś człowiek. Mężczyzna.

– Co to za zebranie w środku parku?

Za drzew porastających klif wyłonił się Filip Matwiejewski. Biolog zszedł ku nam po drewnianej ławie i stanął na plaży.

– No więc co to za zgromadzenie? – Patrzył na mnie z uśmiechem. – Nie sądziłem, że tutaj jest tak ciekawie. Przecież to pan biegły.

Wbrew wesołości wpatrywał się we mnie badawczo. Milczałem.

– Szczepan – wznowił. – Muszę przyznać, że sporo cię tu jest... jak na psychologa od dzieci.

– Czy mam to uznać za komplement?

Wiedziałem, że z pewnością nie powinienem.

– Czy przyszedłeś mnie szukać? – zadałem to pytanie, bo choć absurdalne, wydawało mi się jedyne logiczne.

– Nie, ale zobaczyłem was przez lornetkę.

– I postanowiłeś przyjść?

– Czy nie poznasz mnie ze swoją znajomą?

Stał już bardzo blisko. Zaczęliśmy tworzyć na tej opuszczonej plaży dziwną figurę geometryczną. Każde z nas parę metrów od siebie. Trochę obcy, trochę znajomi.

– To zrzędzenie losu, że się tutaj znaleźliśmy – oznajmił. – Ale zaciekawileś mnie swoją osobą i poświęciłem ci parę chwil. Szkoda, że ja jeden, prawda? Nie było łatwo, ale nie zatarłeś wszystkiego.

Przerwał na chwilę.

– Policyjny ekspert psychologiczny – wznowił. – Biegły psycholog sądowy, z kadencją w sądzie we Wrocławiu... No właśnie, co się stało z tą kadencją?

Co mogłem powiedzieć? Czulem na sobie dwie pary oczu. Oraz to, że – dość ironicznie – jestem sądzony.

Pisarka przypatrywała mi się badawczo.

– Miałeś kadencję, jeszcze trzy lata. Że posłużę się banałem, w sieci nic nie ginie. – Pokręcił głową. – Znalazłem rejestr, kadencja była wpisana. Ale największą zagadką jest coś innego.

– Tak? – odparłem, choć przeczuwałem już, co za chwilę padnie.

– W kolejnym rejestrze już cię nie ma.

– Poczekaj. – Otrząsnąłem się. – To brzmi, jakbyś oczekiwał, żebym to wyjaśnił.

– A zamierzasz to zrobić?

– Nie.

Czulem się obnażony. Bardziej, niż chciałem. A także zaskoczony. Nie tym, że można było dotrzeć do tej informacji, ale że włożył trud, aby to zrobić.

Kotłowało mi się w głowie; dwa światy, płyty tektoniczne mojego życia, zwarły się i zaczęły zgrzytać. Poczulem ból głowy, jak od zatok.

– Bardzo przepraszam, muszę już iść – usłyszałem cichy głos.

Przez chwilę niemal zapomniałem o istnieniu tej kobiety.

– Ja... – Chciałem coś powiedzieć, ale nie potrafiłem. Było mi po prostu ciężko. I czułem się winny. Nie dlatego, że mnie zdemaskował, bo przecież tego nie ukrywałem, ale z tego samego powodu, dla którego zatarłem swoją przeszłość.

– Miło było pana poznać – dodała.

Przeszła obok mnie i wyczułem delikatny zapach perfum, z dodatkiem cytrusów. Filip Matwiejewski, samowwający sędzia, niech go szlag, obserwował nas z pewnego podwyższenia, jak bagienny król.

Nie oglądałem się już za nią. Ale emocją, którą teraz odczuwałem, był żal, że nasza rozmowa została tak szybko przerwana.

19

Po powrocie do domu Ula nie mogła się uspokoić. Spotkanie nad stawami Echo. Zło, które wybrzmiewało z opuszczonej plaży. Oraz psycholog. Człowiek, który zdawał się rozumieć coś, co mogłoby uzupełnić jej dziurawą wiedzę.

Stephen King mówił, że pisarz nie może znać rozwoju akcji, bo jest to zabójcze dla napięcia. Że napięcie powinno być generowane niewiedzą autora. Kierowała się tą maksymą. Teraz jednak zupełnie nie pojmowała, dlaczego postąpiła tak, pisząc książkę, która miała być oparta na faktach. Zabrnęła w prawdziwą historię, ale okazało się, że jest w kropce, bo nie znała zakończenia.

Rano Ula wymknęła się do zwierzyńckiej biblioteki. Tu było cicho i odpowiednio depresyjnie, jesiennie. A w środku ona – dojrzała jesieniara. Nawet nie zdjęła płaszcza, bo panował zbyt duży chłód. Napisała następny rozdział, lecz każdy kolejny zbliżał ją do spotkania z Jakubem. Zaginięcie dziewczyny było już bardzo, bardzo blisko.

Przełknęła ślinę.

W książce pojawił się już jej mąż, Daniel Radziwiłowicz.

Wizualizowała go sobie w trakcie pisania. Jeszcze teraz miał bujne włosy, strzygła mu je, ale przedtem jego fryzura była po prostu niewiarygodna. Te włosy stanowiły jego znak rozpoznawczy.

Na uczelni był gwiazdą. Ona zaś – niepozorną myszą, zwykłą studentką pedagogiki.

Spóźniła się tego dnia na wykład. A kiedy weszła i zapadła krótka cisza – bo wykładowca nagle ucichł – spieszyła się i zaczęła niezdarnie zdejmować z siebie kolejne warstwy.

– Niech się pani szybciej rozbiera, cała sala patrzy – oznajmił doktor Radziwiłowicz.

To były pierwsze słowa, które skierował do niej jej przyszły mąż.

Spasowała wtedy jak róża. Potem, nie bezpośrednio potem, tylko parę dni później, na przepastnych korytarzach KUL-u Daniel zaprosił ją na kawę. Z perspektywy czasu uważała, że nie powinna być zdziwiona.

Pewnego dnia zaprosił też Helenę Radło. Pisali o tym nawet w lokalnych mediach. Że Daniel Radziwiłowicz lubił młode dziewczyny. Ręka jej drżała, kiedy układała teraz te słowa, zwłaszcza po ich ostatniej rozmowie.

Czy potrafiłaby za niego ręczyć?

Wtedy, kilkanaście lat temu, nie mogła uwierzyć, że umówili się prywatnie, łamiąc obowiązujące standardy. Koleżanki były zazdrosne, zdumione, tak jak i ona sama. Nie rozumiały, że zaprosił właśnie ją...

– Dobra, on lubi młode. A ty wyglądasz na piętnaście lat – usłyszała od jednej. – Więc ma to, co lubi, i jeszcze nie łamie prawa.

Zaczerwieniła się wtedy i musiała pobyć sama, żeby to przetrwać. Jak pensjonarka. I rzeczywiście, z perspektywy czasu widziała, że wyglądała wtedy jak pensjonarka.

Później, kiedy stali się parą, nigdy go o to nie pytała. O nic nie pytała, jakby nie miała prawa, w głębi wciąż zdumiona, że ktoś taki jak on zainteresował się jej nieciekawą osobą. Kiedy już randkowali od dłuższego czasu, zaproponował jej wyjazd do Zwierzyńca.

Była zaskoczona.

– Do Zwierzyńca? Dlaczego?

– To moje strony. I mam dość studentów – uśmiechnął się.

– Ja też jestem studentką.

– Ciebie nigdy nie będę miał dość.

Kochali się wtedy długo, namiętnie. Prawdopodobnie tego dnia na świecie pojawiła się Kama, wówczas jeszcze w formie idei, a może już fizycznego załączka.

Rodzice nie byli zadowoleni.

– Nawet nie masz ślubu!

– Och, będzie, mamu, nie martw się.

Kłamała. Nie miała żadnej pewności, żadnej informacji, poza lakonicznymi żartami Daniela na temat instytucji małżeństwa. Nie powiedziałaaby jednak rodzicom, że pojechałaby z nim na drugą półkulę. Nie zaproponował jej ślubu, ale wiedziała, że ją kocha.

Jej tata zadzwonił parę dni później, poprosił o spotkanie. Bez mamy, na mieście.

Jak teraz wyglądał ojciec? Czy wciąż cieszył się swoją wyprostowaną sylwetką sportowca? Poszła z nim wówczas do kawiarni na Krakowskim Przedmieściu. Wstał na jej widok, jak zawsze staromodny, nawet wobec córki.

– Ula – przeszedł szybko do rzeczy. – Rozmawiałem ze znajomym. Są pewne informacje...

Poczuła, że przyśpiesza jej tętno, i miała złe przeczucia.

– Jakie informacje?

– O Danielu.

Tata zrobił pauzę.

– To nie jest tak, że on wyjeżdża zupełnie z własnej woli. Chodzi o jego relacje ze... studentkami. Uczelnia nie chce żadnego dochodzenia, ale gdyby starał się na innej...

– Tato, nie chcę tego słuchać!

– Córeczko...

– Jest ode mnie starszy, ale co z tego? Od początku usiłujecie mi go obrzydzić, w zasadzie nie wiem dlaczego...

– Ula...

Wstała zdenerwowana. Kiedy odchodziła od stolika, czuła, że na nią patrzy. Wtedy widziała go po raz ostatni. Fakt, po wypadku Daniela raz zadzwonili. Ale nie miała siły oddzwonić, a potem, w jakiś pokrętny sposób, zrzuciła winę za to na nich, nieprzytomna z bólu i fizycznego wyczerpania. Czy teraz, po latach, postąpiłaby tak samo?

Pokręciła głową. Chyba nie potrafiła jeszcze napisać rozdziału o Danielu. Na początku przyjęła, że historie o jego relacji z Heleną Radło stanowiły jedną wielką bujdę. Ale teraz, uświadomiła sobie to nagle, nie była już taka pewna. Opisuując życie Heleny Radło, dokonywała poniekąd również *demontażu* własnego związku – z nieuchronnymi konsekwencjami.

Spojrzała na pustą salę. Czuła na sobie wzrok jednej z bibliotekarek, starszej kobiety, która wiedziała wszystko o wszystkich. Speszyła się, zerknęła na zegarek, nagle przestraszona.

Nadszedł czas na Świetlicę, na realne obowiązki, zamiast bujania w obłokach i historii, w której była jedynym gościem i jedynym odbiorcą.

Kiedy tam szła, jej umysł wciąż pracował. Bo przecież to Daniel, wówczas pełen energii, która tylko dodawała mu seksapilu, stworzył to miejsce. Nie wmawiała sobie tego, to była prawda. Widziała, jak bardzo jego działania na rzecz Świetlicy różniły się od suchych wykładów na uniwersytecie.

Dzieci, tchnięte jego energią, wykazywały się niewiarygodnym potencjałem. Kilka razy dyskutowała o tym z tatą – oczywiście w myślach. Przenosiła go do

Zwierzyńca, udowadniając, jak bardzo się mylił i jak źle oceniał Daniela. Myślała, że kiedyś przywiezie tu rodziców.

Pokaże im, kim jest Daniel i kim oni są razem.

Weszła do Świetlicy. Trwał ciąg dalszy dziwnego przedstawienia. Tym razem siedziała już cicho, w skupieniu... Dzieci grały. W losach nieszczęśliwie zakochanej dziewczyny niepokojąco widziała Helenę, nawet jeśli jej narzeczony był bardzo, ale to bardzo rodem z bajki.

Jaka była rola Marcela Gajusa? Czy powinna ponownie porozmawiać z Kamilą? A po porannym spotkaniu Ula pomyślała jeszcze o czymś innym. Chciała porozmawiać z psychologiem, którego spotkała na plaży.

Powinna także w jakiś sposób doprowadzić do przekopania stawów Echo.

20

Nadszedł czas na drugą rozmowę z panem domu. A zaczęło się od tego, że rano rozmawiałem z Michałem. Choć tak naprawdę wpatrywałem się w chłopca, usiłując wybadać, ile wie, a ile już zapomniał.

– Opisz mi wodnika – poprosiłem.

– Nie pamiętam – powtórzył.

– To może narysuj, tak jak kiedyś.

Znalazłem i dałem mu kartkę papieru. Zaczął na niej bazgrać.

Nie widziałem twarzy chłopca zza czupryny kręconych włosów. A to, co wyłaniało się z rysunków, nie przypominało niczego.

– Był zielony, prawda? – podsunąłem.

Michał pokręcił głową.

– Już nie pamiętam.

– Co robiłeś wtedy w lesie? – spróbowałem z innej strony.

Spojrzał na mnie. Widziałem wysiłek na tej pucułowatej twarzy.

– Ja nie pamiętam. Marcel...

– Szedłeś za nim, tak? Za bratem?

Pokiwał głową.

– Bo on tam często chodził? – podsunąłem.

Znowu cisza.

– Chodził spotykać się z wodnikiem? – zapytałem.

Chłopiec pokręcił głową.

– Nie wiem.

Drzwi się otworzyły. Wszedł Jacek.

– Czy można?

– Tak. Oczywiście.

Spojrzał na mnie i na Michała. Uważnie. Nie podszedł bliżej, nie pocałował go w głowę. Gryzł kawałek jabłka, a zęby miał nader zdrowe: połknął całą resztę z ogryzkiem.

– Beata suszyła mi głowę, więc przyszedłem – wyjaśnił. – Na to twoje szkolenie. Więc proszę mnie szkolić!

Jeśli miało brzmieć nonszalancko – to wyszło bardzo dobrze.

– Proszę bardzo – dodał.

Spojrzałem na Michała – dzisiaj uosobienie spokoju.

– To nie tak działa – powiedziałem cicho. – Wydaje mi się, że zaszło pewne nieporozumienie.

– No, tak myślałem.

– To znaczy... dość jasno mówiłem, że to działa, jeśli obydwójce rodzice na bieżąco reagują.

– Ale niektórzy nie mają czasu. Pracują, żeby inni mogli wydawać pieniądze. Zebrałem się w sobie.

– Może wyjdźmy – powiedziałem.

Nie oponował.

– Michaś, pobaw się trochę – rzucił do syna, a do mnie: – Zapraszam cię.

Po prostu wydał nam komendy i poprowadził mnie korytarzem do pokoju, którego nie znałem. Wszedłem tam za nim. Istny skansen i trochę makabreski. Obrazy, poroża, jakieś wypchane zwierzę. Koszmar, szczególnie dziwny w kontekście naszej rozmowy w lesie.

– Twoje królestwo? – zapytałem ostrożnie.

Skrzywił się.

– Raczej obciążenie genetyczne. Ale nie wypada nic zmieniać. Nie mam, jak to mówią, jaj. I siedzę w tej rzeźni. Tak to nazywa Beata. Rzeźnią. Do śmierci nic tu nie zmienimy, ale ty pewnie wiesz, jak to działa w głowie, prawda?

Nie skomentowałem.

– Ale tutaj będziemy mieli spokój – dodał.

– Chyba że uwzględnimy przodków, prawda?

– Tak, rodzina jest stara – powiedział. – Od pokoleń na Roztoczu, a korzenie bodaj aż do któregoś z Zamoyskich. Dobrze się ustawili ci moi krewni w swoim czasie. Nikt się lasem tak nie interesował... Kiedyś przecież nie było ani parku narodowego, ani turystów... Nie licząc tych z bronią, ale dla nich mam tylko pogardę.

Tak się odcinał, a wiele się od nich nie różnił. Nie widział tego w ogóle.

– A teraz wszyscy gapią się na mnie. Oceniają. Pieprzeni prominenci, jeden w drugiego. Zawsze potrafili dobrze się ustawić. Pewnie myślisz, że jestem jak pączek w maśle. Ale czy prosiłem, aby moje życie było na zawsze przyspawane do Roztocza?

Zrobił pauzę.

– No dobra. Proszę mnie szkolić. Tego jeszcze tutejsze oczy nie widziały. To nawet zabawne, co myślałby taki Władysław Gajus, ojciec dziesięciorga, znany z ciężkiej ręki.

Teraz mnie miał. A ja czułem w głowie mętlik. Sam już nie wiedziałem, co mu teraz powiedzieć. Słowa, które wyrzuciłem z siebie, brzmiały pusto i martwo.

– Jeśli chłopiec się denerwuje, proszę nie reagować.

– Tak po prostu?

– Tak, z dwoma wyjątkami.

– Więc jest haczyk.

– Kiedy może sobie zrobić krzywdę i kiedy może dojść do uszkodzenia cennej rzeczy.

– Co jest cenne?

– To kwestia indywidualna.

– Więc wracamy do tematu pieniędzy.

Wzruszyłem ramionami, czując pewną rezygnację.

– Tylko tyle?

– Jak powiedziałem, są i inne metody. Zależnie od problemu... Co konkretnie chciałbyś omówić?

– Nic. I nie ma potrzeby – uśmiechnął się. – Tak naprawdę chciałem mieć podkładkę przed Beatą, że to przeszedłem. Zresztą podobno jak na razie działa. A wystawisz mi certyfikat, że tu siedzimy?

– Ja...

– Chryste. Żartuję. – Pokręcił głową. – Nawet chciałbym być dla ciebie niemiły, ale jakoś nie umiem. Ale pozwól mi na ten żart. Za te pieniądze, które zainwestowałem, to niewielka cena.

Zerknął na zegarek.

– Mamy jeszcze co prawda trochę czasu, ale nie mam już ochoty na warsztaty, czy jak to nazywasz. Osobiście uważam, że Michałowi na dłuższą metę nic nie będzie. Każdy Gajus w końcu znalazł swoje miejsce. Ale chodzisz tu i tam... I wiem, czym się interesujesz. – Skierował na mnie wzrok. – Śmiercią mojego drugiego syna, prawda?

– Może.

– Nie rób tego – powiedział. – Nie wiem, dlaczego cię to interesuje. Niepotrzebnie to rozgrzebujesz.

Przerwał.

– No, jak powiedziałem, nie umiem być zły, ale nie powiem, żeby nie odliczał dni do twojego wyjazdu – rzekł, a potem naprawdę klepnął mnie w ramię i wyprowadził z gabinetu.

Niespodziankom na tej interwencji nie było końca. Poszedłem na spacer i skierowałem się w stronę Bukowej Góry. Ścieżka turystyczna odchodziła niewiele dalej. Pięła się stromo. Wszedłem tam i zziąłem się jak pies.

Nie miałem zbyt dobrej formy. Rozejrzałem się dookoła. Na szczycie było inaczej, jakby Roztocze zmieniło formę, zyskując nieco światła. Prawdziwa perspektywa i urocze pagórki ciągnące się w dal.

– Proszę poczekać – usłyszałem.

Zatrzymałem się. Ten głos. Chwilę wpatrywałem się w dół, choć las przesłaniał dolną część ścieżki. Ale w końcu ją dostrzegłem.

Kobietę z plaży. Pisarkę.

– Miło znowu pana spotkać.

– Tak. Zwłaszcza po tym, jak pani zadzwoniła.

Uśmiechnęła się. Bardzo ładnie. A więc instynkt mnie nie mylił. Drobna, szczupła, była piękna pięknoscią kobiety, która co nieco już przeszła. W oczach miała inteligencję i humor. Szła w górę szybko i lekko – tam, gdzie ja ledwo się wspinałem.

– Pan psycholog.

– Pani pisarka.

– A może Ula.

– I Szczepan. – Podałem jej dłoń. – Cieszę się, że umieściłem swój numer w internecie i postanowiłaś mnie znaleźć.

Uniosła brew.

– I z tego, że zażyczyłeś sobie wycieczki?

– Czy i ja nie mam prawa do lokalnego rozeznania?

– Ależ oczywiście. Chcesz mi towarzyszyć?

Chwilę jeszcze wahałem się nad odpowiedzią.

– Tak.

Kości zostały rzucone. Ula spoglądała na mnie tak, jak tylko kobiety potrafią. Lekkie zmarszczki pod oczami tylko dodawały jej wdzięku. Nigdy nie lubiłem młodek. Podobały mi się błyski w jej oczach; jakby wpadała myślami na coś zabawnego. Coś, co tylko ją bawiło i wcale nie miała obowiązku dzielić się tym ze światem.

Szliśmy jeszcze paręnaście minut. Sceneria się zmieniała i znaleźliśmy się na łagodnie pofałdowanych polach, nad którymi zawisała lekka mgiełka. Maszerowaliśmy w milczeniu. Nagle, nieoczekiwanie dla mnie, wyłonił się przed nami jakiś dom.

Moja towarzyszka się zatrzymała. Jakby ten widok bardzo ją poruszył; jakby coś dla niej znaczył.

– Dlaczego tu jesteśmy? – zapytałem.

– Jeszcze tak naprawdę nie wiem. Ale kieruję się instynktem. – Zrobiła pauzę, a potem dodała: – Jak już mówiłam, piszę książkę o pewnej dziewczynie.

– Przypomnij mi, jak ma na imię.

– Miała. Helena. – A potem dodała: – Zaginęła, choć prawdopodobnie już dawno nie żyje.

– Dlatego właśnie chodzisz nad stawy? Badasz to?

– Tak. Może.

– Czy ona tutaj mieszkała?

– Nie, nie w tym domu. Ale w tej wsi. Umówiłam się z kimś. Będziemy rozmawiali z rodzicami dziewczyny. Więc to jest ostatni moment, żeby się wycofać.

Milczałem.

– Dlaczego tu z tobą jestem? – zapytałem.

– Nie wiem. Może miałeś rację nad stawami, możemy nawzajem sobie coś dać.

– Tak.

Odetchnęła ciężko.

– Chodźmy – powiedziała, a skoro już nie było nic do dodania, ruszyliśmy ponurą, ziemistą drogą.

Naszym oczom ukazały się kolejne domy, wszystkie co do jednego wydawały się lekko brudne.

– Tutaj – oznajmiła nagle.

Spojrzałem. Zwykły nieotynkowany budynek. Weszliśmy do środka.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie żałuję tego, co się stało. Że przestąpiłem ten próg, a tym samym nieodwołalnie wkroczyłem w sprawę śmierci Heleny Radło. Czy miałem tego pełną świadomość? Czy nie zawładnęła mną rozbudzona ciekawość? Czy powinienem postąpić inaczej?

W kuchni siedziało troje ludzi. Po chwili uzmysłowiłem sobie, jak bardzo różnią się od siebie. Jeden mężczyzna, trochę niepasujący tutaj klimatem –

postawny, z wąsami i brodą – wstał na nasz widok. Miał sztywną postawę, szerokie barki, twarz jednak przygaszoną i smutną. Wyglądał na człowieka, który który podjął walkę z życiem – ale przegrał.

– Przyszła pani – oznajmił.

Patrzył prosto na mnie. Bez większej sympatii.

– To mój znajomy. Jest godny zaufania – rzekła pisarka i nie miałem pojęcia, skąd to wie.

Mężczyzna milczał, ale kiedy wynik skanowania mojej twarzy wyszedł pozytywny, spuścił wzrok. Wydawało mi się, że Ula ma nad nim jakąś władzę. Nie byłem pewny, czy jest tego świadoma.

– Dobrze – powiedział. – Czy zna pani państwa Radłów...?

– Nie, bardzo mi miło – powiedziała Ula i zajęła wskazane miejsce. W milczeniu usiadłem obok, a pani Radło, drobna kobieta z włosami spiętymi w ciasny kok i ogromnymi, smutnymi oczami, zrobiła nam herbaty. W szklankach w metalowych ozdobnych koszyczkach.

Skierowała wzrok na Ulę.

– Pani mąż to Daniel Radziwiłowicz, zgadza się?

– Tak.

Teraz Ula wyraźnie się spięła. Ale w oczach tej kobiety widziałem raczej współczucie. O co tutaj chodziło? Czułem się jak widz dziwnego teatru – i jak to ze mną w teatrze bywało, niewiele rozumiałem.

– Jak on się ma? – zapytała kobieta.

– Dobrze.

– Ale...

– Zdrowotnie bez zmian.

– Bardzo mi przykro, naprawdę.

Zapadła kolejna cisza.

– Państwo chcieliby ci coś powiedzieć – rzekł mężczyzna z brodą, który nas pierwszy przywitał. Jaką pełnił funkcję?

– Tak. To prawda. Długo się wahałam – powiedziała pani Radło i spojrzała na męża.

Odniosłem wrażenie, że ledwo dostrzegalnie kiwnął głową.

– Nasza Helenka... pani pewnie wszystko już o niej wie?

– Chętnie wysłucham.

– Ja, powiem szczerze, nie mogłam czytać tych wszystkich bredni na jej temat. Jakby była jakąś postacią z książki. Ona... przecież to była normalna

dziewczyna. I w kółko się z nami kłóciła.

Na twarzy milczącego pana Radły zobaczyłem lekki uśmiech.

– Jej tutaj długo nie było. To była dobra dziewczyna, nie zrozumcie mnie źle, ale miała tyle woli życia... Wyjechała, a kiedy wróciła, to przestała prawie w ogóle schodzić na dół. Tutaj, do nas. Siedziała w swoim pokoju i nie wiem, o czym myślała. To znaczy wiem, ale... – Nabrała powietrza. – No, ledwie co tutaj bywała. Tylko z tym kolegą się zadawała, gdzieś się spotykali, rozmawiali.

– Jak miał na imię?

– Nie przypomnę sobie. Policja również się o to pytała. Jakiś chłopiec ze Zwierzyńca. Ale ona ukrywała tego kolegę, jakby to był jej skarb czy co.

– Czy łączyło ich coś więcej?

– Nie, chyba nie. Córce imponowali starsi mężczyźni, a to był chłopiec, jak dziecko, jak młodszy brat. Jakoś tak o nim mówiła...

– Jak?

– „Mój leśny skrzat”.

– Co było potem?

Kobieta zawahała się wyraźnie. Spojrzała na męża.

– Nie możemy dłużej milczeć. Dosyć. I tak się wstydu najedliśmy, a może to coś pomoże?

Kiwnął głową.

– Ona długo nie schodziła. I chorowała. W końcu poszłam do jej pokoju. Mówię: Helenko, powiedz, coś cię trapi? Jaka ja ślepa byłam. No, nic nie było widać...

– Ale czego nie było widać?

– Ukrywała to przede mną. Przed własną matką. Ale matka zawsze pozna. Pytam: Helenko, powiedz mi, dziecko, czy ty przypadkiem nie jesteś w ciąży? Spuściła głowę, a kiedy ją podniosła, to już wiedziałam.

Odetchnęła głęboko.

– Tak, odpowiedziała moja córka.

Wróciliśmy już nocą. Ula opowiadała mi resztę historii. Dlaczego mi zaufała? Czy sprawiła to moja etykietka psychologa? A może to, że byłem obcy i tak było jej łatwiej?

– Jest jedna rzecz – powiedziała.

– Tak?

Chwilę milczała.

– Czy masz dzieci?

Zaskoczyła mnie; wciąż byłem w trybie słuchacza i przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Tak. Nie wiem. Ja...

– Przepraszam. – Uciekła wzrokiem. – Chciałam tylko powiedzieć, że w chwili zaginięcia Helena miała szesnaście lat i dwa miesiące. Zaszła w ciążę w wieku piętnastu lat. Jeżeli z kimś dorosłym... To przecież oznacza przestępstwo, prawda?

– Zgadza się.

Rozstaliśmy się u podnóża ścieżki. Pisarka po prostu poszła dalej przed siebie, jakby wciągnęła ją wieczorna mgła.

21

Uli wydawało się, że przemknie przez dom jak szpieg. I naprawdę długo miała na to szansę – kuchnia okazała się bowiem pusta. Odetchnęła z ulgą. Dookoła ślady pozostawione przez Kamilę. Sama była w dzieciństwie sztorcowana za bałagan, więc swojej córce postanowiła tego oszczędzić. Widząc kawałki sałaty, okruszki chleba i pomidorów, pomyślała, że może powinna żałować swojej liberalności.

A potem, zmęczona dniem i zaskakująco mocno wycieczką do Karyszki, bezmyślnie zaczęła wyjadać te okruszki. Były słodkie, może od chałki, jednego z tak niewielu żydowskich śladów w Zwierzyńcu. Kama uwielbiała słodkie, pewnie miała to po niej...

Żując, myślała o tym, co się stało i do czego dotarła. Helena Radło była w ciąży, była brzemienną piętnastolatką. Zdawało jej się, że trochę już wie o tej dziewczynie: jakich zespołów słuchała, jakie kolory lubiła i jakich aktorów... a nie wiedziała tej najważniejszej rzeczy.

Obróciła się, żeby zrobić sobie herbatę, i dopiero wtedy błysnęło światło. Obejrzała się, niespokojna.

Daniel wciąż tam siedział. Cały czas siedział i cały czas ją obserwował.

– Cześć – powiedział.

Patrzył, jak wyjadała okruszki. Bezcelnie naruszył jej prywatność, nie zdradził się ze swoją obecnością. Zarumieniła się; wstyd przed własnym mężem, czy tak to powinno wyglądać?

Co ich jeszcze łączyło – kiedy dotarli do etapu, że nie potrzebował tak bardzo jej pomocy, że wszystko już umiał? Czy wtedy właśnie zaczęło się między nimi psuć – kiedy nie musiała się już nim zajmować w takim stopniu jak wcześniej?

– Patrzyłeś na mnie – powiedziała, bo to był fakt.

Kiwnął głową.

– Było na co – dodał.

– To bardzo nieuprzejme, nie sądzisz?

– Ale co takiego? – Podjechał wózkiem. – Spracowana kobieta wraca do domu... jest głodna. Dojada resztki po córce. Samo życie. Jak w twoich

książkach.

– To nie brzmi jak komplement.

– Tylko w twoich uszach.

A potem dodał:

– Gdzie byłaś?

Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym mruknęła:

– Teraz dopiero jesteśmy w mojej książce. Chcesz herbaty?

– Nie.

– Okej. No więc pracowałam. – Oparła się plecami o blat.

– Wiem. Nad książką. O mnie.

– Oczywiście, że nie o tobie, głuptasie. O młodej dziewczynie, zdolnej, pełnej ambicji...

– Wiem. Pamiętam ją. Taka właśnie była, młoda, pełna ambicji. Piękna, wchodząca w życie. Jeszcze dziecko, ale już niezwykle pociągająca. Taką urodą, którą traci się po dwudziestce. Takim ciałem, które ma się tylko w tym wieku.

Ula poczuła, że się czerwieni.

– Czy to właśnie chciałaś usłyszeć? Że jej pożądałem?

Nie odpowiadała. A Daniel pchnął wózek i podjechał bliżej.

Nagle to poczuła, zrozumiała.

Obcy mężczyzna na wózku. Jaki miał związek z tym przystojnym facetem, który emablował ją na studiach? Jaką czuła się wtedy szczęściarą, a jaką teraz kretynką. Każda chciała z nim być, bez względu na to, czy był wykładowcą, czy nie...

Potem pierwsze lata opieki. Często był wściekły, a jego muskularne, teraz łożone ciało z roku na rok było coraz słabsze. Czasami zajmowanie się nim sprawiało jej przyjemność – wreszcie stał się jej, od początku do końca. Jej wielki pies. Tak o nim myślała; nawet nabrał wówczas zwyczaju kładzenia tej wspaniałej głowy na jej udach, kiedy obydwójce byli umęczeni – on wszystkimi wyzwaniem z nowym życiem, ona opieką nad mężem oraz małą córką. Owca

– Nie, oczywiście, że nie chciałabym. I nigdy bym ci nie uwierzyła. Jesteś przyzwoitym człowiekiem.

Pokręcił głową.

– Nie, nie, kochanie, to ja ci nie wierzę. Nie jesteś wielką pisarką, moja droga. W swojej książce pewnie poszłaś w tę banalną stronę. Faceta

w dojrzałym wieku, który ugania się za piętnastolatką.

Patrzyła na niego, mimo wszystko zdumiona.

Machnęła ręką.

– Może nie jestem wielką pisarką. Oczywiście, że nie jestem. Nawet nie wiem, czy jestem w ogóle pisarką. Ale nie jestem też oszustką.

A potem się zawahała. Czy powinna to mówić?

– Posłuchaj, ona...

– Nie, dość – przerwał jej Daniel. – Helena Radło to jest klątwa mojego życia, a jeśli ona żyje... to wiesz co?

– Tak?

– Chyba zatłukłbym ją gołymi rękami.

Widziała, jak buzuje w nim złość.

– Za to wszystko, co mnie spotkało. I czasem tak myślę, że ona gdzieś tam mieszka...

– Ona nie żyje.

– Skąd wiesz?

Milczenie.

– Skąd wiesz? – powtórzył.

– Po prostu wiem.

– Widziałaś ciało?

– Nie, ale powiedziano mi, że nie żyje, i wierzę w to.

– Kto ci powiedział? Jak miała na imię ta osoba?

– Nie wiem, jak się nazywa – odparła zgodnie z prawdą.

Pokręcił głową i nagle dostrzegła, że schodzi z niego powietrze.

– Zwariowałaś... Miałaś pisać prawdziwą historię, ale odpłynęłaś. Jedyne, co teraz robisz, to wyrządzasz krzywdę naszemu małżeństwu, biczujesz nasz związek, który i tak jest słaby. Przez te wszystkie lata nie chcieliśmy tego dostrzec. Jest słaby. I nie masz prawa...

– Nie mam prawa? Uważasz, że to nie jest moja rzecz?

– Oczywiście, że nie jest.

Patrzyła na niego, a serce zaczęło jej mocno bić. Zaczęła szybciej oddychać.

– Daniel, czy wyobrażałeś sobie czasem, co ja czuję? – zapytała. – Co ja czułam przez te wszystkie lata z...

– Mężem kaleką, to chyba chciałaś powiedzieć, prawda?

– Chyba tak, właśnie to. Pierwsze lata, kiedy ledwo sobie radziłeś. Twoja depresja. Twoje myśli samobójcze. Moje plany zawodowe, które też uległy

całkowitej zmianie, moje życie uległo całkowitej zmianie, legło w gruzach.

– Więc po co wracasz, zostaw już tę historię! Nie chcę jej wyjaśniać, nie chcę!

– Ale może ja chcę! Ty tego nie rozumiesz. Myślisz, że chodzi wyłącznie o ciebie. O twoją fizyczną krzywdę, o to, co ci zrobili. A ja też chcę wiedzieć, co rozbiło również i moje życie.

Zrobiła pauzę.

– Może chcę powiedzieć światu, że mój mąż nie jest mordercą.

Przez chwilę milczał.

– Więc dlatego to robisz? Żeby pani w sklepie nie obgadywała cię za plecami? Dlatego robisz wiwisekcję mojej przeszłości?

– Daniel, jak możesz... Ja też zostałam tym wszystkim dotknięta. I chcę wiedzieć! Mam do tego prawo, takie jak ty!

Przerwała. Wydawało jej się, że widzi teraz błysk zrozumienia w oczach męża, przecież był zdolny do empatii.

– Nie masz. Oczywiście, że nie masz – powiedział.

Już nie chciała na niego patrzeć. Spojrzała na te smutne okruszki na blacie. I nagle, wbrew sobie, zaczęła płakać. Podniosła wzrok, rzuciła mu jeszcze jedno spojrzenie. A potem odwróciła się i wyszła z kuchni.

22

Wieczorem usłyszałem pukanie.

– Proszę.

– Czy mogę? – Dostrzegłem Beatę Gajus.

– Przecież ty tu jesteś gospodynią – powiedziałem.

– Nie. Tutaj gościem.

Wieki minęły, odkąd obca kobieta była u mnie gościem. Nawet nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy to się zdarzyło.

Usiadła. Proste plecy, spódnica idealnej długości; wszystko w niej wydawało się idealne. Nic dziwnego, że była taka zajęta. Doskonałość wymagała wysiłku i czasu.

– Więc jak to wszystko oceniasz?

Milczałem, przypuszczając, że będzie dalszy ciąg.

– Mija piąty dzień interwencji – dodała. – Mąż był sceptyczny, ale ja jestem zadowolona. Choć wiem, że wtedy, w Ogrodzie Monte, nie zareagowałam dobrze.

Chyba oczekiwała jakiejś mojej odpowiedzi.

– Ale potem już wprowadzałam twoje wytyczne i muszę przyznać, że działają.

Kiwnąłem głową.

– Tak. Przypuszczam, że chłopiec będzie spokojniejszy. Ważne, żebyście przestrzegali rytmu dnia.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

Teraz widziałem strapienie na jej twarzy, aż mi się zrobiło trochę przykro. Po chwili jednak okazało się, że źle to zinterpretowałem.

– To, czym się przedtem zajmowałaś... – Zawahała się.

– Śmiało.

– Wiem, co robiłaś. Wiem, kim jesteś.

Czy byłem zaskoczony? W pewnym sensie zapomniałem nawet o tej konfrontacji na plaży przy stawach Echo. Nie ukrywałem się. Kretyńsko byłoby się ukrywać. Reorganizacja mojego życia i wizerunku... czy człowiek nie ma prawa zacząć od nowa?

A jednak byłem trochę zaskoczony. Zaprosiła mnie tutaj...

– Czyli wcześniej nie wiedziałaś?

– Nie, skąd.

– Rozumiem. Wiesz, że nie mam obowiązku odpowiadać.

– Ja nie przyszłam tutaj, aby cię przesłuchiwać.

– Bardzo cię cieszę, Beato. Bo, powiem szczerze, że nie zamierzam o tym rozmawiać. Każdy z nas wozi swój tobolek.

Mogłem podjąć próbę ucieczki od siebie, bo to było moje życie. Jednak ucieczka od tego, czego się tutaj dowiedziałem, byłaby czymś poważniejszym.

Stanowiłaby zwykłe tchórzostwo.

– Czy pamiętasz naszą ostatnią rozmowę? Bałaś się o chłopca. Mówiłaś, że on kłamie. Że męczy zwierzęta.

– Tak. – Widziałem, że się spina, sweterek drżał na jej szczupłej postaci. – Ja wiem, ale...

– Spokojnie. Nie chcę wracać do naszych rozmów. Ale chcę powiedzieć, że teraz ja się o niego boję.

– Dlaczego?

– Dlatego że moim zdaniem Michał coś widział.

Brak zdjęć. Cisza otaczająca to imię. Nie miałem obowiązku milczeć, nie wziąłem pieniędzy za milczenie i nie zamierzałem w nim tkwić do końca życia.

– Co takiego?

– Morderstwo.

– Nie wierz wszystkiemu...

– Nie wiem już, czemu mam wierzyć, więc zaufam własnej ocenie, bo ona jest dla mnie wiarygodna i wiążąca. Moje stanowisko jest takie, że być może...

– zawałałem się, ale kości zostały już rzucone. – Po prostu wydaje mi się, że Marcel nie zginął sam.

Powiedziałem to i czekałem na reakcję Beaty. Skuliła się w sobie.

– Nie zachowam tego dla siebie. Po części może z powodu pracy, którą wcześniej wykonywałem. Masz rację. Przykro mi. Nie znam sprawy i nie wiem, jakie powinny być dalsze kroki. Ale moim klientem jest Michał, prawda? A Michał być może widział morderstwo swojego brata, choć te wspomnienia się zacierają. Z czasem może zapomni o tym, ale podświadomie zawsze będzie nosił w sobie tę traumę. Jego gniew, jego złość... możemy nad tym pracować terapią i innymi rzeczami, ale nie uciekniemy od prawdy, jeżeli ona tak wyglądała.

Zrobiłem pauzę przed kolejnymi słowami.

– Ale przecież to był wypadek. Marcel... – szepnęła Beata.

– Przypuszczam, że to nie był wypadek. Jest jeszcze kilka okoliczności. – Urwałem, niepewny, czy wprowadzać w to wszystko Ulę. – Co więcej, nie rozumiem...

– Czego takiego?

Pokręciłem głową. Beata przyszła mi w sukurs.

– Wiem, że poznałeś Ulę na plaży. Ale nie wierz wszystkim jej słowom.

– Dlaczego?

– Bo może powinnam opowiedzieć ci o jej mężu.

Zrobiła to. Słuchałem w milczeniu.

Byłem zdziwiony, oczywiście. Ale już nie zszokowany, zwłaszcza po dzisiejszym.

– Rozumiem. Chciałbym wrócić do Marcela – powiedziałem. – Próbowałem go sobie wyobrazić. Ale nie potrafię. Dlaczego? Bo nawet nie wiem, jak wyglądał.

– Jest tutaj opłakiwany.

– To dlatego nie ma żadnych jego zdjęć?

– Jak to?

Wpatrywałem się w nią.

– Nie ma i już.

– Jestem...

Nagle wstała i podeszła do okna. Obserwowałem ją uważnie. W szyby ciężko były krople, wręcz czułem tę przenikliwą wilgoć.

Beata obróciła się po paru sekundach.

– Serce matki. Czy masz dzieci?

Chyba nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie. Zrozumiała to po swoim.

– Nie wiem, czy zrozumiesz, ale nie mogłam go oglądać.

– To ty pozbyłaś się jego zdjęć?

– Tak.

– Nawet z albumów?

– Tak – powiedziała. – Nawet z albumów.

Pokiwałem głową.

– Musisz to zrozumieć. Przecież nie zrobiłam nic złego. Zrobiłam to dla siebie... dla nich... dla nas... nie oceniaj mnie, proszę.

– Oczywiście, nie mam prawa osądzać.
– Jednak patrzysz. – Spoglądała dziwnie błagalnie.
– Nie, nie patrzę. Każdy ma prawo do swojego obchodzenia żałoby.
– Każdy. Ale teraz czuję, że to nagle wróciło. – Obróciła twarz, tak że jej nie widziałem. – I wiesz, chyba muszę pobyć sama.

– Rozumiem.

– I proszę cię, Szczepan, nie jako twoja klientka. Jako matka. Nie zadawaj już tych pytań. Bo jątrzysz ranę. A rana jest żywa, ropieje, wciąż się brudzi. Odejdź od tego, proszę, zostaw to.

Spojrzałem na nią i powoli pokiwałem głową. Potem odwróciła się i obserwowałem, jak jej szczupła sylwetka znika w drzwiach.

Siedziałem chwilę w milczeniu. Myślałem o sobie. O świecie i naturze zobowiązań. O dzieciach.

Zdecydowałem, że dam sobie prawo do tego, co musiałem zrobić.

Do kłamstwa.

23

Ula czuła się, jakby nurkowała w przeszłość. Tak rzadko ostatnio wynurzała się ze Zwierzyńca – głównie z uwagi na stan Daniela. Ale ten stan ulegał zmianie i Daniel ulegał zmianie. Wszystko ulegało zmianie, bo zmiana była jedyną stałą w jej życiu, i w każdym innym.

Wyrzucała sobie, że nie dostrzegła, jak daleko podryfowali od siebie. Oboje byli winni, bo Daniel odtrącał wszystko, co chciała mu dać.

Kierowała się drogą do Zamościa. Wyjechała już z lasu, krajobraz stał się bardziej zurbanizowany. Jak ta kraina wyglądała przed pięciuset laty? Czym było pięćset lat i czym było jej jedno małe życie? Często łapała się na tej refleksji. Dlaczego ludzie przykładali taką wagę do swego życia, dlaczego przeżywali cały ten stres? Ostatecznie pod koniec egzystencji mało kto mógł pochwalić się wybudowaniem Zamościa.

Kiedy przed jej oczami pojawił się znajomy renesansowy rynek – kamieniczki, kościoły, zapach starego miasta i koni zaprzężonych do bryczek – Ula poczuła, że powróciła w znajome otoczenie. W środowisko miejskie, które było jej domem przez całą młodość, zanim dobrowolnie zesłała się do lasu.

Po drodze myślała o tym, co już wiedziała.

Szesnastoletnia Helena była w ciąży, a jej metryka zdradzała, że zaszła w wieku piętnastu lat. Poza wszystkim doszło do poważnego przestępstwa... Ula wierzyła więc, a może chciała wierzyć, że dziewczyna nie miała nic wspólnego z jej Danielem. Że morderca co wieczór nie wślizguje się do jej łóżka – z jej własną pomocą.

Skręciła z rynku w lewo, i potem jeszcze raz. Jakie miała prawo do działań, które chciała podjąć? Wbrew słowom, które wczoraj padły, czuła się winna.

– Piszę książkę – szepnęła. – Nie muszę się przed nikim tłumaczyć.

Czy jednak naprawdę tak to działało? Pamiętała z dzieciństwa „literata” – wiecznie skacowanego mężczyznę o trudnym charakterze. Był kuzynem jej mamy. „Karol pisze”, mówiono, a wszyscy kiwali głową ze zrozumieniem. Miał prawo, bo był wyjątkowy i pisał, a pisanie stanowiło misterium oraz wytłumaczenie dziwaczności tego człowieka.

Zaparkowała. Przełknęła ślinę, przygotowując się do tego, co zaplanowała. Nie żywiła złudzeń, musiała popełnić przestępstwo, nie było innych furtek... Skierowała się na oddział ginekologii, już czując się jak złodziej.

Rzykowała. Nie była na tyle zakłamaną, aby całkowicie się usprawiedliwić i wybielić. Miała też dziwne wrażenie, że dostała pozwolenie od rodziny Radłów.

Skierowała się do dyżurki.

– Dzień dobry, chciałabym sprawdzić kartę choroby mojej kuzynki.

– Kuzynki?

– Tak.

Wymieniła imię i nazwisko.

– Przecież my pani nie możemy udzielić tej informacji.

– Dobrze, ale proszę tylko spojrzeć. Bo coś już mam. Tylko że historia choroby jest niekompletna. Proszę zerknąć.

Przesunęła po blacie kopertę z pieniędzmi, którą zawczasu przygotowała.

Czuła, jak faluje jej serce. Całe życie była tchórzem i teraz wreszcie przełamywała bariery. Miała przeświadczenie, że w gruncie rzeczy robi dobrze, lecz drżące palce sugerowały coś innego.

Pielęgniarka spojrzała na nią nieruchomym wzrokiem, ale to nie trwało długo. Zabrała kopertę z blatu i Uli wydawało się, że obróciła ją jeszcze w palcach, sprawdzając zawartość i objętość.

– Już pani mówiłam, że tego nie mamy – oznajmiła.

– Och.

Widziała jednak zawahanie na twarzy kobiety.

– Ale mogłabym sprawdzić w archiwum szpitalnym.

– I zrobi to pani?

Koperta już została zabrana, choć Ula wciąż mogła skończyć z niczym. Chwilę to trwało, kolejne długie sekundy.

– Proszę poczekać na korytarzu, tam są krzeselka. Wyjdę do pani.

Ula posłusznie usiadła. Czekala prawie trzydzieści minut. Patrzyła na stażystki w kolorowych kitlach – kiedy właściwie zrezygnowano z białych?

We fiolecie, różu, niebieskim maszerowały po korytarzach, wgapiając się w telefony, jakby tam była cała wiedza medyczna.

Pielęgniarka pojawiła się i dała oczami znak. Wyglądała jakoś inaczej, przypatrywała jej się. Ula cała się spięła.

– Tu ma pani kopię – powiedziała pielęgniarka.

Zerknęła.

– Wypis?

– Tak.

– Aha. – Ula wzięła szarą kopertę. – Dziękuję.

Kobieta kiwnęła głową; chyba chciała się już jej pozbyć. Czy musiała się z kimś podzielić, żeby zdobyć tę informację, czy mogła zachować całą zawartość koperty dla siebie?

Bezsensowne rozmyślenia powieściopisarki, pomyślała Ula. Przecież to nie jej sprawa; dlaczego zawsze chciała wiedzieć wszystko i wszystko kontrolować? Nie jej sprawa.

Ale pielęgniarka nie odchodziła. Nagle dodała cichszym tonem złoczyńcy, który pragnie jakoś uzasadnić swoje postępowanie:

– Ja... pamiętam jeszcze tę dziewczynę.

– Naprawdę? Co się z nią stało?

– Urodziła dziecko.

– Chłopca, dziewczynkę?

– Nie pamiętam. Ale wszystko tam pani znajdzie. Musieliśmy ją wypuścić.

– Dlaczego?

– Zażądała tego.

– Ale... samą?

Jeden z młodych lekarzy przechodził korytarzem. Rzucił im długie spojrzenie. Być może miało być uwodzicielskie i skierowane w jej stronę, kobieta jednak wyraźnie się spieszyła.

– Powiedziałam, wszystko tam pani znajdzie – powtórzyła.

– Interesuje mnie...

– Wiem. Wiem, że panią interesuje. Wszystkich interesuje.

Ta uwaga padła tonem lekkiej drwiny. Ula przez chwilę była zdezorientowana.

– Co pani ma na myśli?

– Że wszyscy o to ostatnio wypyują. Jak ten emerytowany policjant. Myślał, że jak powie, kim jest... Jak poda swój stopień... Przecież ja głupia nie jestem, umiem czytać daty i wiem, co to jest emerytura.

– Jak wyglądał?

– Wysoki, z wąsami i brodą... Zostawił wizytówkę, może gdzieś ją jeszcze mam.

Pielęgniarka wyjęła portfel. I wysunęła kartonik.

Imię i nazwisko nic, absolutnie nic Uli nie mówiły...

– Chwila, chwila, z zarostem, wysoki, mówi pani? – powiedziała, nagle wzburzona, wyciągnęła telefon i podsunęła kobiecie pod nos fotografię. Tę, którą udało jej się zrobić nad stawami. Ziarnistą, ciemną, jak na jakiejś przedpotopowej kliszy.

– Czy to może jest ten mężczyzna?

Chwila ciszy. Odniosła wrażenie, że już niczego się nie dowie i może należało przygotować kolejną kopertę...

– Nie wiem. Może. To zdjęcie jest słabe.

Ale po chwili kobieta dodała:

– Ale gdybym miała postawić pieniądze, to tak, to jest ten mężczyzna. Ale powtarzam tylko to, co usłyszałam, sama niczego nie wiem i proszę nigdzie o mnie nie pisać – oznajmiła i oddaliła się szybkim krokiem.

24

Nie do końca miałem plan; nie wiedziałem, co chcę osiągnąć, ale coś ciągnęło mnie do Uli. Szedłem, myśląc o tej kobiecie, która tak nagle wprowadziła się do mojego życia, i zastanawiając się, czy to cokolwiek oznaczało. Drzewa kładły się długimi cieniami na horyzoncie, kiedy wybrałem drogę przez miasto i maszerowałem szarym zmierzchem w stronę domu pisarki.

Znalezienie adresu w mieście takim jak Zwierzyniec nie okazało się bardzo trudne. Koniec języka za przewodnika – wystarczyło spytać w spożywczym. Przeszedłem całą ulicę Wachniewską i w końcu dotarłem na miejsce. Dom był spory, w kształcie stodoły, dach miał obłożony kolektorami słonecznymi. Wydawał się stary i nowoczesny zarazem – widać było, że w obejście wkładany jest wysiłek, ale chyba nieudolnie albo z niewystarczającą energią.

Nacisnąłem dzwonek, ale nikt mi nie otworzył, choć w środku się świeciło. Zawahałem się i zaryzykowałem. Wszedłem – i to było jedno z moich głupszych posunięć.

Wielki owczarek rzucił mi się do szyi. Nie gryzł, ale położył mi ostre łapy na klatce piersiowej i zaczął wściekle drapać.

– Ksawery! – zagrzemiał głos w głębi korytarza.

Pies, jak wyłączony przyciskiem, odskoczył ode mnie. Pocieszające, że potrafili go kontrolować. Patrzyłem w głąb domu i nasłuchiwałem terkotania kółek. Czekanie wydawało się wiecznością, ale kiedy sylwetka wyłoniła się z mroku, dotarło do mnie, że mam przed sobą samego męża Uli, Daniela Radziwiłowicza.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że zupełnie go nie pamiętałem – jakiś występ w mediach; rozczochrane włosy i lekko niedoprasowana koszula. Seksowny pedagog. Seksowny pedagog z KUL-u – jeszcze lepiej. Niewiele pozostało jednak z tego, co zapamiętałem z telewizji czy wywiadu w „Lustrze”.

Jego krótkie włosy wciąż były bujne, ale policzki miał zapadnięte, a charakterystyczne elfie oczy – skryte za grubymi szklami.

– Czego pan tu szuka? – zapytał.

– Pana żony. Nazywam się Szczepan Turcki.

Nie wystawiłem dłoni. Miałem poczucie, że owczarek wciąż może ją dopaść. Wgapiął się we mnie nieufnie, tak jak jego pan. Z automatu, stojąc w tym lekko zapyziałym korytarzu, przyjąłem równie nieufną postawę. Pies w domu wydawał się groźniejszy niż na plaży nad stawami Echo. W zasadzie nie wiadomo, czy nie powinienem zacząć się już wycofywać...

– Tak. – Radziwiłowicz wpatrywał się we mnie, jakbym proponował mu udział w piramidzie finansowej.

– Znam pana żonę.

– Rozumiem. – Zdawało mi się, że na jego twarzy dostrzegam ulgę. – Chyba od dawna czekałem na kogoś takiego jak pan.

Spojrzałem na niego w oszołomieniu.

– Jestem psychologiem – wyjaśniłem. – Pracuję u Gajusów, rozmawiałem z pańską żoną...

– Dopiero się poznaliście?

– Dokładnie.

Znowu chwila milczenia. Szczepan Turski, mężczyzna na wózku i wielki pies. Nasza trójka w wąskim korytarzu. Prawie Stephen King. Ta sytuacja musiała się jakoś rozwiązać.

– Uli nie ma i nie wiem, kiedy wróci. Ale pan ma na twarzy wypisane coś takiego jak Ksawery, kiedy czeka na miskę – rzekł i dodał: – Coś mi świta. Pan chce ze mną porozmawiać, prawda?

– Być może. Jeśli pan też tego chce.

Zbliżył się na wózku.

– Powiem coś panu. Znudziło mi się milczenie. Ludzie pracujący tego nie wiedzą, ale wszystko jest lepsze od nudy. Nuda to piekło. Znudziło mi się już milczeć, znudziło mi się trzymać język za zębami...

– W gruncie rzeczy słusznie.

– W gruncie. – Wyszczrzył zęby. – Niech pan ze mną pójdzie. Proszę, niech pan ze mną pójdzie – powtórzył.

Dom był większy, niż się spodziewałem. Pachniał wilgotnymi kamieniami i ziemią. To nie była miła woń. Kojarzyła się z cmentarzem.

– Niech pan tu wejdzie. – Przepuścił mnie w drzwiach. – Kawy, herbaty, whisky?

– Może herbaty.

Zlustrował mnie wzrokiem.

– A jednak wygląda pan, jakby potrzebował czegoś innego. Przyniosę śliwowicę.

Nie mógł bardziej nie trafić. Pożałowałem, że nie pozostałem przy whisky. Wszystko inne wzbudzało we mnie obrzydzenie, im bliżej spirytusu, tym gorzej. Ale już nie było wyjścia. Gospodarz zniknął gdzieś i ulżyło mi, kiedy wrócił bez psa.

Nalał od razu dwa kieliszki bursztynowego płynu.

– Powiem prostu z mostu, bo wiem, że pan z tym przyszedł.

– Tak?

– Znałem tę dziewczynę.

Cisza.

– Nie wiem, czy zginęła, choć przypuszczam, że tak. A jak nie zginęła, to chciałbym, żeby tak było, po tym, co się wydarzyło.

Musiałem przez moment wyglądać na zdumionego.

– Pan tego nie wie – powiedział drwiąco, ale oczy mówiły coś innego.

– Niestety.

– Kłamie pan – oznajmił, choć wyczułem, że to pytanie. – Dobrze więc. Opowiem. Dziewczyna zginęła. Całe miasto było zaangażowane w poszukiwania. Nie zostawiła listu. Nie знаła nikogo poza Zwierzyńcem. Wszyscy uznali... i nie wiem, czy to prawda, czy nie, ale wszyscy uznali, że Helena nie żyje. A nawet jeśli nie wszyscy, to wystarczy, że większość. Postawiono mnie na celowniku.

Zamilkł na chwilę.

– I? – podjąłem.

– Niech pan się ze mną napije – powiedział i nalał do kieliszka.

Alkohol był lepszy, niż się mogłem spodziewać, ale i tak dyskretnie wykręciłem twarz.

Daniel milczał i pomyślałem, że może potrzeba mu bodźca.

– Dlaczego zamieszali w to pana? – zapytałem.

– Znali mnie. Mam pewną historię, kiedyś moje życie wyglądało inaczej... pan pewnie nie kojarzy.

Zostawiłem swoją wiedzę dla siebie. Spojrzał na mnie bystro.

– Nie wiem, ile pan wie i dlaczego o tym wszystkim gadam. Czym się pan zajmuje, jeszcze raz?

– Jestem psychologiem.

– Psycholog. No tak. Ja pracowałem jako pedagog.

Kiwnąłem głową. Zdecydowałem się milczeć i to milczenie stanowiło najlepsze rozwiązanie.

– Siła plotki – wznowił swoją opowieść. – Niewiele jest potężniejszych zjawisk niż taka paskuda. Jak kula śnieżna toczy się przez miasto, miasteczko, wieś, płoty i pola. Nabiera niebotycznych rozmiarów, rozlewa się jak gówno, zmienia kolory. Z małego czyściutkiego płatka śniegu zostaje obrzydliwa kula. Chyba tym właśnie była moja historia.

– Ale... znał ją pan, prawda?

– Jasne, że ją znałem. Znałem wówczas większość dzieciaków w Zwierzyńcu, proszę mi wierzyć. Niech pan się nigdy nie przeprowadza do takiej wiochy! Sam pan widzi, jak to się kończy.

Nie miałem pojęcia, czy teraz żartuje.

– Tak, niech pan bezpiecznie siedzi anonimowo w mieście. Duże miasto jest bezpieczne, ale miasteczko i wieś...

Wyraźnie zaczął mamrotać.

– Podobno była niezwykła – naprowadziłem go na temat.

– Proszę pana, poznałem wiele niezwykłych kobiet w życiu, włącznie z moją żoną, proszę mi wierzyć. Nawet jeśli ta dziewczyna wyglądałaby jak Tetyda, dlaczego miałbym się nią interesować?

Nie skomentowałem.

– Dobrze, proszę mówić. To jest nawet ciekawe, co jeszcze żyje po latach – zakaszłał, dolewając mi śliwownicy. – Co pan słyszał, co pan wie?

– Że pan ją często odwoził.

– Tak. Jak i wiele innych dzieciaków. Nie miałem wtedy własnych, to znaczy Ula była w ciąży, no więc dlaczego nie. Mówiąc szczerze, jakkolwiek niepoważnie to zabrzmiało... w kontekście tego, co się wydarzyło, to uciekałem trochę z domu, dla świętego spokoju. Ula miała straszne humory. Karma to dziwka, prawda? Uciekałem od przyszłej harówki nad dzieckiem, straszne były mi pieluchy i bujanie, śpiewanie kołysanek, noszenie... – Zaśmiał się nieprzyjemnie. – Chryste, ile bym teraz za to dał, żeby potrzywać dziecko w ramionach, uśpić je...

– I tyle? – zapytałem. – Nie wyróżniał jej pan? To znaczy, przepraszam, może nie powinienem...

– Niech pan nie milczy. Niech pan mówi, ile pana psychologiczna dusza zapragnie! Po to tu pan jest, prawda? A tak na serio, to może nawet miałem do niej słabość – powiedział. – Była delikatną, wrażliwą dziewczyną w rodzinie

pełnej patologii od pokoleń. Proszę wybaczyć mi wyrażenie, ale nie jestem już akademikiem: ona była jak kwiat wyrosły na śmietniku, na kompoście. Nie mówię, że jej rodzina była kompostem – przełknął ślinę – wciąż wierzę, że jej rodzice to raczej przyzwoici ludzie. Ale na Boga, ona miała piętnaście lat, a ja nie jestem pieprzonym pedofilem. Te wszystkie historie... – Pokręcił głową. – Generalnie, jak każdy, w końcu zapłaciłem za swoją przeszłość.

– Dlaczego?

– Miewałem kiedyś romanse. Ale, do cholery, to były pełnoletnie studentki! Tak, ta dziewczyna była piękna. Ale nigdy nie romansowałem z nieletnią, bo psychika nie nadąża za ciałem. A ta miała ledwo piętnaście lat.

– Szesnaście, kiedy zginęła.

– Mówię o czasie, kiedy ją znałem i widziałem. Ciało i wygląd kobiety, charakter, wewnątrz naiwnego dziecka oraz małej romantycznej dziewczynki. Tak właśnie zapamiętam Helenę. Była kwiatem. Miałbym go zerwać? Jakie miałem do tego prawo, jakie ktokolwiek mógłby mieć prawo?!

Westchnął ciężko. Nalał jeszcze dwa kieliszki. Wpatrywałem się w niego czujnie i nie miałem pojęcia, czy jest szarlatanem, czy mówi prawdę. Winny czy niewinny, mógł być po prostu każdym z nich. Mógł mówić szczerze i z serca – i równie dobrze kłamać. Przede wszystkim jednak odniosłem wrażenie, że jest szaleńcem.

– Co było dalej? – zapytałem.

– Zniknęła z dnia na dzień. To pewnie już pan wie. Przeszukiwaliśmy okolice, myśląc, że może zgubiła się w lasach. Już wtedy wydawało mi się, że otacza mnie coś złego, jakaś niekorzystna aura... Czy pana zdaniem nieszczęścia mają swoje preludium, ukrytą zapowiedź? Jak u Greków, groźbę, która zawsze istnieje, nawet jeśli nie zawsze jest dostrzegalna?

– Naprawdę nie wiem.

– Strzelba Czechowa, dalej nic? Pan nie wie, bo pewnie nie zadaje pan sobie takich pytań. – Polał jeszcze raz, choć mnie się już dwoiło w głowie. – Może pan nie musiał.

– Może sami sobie jesteśmy winni? – zasugerowałem.

– A więc pan psycholog matematyk emocjonalny, tak? – uśmiechnął się. – Powiem tak. Słyszałem różne szeptki, a rozmowy milkły, kiedy się zbliżałem. Policja mnie nie podejrzewała. Przecież nie było podstaw. Ale ktoś rozpuścił taką plotkę i plotka się rozkręciła, jak już mówiłem, rozniosła jak gówno. Zwierzyniec uznał, że jestem winny.

Teraz czułem już wibrujące napięcie.

– Nie wiem, co się wydarzyło, po prostu nie pamiętam tamtego dnia.

Zrobił pauzę.

– Krótka amnezja, żeby przeżyć. Próbowałem, przecież nawet przed sądem, nawet z prawnikami i lekarzami. Nic. Czasem tak się chyba dzieje, prawda? Teraz wiem, że tam był jej brat, Paweł Radło. Nie był sam, widziałem ich wszystkich na procesie. Wiem, że zadawali mi wiele ciosów, znacznie więcej, niż to moje ciało mogło przyjąć. – Pokazał na swoją klatkę piersiową z ironicznym wyrazem twarzy. – Może chcieli mnie nastraszyć, może dowiedzieć się, co niby zrobiłem z ich siostrą. Może się zabawić, bo ich testosteron nie znalazł ujścia, a czynnik emocjonalny wywołał eksplozję. Nie wiem, i myślę, że nigdy się nie dowiem, bo przed sądem głównie milczeli. Ale tak dokonała się egzekucja mojego całego życia.

Zapadło milczenie.

– Powiedzą panu, że zawsze można sobie ułożyć życie. Jak ten mężczyzna bez rąk, z niezwykle atrakcyjną żoną, udzielający wykładów za miliony. Oczywiście, że można. Zwłaszcza jeśli nie pamiętało się poprzedniego. Zwłaszcza wtedy, proszę pana... Ja na poziomie świadomości nie pamiętam tych ciosów, ale moje ciało może pamiętać. Czołgałem się, podobno jeszcze chwilę się czołgałem, kiedy zrzucili mnie z mostu, zostawili przy szosie. Może chcieli, żeby coś mnie przejechało, pewnie tak było. Tylko tak to by miało jeszcze jakiś sens.

Ukrył twarz w dłoniach. Wydawało się jasne, że żadnego sensu nie ma, że ten człowiek dalej nie rozumie, dlaczego go to spotkało.

A coś takiego podważa wszystko inne.

– Reszty chyba nie muszę opowiadać, siedzi tutaj przed panem. Resztką mnie.

– Brat Heleny wciąż jest w więzieniu, wie pan o tym, prawda?

– Szczerze? Może powinno mnie to obchodzić, ale tak nie jest. Bo nie byłem ideałem. Nigdy nie sądziłem, że spotka mnie taka karma, ale chyba łatwiej mi jest traktować Pawła Radłę jako wysłannika sprawiedliwości.

Myślałem o żonie tego człowieka. O Uli. Do niej tutaj przyszedłem, a spotkałem się z dramatem jej męża. Nie tylko z dramatem, Daniel wydawał się wręcz na skraju urojeń. Był bohaterem własnej tragicznej opowieści, historii mężczyzny uganiającego się za młodymi kobietami.

I wiedziałem, że pewnie był kimś więcej, ale równie dobrze to mogła być historia starego kozła niepanującego nad swoimi instynktami, a teraz zatracającego się we własnym męczeństwie.

Daniel Radziwiłowicz spojrział na mnie niepokojąco nieprzytomnie.

– Najlepsze jest jednak to – powiedział – że w gruncie rzeczy zapłaciłem za grzechy kogoś innego.

– Nie rozumiem.

– Owszem, rozumie pan. – Odjechał wózkiem i odchylił się do tyłu. Otworzył okno i zapalił papierosa. Chwilę się zaciągał i wydychał dym, uciekający w zimną noc. – Nie wszystko widzi się od razu. Mówię, że nie pamiętam tego, jak mnie pobili. Ale pamiętam inne rzeczy... Pamiętam, jak Helena przy mnie pisała jakieś esemesy. I jak prosiła, żebym ją odwoził, ale nie do rodziców, nie do Karyszki, tylko w różne dziwne miejsca.

– Jak to dziwne?

– W parku. Tak po prostu sobie wychodziła. Nie śledziłem jej i nie zadawałem pytań... Dlaczego miałbym zadawać? Nastolatki mają tyle tajemnic... Nie chcemy o nich wiedzieć, teraz sam mam córkę, prawie w tym wieku, ale czy znam jej sekrety? Nic o niej nie wiem. Ja, pedagog. Jak mogę się dalej określać tym mianem, jak ktokolwiek może?

Zaśmiał się ponownie.

– Co pan chce przez to wszystko powiedzieć? – zapytałem.

– Ona kogoś miała. Kogoś, kogo może nie chciała pokazać rodzicom. Kogoś, z kim nie chciała być widziana.

– Wie pan...

– Kto to był? Oczywiście, że nie.

– Mogła z nim uciec?

– Oczywiście, że mogła. Wszystko mogła. Nawet jeśli to jest mało prawdopodobne.

– Czy zna pan jego personalia...?

– Nie, przecież mówiłem. – Zaciągnął się po raz ostatni, aż mnie zaboląły płuca. I wyrzucił peta do słoika, gdzie był ich już stosik. – Wiem tylko, że kogoś miała. Nie znam tożsamości tego człowieka.

A potem otworzył okno i poczułem, jak podmuch wilgotnego, nieprzyjaznego powietrza wdziera się do środka.

– Chciałbym znać – powiedział.

25

Zmierzchało już, kiedy Ula dojeżdżała do Zwierzyńca. Podróż zajęła cały dzień i przez ostatnią godzinę martwiła się o Ksawerego. Czy Daniel albo Kamila zajęli się jej pieskiem?

Kamila. Ukłucie w brzuchu. Znowu tak mało zajmowała się córką i teraz, z perspektywy kilku dni, wiedziała, że wszystkie zarzuty Kamy okazały się słuszne. Trzeba było to sobie jasno powiedzieć.

Zaparkowała na podwórku i weszła do domu. Zapach zupy dyniowej, którą przyrządziła jej córka... Rany, czy trafiła jej się lepsza nagroda w życiu niż to dziecko? Nie tylko nie sprawiało żadnych problemów, lecz także samo potrafiło sobie poradzić ze swoimi problemami – z dojrzałością, której nie starczało większości dorosłym.

Kamila odrabiała lekcje przy kuchennym stole. Wbrew wszystkim ciepłym myślom, które Ula skierowała w jej kierunku, ta rzuciła jej zaskakująco ostre spojrzenie. O co teraz szło? Czy następowała jednak kara za bycie złą matką?

Podeszła bliżej, żeby ją ucałować. W jakiś sposób obecnie, po wycieczce do Zamościa, łatwiej jej było docenić to, co ma – bo podróż do miasta nadszarpnęła ją emocjonalnie.

Córka prawie się nie poruszyła. Ula podeszła następnie do garnka i zanurzyła w nim łyżkę.

– Zrobiłaś przepyszna zupę – powiedziała.

Odrobinę niedoprawiona, ale należało chwalić. Która dwunastolatka teraz potrafi ugotować zupę? Zrobiła, co należy. Pochwaliła za wspaniały czyn, a nie za to, jaka Kama była od urodzenia śliczna i mądra. Co zresztą odziedziczyła po Danielu.

Kama wciąż milczała.

– Tobie też nałożyć? – Ula usiłowała przerwać to milczenie.

– Nie, mamó.

– A tata jadł?

Kamila nie odpowiedziała. Zapadła cisza, ale w jakiś sposób pełna treści. Miała inny wymiar. Uli mocniej zabiło serce. A więc znowu o to chodziło...

Teraz tylko spokojnie to rozegrać. Jej dziecko nie mogło jeszcze mocniej dostać po głowie i cierpieć za niewinność.

– Nie jadł? – zapytała pozornie obojętnym tonem.

– Nie wiem – odparła cicho dziewczyna.

– A co on robi?

Kamila skuliła nagle ramiona; ruch ciała, z którego pewnie nawet nie zdawała sobie sprawy. A więc tak...

Ula poczuła złość. Wiedziała, co tu się wydarzyło. Daniel, nawet w swoim stanie, potrafił wykrzesać z siebie diabła. Dlaczego ludzie uznawali, że jak ktoś jest ciężko chory, to nabiera szlachetności? Nie, skarciła sama siebie, wcale nie był diabłem, tylko udawał diabła.

Nagle straciła cały apetyt.

– Zaraz wracam, kochanie – powiedziała.

– Mamo... – usłyszała.

Podeszła do córki i objęła ją jeszcze raz. Skóra i kości. Jeszcze dziecko. Jak ten skurwysyn mógł...

– Mamo, proszę cię – zdawało jej się, że słyszy ciche słowa, już za plecami.

Zatrzasnęła drzwi. A potem nabrała tchu, przemierzyła korytarz i weszła do pokoju Daniela. Jeszcze nie spał. W kącie pokoju stał wielki telewizor, którego jej mąż zażyczył sobie jakiś czas temu. Plazmy od tego czasu urosły potwornie, ale i ten wciąż wydawał się zbyt duży.

Daniel puścił sobie *Straż przyboczną* Kurosawy. Na ekranie wił się Toshirō Mifune ze swoim odwiecznym grymasem na twarzy. Wybitny aktor, ale szarżujący, tak jak zawsze jej się wydawało, że robił Robert De Niro. Woląла powściągliwość, subtelność gry. Kiedyś miłość do filmów Kurosawy ich łączyła. *Tron we krwi*, *Rudobrody* – i przede wszystkim *Rashōmon*. Czarno-białe kino, chociaż tak krwawe.

Poczuła zapach niestrawionego alkoholu. Jak długo już pił?

Zamknęła za sobą drzwi.

Spojrzał na nią z poduszek. Wybudziła go z bezpiecznego świata filmów, w które uciekał. Dopiero po chwili zdobyła jego uwagę. Od czego miała zacząć? Od tego, że robił z ich ślicznej, mądrej córeczki DDA?

Chciała tyle rzeczy wykrzyczeć, jak zawsze jednak ogarnęła ją słabość. Dlaczego czuła się winna? Nagle, może pod wpływem wyprawy do Zamościa, zamknęła oczy. Na wspomnienie tamtej nocy, kilkanaście lat temu. Tak, oczywiście była na niego zła, bo wiedziała, że odwozi młode dziewczyny ze

Zwierzyńca i okolicy. Wtedy, kiedy czekała na niego w domu, w ciąży, a on wracał bardzo późno.

Nawet tutaj, w Zwierzyńcu, który miał być ich oazą i sielanką, Daniel potrafił urządzić jej małe piekło – jeśli piekło jest opuszczeniem – i dlatego przez moment naprawdę chciała, żeby nie wrócił, żeby drzewo zważyło mu się na samochód, żeby zniknął z jej życia tak szybko, jak się pojawił. Nawet za cenę tego, że zostaną z Kamą zupełnie same.

A potem stało się to, co się stało. Nie była na tyle szalona, żeby się za to obwiniać, ale i tak się zadręczała. A Daniel, po tych wszystkich latach, na powrót znalazł sposób, żeby unieszczęśliwić ich dziecko, igrać z jego przyszłością oraz szczęściem.

Kiedy tak patrzył, bez cienia poczucia winy w oczach, po prostu miała ochotę go zabić.

– Poznałem twojego przyjaciela – oznajmił zniecierpliwiona. – Przystojny.

Wciąż potrafił ją zaskakiwać.

– Jakiego przyjaciela, o czym ty mówisz?

– Ten psycholog. Turski. Trudno przychodzi mi takie stwierdzenie, ale to fajny facet.

– Nie wiem. – Pochyliła głowę, bo musiała zebrać myśli.

– Nie wiesz? – Przesiadł się na wózek, naprawdę szybkim ruchem. Alkohol stępiał jego ból.

– Nie.

Podjechał bliżej. Nawet się z tym nie krył. Śmierdziało od niego spirytusem. Włosy miał rozczochrane, na twarzy uśmiech.

– I nie rozmawialiście? – zapytał.

– Ale dlaczego?

– Miałem wrażenie, że cię szukał. Jakby miał ci coś do powiedzenia. Zadawał również dziwne pytania. Poniekąd zmusił mnie do spojrzenia w przeszłość.

Patrzył jej prosto w twarz.

– Nie wiem, o czym mówisz – skłamała.

Mimo nietrzeźwości spojrzał na nią ostro. Wiedział. Jego intelekt z czasem jeszcze się wyostrzył i choć to bardzo smutne, areną jego walki ze światem stał się ich dom, a w nim ona oraz ich córka.

– Nigdy nie chciałaś...

– Czego? – Usiadła przy biurku.

– Kochanka.

Czy chciała? Czy ktoś był? Kilkukrotnie, kiedy miała szansę, w ostatnim momencie się wycofywała.

– Z pewnością bym ci powiedziała, żebyś mógł pokrzytykować i się pośmiać.

– Tylko za kogoś takiego mnie masz? Kogoś wyzbytego resztki męskiej dumy, zdolnego tylko do tanich złośliwości?

Oczywiście poczuła się winna, a przecież przyszła tu oskarżać.

Ukryła twarz w dłoniach. Dziecko i narcyz. Tym byli. Niektórzy ludzie nie powinni mieć dzieci.

– Ula...

Nie odpowiadała. Zaśmiała się głośno.

– Boże, wciąż tak łatwo cię złapać. Oczywiście, że chciałbym wiedzieć, ale drocę się z tobą. Powiedz mi lepiej, skoro już jesteśmy w przeszłości, co takiego odkryłaś?

Wahała się.

– Wiem, że coś masz. Widzę to po tobie. Masz zaczerwienione oczy, włosy w nieładzie. Widziałem od samego początku, kiedy tylko weszłaś, to jest wręcz seksowne. – Nagle wydał się rozentuzjasmowany. – Znalazłaś ją?

Przybliżył się. Teraz mówił serio.

– Nie, Daniel, oczywiście, że nie znalazłam. Ale do czegoś doszłam. I to jest bardzo niepokojące. Helena była w ciąży. – Odwróciła się nagle. – Wiedziałeś o tym?

Wpatrywała się w niego. Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy wyglądał na wstrząśniętego. Nagle świat pod nią też zaczął się zapadać. Daniel otworzył usta.

– Oczywiście, że nie. Ona miała...

– Piętnaście lat.

– Skąd masz tę informację?

– No mam. I wiem, że urodziła to dziecko.

– Ale ty chyba nie... Chyba nie myślisz, że było moje, prawda?

– Nie. Jeśli mi powiesz, że nie było.

– Nie było, Ula. No, kurwa, nie było. Nie tknąłem tej dziewczyny, Ula... – Westchnął. – Co się stało z tym dzieckiem?

– Nie wiem, ale to wszystko...

– Tak?

– Czy to nie ty mówiłeś zawsze, że fakty ponad intuicją?

– Oczywiście.

Myślała o tym wszystkim. O słowach Szczepana nad wodą. O mordercy, który powraca.

– Więc sądziłam... – zaczęła. – Daniel, nie twierdzę, że coś z tego rozumiem. Ale jeśli ona rzeczywiście utonęła nad stawami Echo...

– Tak?

– To w tym jest coś zupełnie niesamowitego, czego nie rozumiem, ale zbieg okoliczności jest jednocześnie zbyt niewiarygodny, żeby to pominąć...

– Co chcesz powiedzieć?

Milczała, spoglądając na niego zamglonymi oczami. Nie chciała wypowiadać tego na głos – jakby prawda stała się teraz najstraszniejszą opcją.

26

Wracałem po nocy do domu Gajusów i wszystkie drzewa miały dla mnie kształty ludzi. Gałęzie chłostały mnie po twarzy, w głowie mi szumiało. Żałowałem, że nie miałem okazji spotkać Uli, ale rozmowa z Danielem też zrobiła swoje. Czułem się wykończony, a wracałem do domu, z którego powinienem już się wynieść.

Kim byli Gajusowie? Mimo całej swojej praktyki nie potrafiłem znaleźć na to odpowiedzi. Kim był Daniel Radziwiłowicz? Kolejna zagadka. Kim był wodnik? Fantasmagorią dzieciaka czy realnym człowiekiem odpowiedzialnym za zbrodnie dokonywane nad stawami Echo?

Świeciłem sobie latarką w telefonie. Genialny mały patent. Znalazłem w końcu drogę przez las. Szedłem czarną ścieżką, a myśli dudniły mi w głowie.

Wszyscy mężczyźni z życia Heleny Radło. Mężczyźni jak sępy, wampiry wokół pięknej nastolatki. To obrzydliwe – bo każdy, w tym i Daniel, niby miał pretekst, ale kontakt dorosłego mężczyzny z dzieckiem wydawał się po prostu bardzo niepokojący.

Był też mały chłopiec, który widział śmierć brata. Zapatrzony w niego jak w bóstwo. Być może śledzący go, idący krok w krok. Czy dla małego chłopca może być ktoś bardziej fascynujący niż starszy brat, chodzący w dodatku własnymi ścieżkami? Michał dwa lata temu, jak leśny skrzat, podążający za bratem nad wodę. Zobaczył coś, czego nie powinien – ale może psychika uchroni go przed dalszymi urazami, zepchnie bolesne wspomnienie w zakamarki umysłu.

Wyszedłem w końcu z lasu i dotarłem na podwórze. Moja honda była zasypana liśćmi; przejechałem wierzchem dłoni po dachu. Przetrzymałem tutejszą gościnność i nadszedł czas na ewakuację. Mógłbym odjechać i intuicja podpowiadała mi, że nigdy więcej nie usłyszałbym słowa od Gajusów. Mogłem pójść na policję, ale co właściwie miałem? Teorię, że Marcel nie zginął, tylko został zamordowany? Kogo to będzie tutaj obchodzić?

Deski starego tarasu skrzyknęły, kiedy na nie wszedłem. Coś wstrzymywało mnie przed pójściem dalej, coś z tyłu głowy nie dawało mi spokoju.

Luźno rzucona w rozmowie uwaga – może w niej właśnie kryło się rozwiązanie zagadki... Nie mogłem tego uchwycić.

Jutro, pomyślałem. Poranna rozmowa z rodzicami, a potem rozstanie. Czy pomogłem chłopcu? Wydawał się spokojniejszy, ale może dopóki nie wyjaśni się sprawa z Marcelem, nikt nie będzie mógł mu pomóc. Jeśli był świadkiem zbrodni, to pozostanie to w nim na zawsze – coś na ten temat wiedziałem.

Nie chciałem wchodzić do środka. Spojrzałem na zegarek. Była trzecia w nocy, z domu Radziwiłowiczów szedłem godzinę i chyba już wytrzeźwiałem.

Prawdopodobnie wszyscy spali. Może byłem przewrażliwiony, ale teraz, stojąc na zewnątrz, czułem to – zapach stęchlizny, który stawał się już zupełnie nie do wytrzymania. Jak ten dom mógł mi się przedtem podobać?

Przeszedłem na prawą stronę ganku. Tutaj paliło się delikatne światło. Przez grube zasłony nie widziałem nikogo w środku, może ktoś zwyczajnie zapomniał zgasić lampę. Zapukałem do drzwi, nikt nie odpowiadał. Stałem jak podglądacz i może nim właśnie byłem. Podglądałem cudze życie, bo własne straciłem dawno temu; wybrałem uczestnictwo w cudzych dramatach, zamiast na nowo przeżywać swoje.

Nagle wydało mi się, że firanka zafalowała.

Cofnąłem się. A potem zrozumiałem.

Wszyscy mężczyźni Heleny Radło. Dotarło do mnie coś, co przeoczyłem. To było tak diabelnie niedaleko, a przez tydzień omijałem to jak mrowisko.

Spojrzałem na podwórze i pomyślałem, że nie będę miał już więcej okazji. Teraz. Nie mógł mnie zobaczyć. Na pewno mnie nie widział.

Cofnąłem się na schodki. Zszedłem z nich, a potem skierowałem się w stronę starej szopy.

Ula jechała samochodem. Poczwała, że nie może czekać do rana. Miała do przejechania piętnaście kilometrów. Było ciemno i pusto, jak zwykle o tej porze na drogach przecinających Roztoczański Park Narodowy. Jechała spokojnie, choć w głowie jej się kotłowało.

 Za dużo paraleli, za dużo przypadków.

 Była dziewczyna, dziecko w zasadzie, które urodziło i oddało dziecko – komu? Był policjant, który ukrywał swoją tożsamość, a miał wiedzę na temat sprawy i szukał informacji na temat dziewczyny w szpitalu. Kim naprawdę był ten człowiek, który przedstawił się jako Jakub, ale równie dobrze mógłby się nazywać Hans Kloss?

 Wyjechała już poza gminę Zwierzyniec. Co już wiedziała? Znała imię i nazwisko, choć dane te uzyskała nielegalnie. I znalazła jakąś starą stronę internetową, która równie dobrze mogła być dawno nieaktualna. Wyglądała jak przygotowana na komputerze, na którym Ula pisała swoje pierwsze słowa w latach dziewięćdziesiątych.

 Zajeżdżała w końcu na miejsce. Obejście było zabałaganione, spodziewała się chyba czegoś innego. Wsiadła i przeszła przez podwórze, następnie zapukała. Pewnie mieszkał sam, uświadomiła sobie na sekundę przed tym, jak otworzył jej drzwi.

 Jakub.

 Tak naprawdę Grzegorz Iglicki, dawny komisarz lokalnej policji. Chwilę patrzył na nią bez słowa, bo może jej oczy – jak twierdził Daniel – potrafiły sprzedać wszystkie myśli.

 – Czy ma pan chwilę? – zapytała.

 Nie wyglądał na zdziwionego. Beznamiętnie uchylił drzwi. Weszła. To było kawalerskie lokum. Jeden smętny kwiatek, jakby mieszkało tu jakieś leśne zwierzątko. Za to na stole komputer. I papiery. Tablica korkowa, jakieś stare wywieszki...

 – Pracuje pan? – zapytała.

 – Nie. Przecież jestem na emeryturze. Herbaty?

 – Poproszę.

Usiadła, obserwując jego zwalistą sylwetkę. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze niedawno się go obawiała. Był podstarzałym mężczyzną, aura lasu dodawała mu mroku, ale teraz, w szarym dresie i kurtce z ortalionu, wydawał się niemal bezbronny.

Postawił dwa kubki herbaty na stole.

– Zdecydowałam się pojechać do Zamościa.

– Ach tak.

– Niestety nie zatarł pan tam po sobie wystarczająco śladów.

Odchylił się na krześle.

– A może mi nie zależało?

Przypatrywała mu się uważnie.

– Wówczas po co ta cała historia i maskarada? – zapytała.

Milczał.

– Najgorsze, że wierzę panu, chociaż nie wiem dlaczego. Może nie powinnam. Pan nie chciał, żebym się dowiedziała...

– Czego?

– Tego, że jest pan emerytowanym policjantem – dokończyła. – Prawda?

Odczuła potrzebę, żeby wstać. Wodził za nią oczami.

– No i skąd pan wiedział, że ja to ja? Że piszę jej historię?

Iglicki wzruszył ramionami.

– Przecież to jest małe miasto. Chodziła pani do biblioteki. Pracuje tam moja stara przyjaciółka... Opowiedziała mi o tym i o artykułach, których pani szukała. Pomyślałem, że jest pani pisarką, wiedziałem o tym już wcześniej. Więc zaryzykowałem. Mam bardzo dużo czasu, moja żona zmarła parę lat temu. Za dużo czasu. I w końcu na panią trafiłem.

Odnosiła wrażenie, że to tylko półprawda. W końcu i wcześniej zdawało jej się, że widzi czyjeś oczy, czujne spojrzenie. Podstarzały czy nie, Iglicki miał pewne umiejętności, których jej nie ujawnił.

– Mimo to nadal nie rozumiem, dlaczego pan to wszystko robił... I dlaczego pan to ukrywał, skoro tyle pan wie! Nie wiem, ile dokładnie, ale wydaje mi się, że jest pan dwa kroki przede mną. Dlaczego nie wyjawisz pan tego komuś innemu niż powieściopisarce?

Zaśmiał się i odchylił na krześle. Zrozumiała, że czerpie z tej rozmowy przyjemność, z pewnością większą niż ona, błędząca po istnych moczarach niewiedzy.

– Nisko się pani ocenia.

– Realnie.

– Ale pani ma coś, czego ja nie mam.

– Tak?

– Umiejętności. Nie wiem, czy pani to docenia, nie każdy potrafi ubrać sprawę w słowa, tak żeby jakoś to brzmiało.

– Proszę teraz nie mówić mi takich rzeczy...

– Ale ma pani władzę. Talent, który pozwala dotrzeć do ludzi. Czym są same informacje? Skandal i afera każdego rodzaju, jeśli nie opisze tego kompetentny dziennikarz? I nie stworzy z tego historii?

Nagle poczuła, że Igllicki z powrotem zmienia się w Jakuba. Stary, odrealniony człowiek w wytartym swetrze.

– I tego właśnie panu brakowało? Dotarcia, wejścia?

– Być może.

– Policjantowi?

– Na emeryturze. Od dłuższego czasu. Pani nie wie, i może nie będzie wiedzieć, jak to jest. Śmiem twierdzić, że teraz jestem jedną z najmniej znaczących osób na Roztoczu.

Pokręciła głową, zmęczona, przecież był już środek nocy.

Nagle Igllicki ją zaskoczył. Złapał za nadgarstek.

Przestraszyła się. Wrócił tamten spotkany w lesie dziwny człowiek, z twarzą ukrytą w mroku. Może ten tutaj, w niezadbanym lokum, stary i bezbronny, tylko się kamuflował?

– Ja nie mogłem – wyszeptał. – Byłem za słaby.

– Dlaczego? Na co za słaby? Wciąż nie rozumiem...

– Pani się tu nie urodziła. A Polska nie jest równa i nigdy nie była, bo świat nie jest równy. Nie mogłem tego zrobić, rozumie pani? Miałem związane ręce.

– Więc teraz odpokutowuje pan za to, że wtedy się po prostu bał? – Nazwała to po imieniu, ale nie żałowała. – I teraz zajmuje się pan śledztwami? Teraz, kiedy powinien pan pracować w ogródku, ciesząc się upragnioną emeryturą?

– Nie, nie śledztwami, nie sprawami. Tą jedną sprawą. To mi po prostu siedziało w głowie. Bo tak jak wszyscy zawsze wiedziałem, że ta dziewczyna nie opuściła tej ziemi. Że ona tu została, a mnie zabroniono się tym zajmować. Komendant odebrał mi sprawę, zakazał komukolwiek mówić. Dla dobra wszystkich ona miała wyjechać. Posłuchałem i od tej pory żałuję. Zwróciłbym odznaczenia, ale odnalazł sprawcę i oddał Helenie sprawiedliwość.

Wpatrywała się w niego, aż emocje – złość, może zmęczenie tym długim dniem – wezbrały w niej na tyle, że wybuchnęła.

– To czego pan, do cholery, ode mnie chce?! – Zabrzmiało to głośniejszym, niż zamierzała.

Milczał.

– Czym ja jestem? Jakimś pańskim heroldem? Pańskimi rękami? Może jakąś kukielką?

– Potrzebowałem pani... – wymamrotał.

– Czego pan chce? – powtórzyła, choć już znała odpowiedź. Po chwili dodała, niemal z rezygnacją: – Pan chce, żebym wyjaśniła to za pana.

Przeszedłem przez ciemne podwórze. Cień i czerń, korony drzew ogołoczone i smutne jak ja. Pogrzebałem w kieszeni, żeby wyjąć telefon, i w tym momencie uświadomiłem sobie, że zostawiłem go na barierce tarasu. Miałem do pokonania kilkadziesiąt metrów, ale nie chciałem wracać. Światło w środku było zapalone, ktoś mógł mnie usłyszeć.

Trudno. Może tam, dokąd szedłem, latarka nie będzie mi potrzebna.

Wymacałem dłońmi stary kamień pod szopą; znajdował się pod nim klucz, jak zauważyłem kilka dni temu. Szarpnąłem, drzwi otworzyły się z większym hałasem, niż chciałem. Trochę żałowałem, że nie przyszedłem tu wcześniej, chociaż trudno powiedzieć, by mnie ktoś zapraszał.

Zapaliłem lampkę w pobliżu drzwi, w szopie na szczęście nie było okien. Dostrzegłem biurko i komputer, rzeczywiście wyglądało to jak czyjeś mieszkanie. Podeszedłem bliżej. Na biurku leżały kartki, jakieś notatki. Nagle wydało mi się, że słyszę jakiś dźwięk za plecami. Obejrzałem się. Nic.

Ciekawe wnętrze, pomyślałem. Kalosze, narzędzia, ubrania wiszące na kołkach. Regały. Podeszedłem do książek. Kilka o tematyce myśliwskiej i parę powieści – w tym Sapkowski i Dukaj. A więc gospodarz lubił fantastykę.

Podeszedłem jeszcze bliżej. I wtedy – ku mojemu zdziwieniu – znalazłem tam samego siebie. Pierwsze wydanie. Napisałem to, kiedy zaczynałem praktykować, i do tej pory wstydziłem się wielu ze wskazanych tam rozwiązań. Obecnie wydawały mi się za ostre i radykalne. Czułem w tej książce gniew, wyzierał w miejscu tego, co pojawiło się później.

Zdjęcie na okładce przedstawiało znacznie młodszego Szczepana Turskiego. Nie musiałem patrzeć w lustro, aby wiedzieć, że czas już zmienić podobiznę. Ta nie miała nic wspólnego z moim obecnym obliczem.

Nie miałem czasu na rozwiązywanie zagadki, dlaczego jedna z dwóch tysięcy moich sprzedanych książek znajduje się w czyjejs starej szopie. Rozglądałem się w słabym świetle lampki. Widziałem, że jest i goła żarówka u góry, ale bałem się, że światło przebije się przez szpary w drewnianych deskach i zostanie zauważone.

Ja, psycholog, grzebałem w czyjejś prywatności. Dlatego że nie potrafiłem nie zaangażować się w sprawę, która wcale mnie nie dotyczyła.

Podszedłem bliżej ubrań. Waciaki wydawały z siebie woń lasu. Ale zdawało mi się, że widzę coś jeszcze. Kiedy zacząłem przeglądać kurtki, nagle trafiłem ręką na sztywny, twardy materiał.

Wyciągnąłem na wierzch zielony sztormiak. A spod niego zieloną bluzę i czapkę. Serce zaczęło mi bić szybciej. Tak szybko, że bezwiednie usiadłem na stołku, mnąc w dłoni ubrania.

Strój wodnika.

Nagle zrozumiałem, co powinienem zrobić, choć może to nie miało żadnego sensu.

Wejść do domu.

Pójść do sypialni.

Zabrać stąd chłopca i przyjechać z policją.

Uratować to dziecko, skoro nie potrafiłem uratować własnego.

To właśnie powinienem zrobić, gdybym był bardziej zdecydowanym człowiekiem. Wziąłem sztormiak do ręki. Skłamię, jeśli powiem, że nie przemknęła mi przez głowę myśl, żeby zostawić to wszystko i odjechać. Wcale nie rozwiązywać sprawy morderstw nad stawem – o ile jeszcze coś zostało do rozwiązania – bo wiedziałem, że cokolwiek zrobię, wywoła to wielką szkodę.

Wtedy właśnie z tyłu skrzypnęły drzwi. Na karku poczułem oddech zimna.

Obróciłem się i nawet głupio napiąłem mięśnie do konfrontacji z mężczyzną, który był ode mnie silniejszy.

Lecz osobą, którą zobaczyłem, nie był Andrzej. W drzwiach stała jego siostra, Beata Gajus.

W dłoni trzymała broń myśliwską swojego męża.

29

Wiatr wiał z dużą siłą, gałęzie uderzały w przednią szybę samochodu i Ula nie mogła się zdecydować, co zrobić. Jakie miała opcje? Ten zwalisty tajemniczy mężczyzna okazał się zwykłym tchórzem. Mężczyźni tacy byli, tchórzliwi, pomyślała nagle, rejterowali, a tych kilku nietchórzliwych okazywało się w ostatecznym rozrachunku psychopatami.

Wybrała w komórce numer Szczepana. A potem jeszcze raz.

Znowu to robiła, pomyślała, próbowała polegać na facetach. Na ich nieomyślności, a w zasadzie pseudonieomyślności, chaosie, jaki wprowadzali w życie.

„Czasy się zmieniły, nie znała pani starego, to był bezwzględny człowiek... – powiedział jej Iglicki. – No, zły. Teraz inna władza. Choć może zawsze jest ta sama władza, tylko pod innymi barwami”.

Może miał rację. Bał się o emeryturę i o przyszłość. Jak każdy chciał tylko przeżyć i dostać od państwa swoje pieniądze. A jednak wciąż tliła się w nim przyzwoitość, to ona – a nie pożądanie sławy i splendoru – kazała mu się tym zajmować.

Ula była jednak pisarką, matką i nie chciała żyć w miejscu, którego należy się bać. Przejrzała telefon. Codziennie, po kilka razy, dzwoniła do męża. Ale ostatnio coś w niej pękło, nie potrafiła jeszcze powiedzieć co ani wskazać, jakie to może mieć konsekwencje – bo przecież nigdy nie zdecydowałyby się na rozwód.

Daniel musiałby odejść od niej, i choć wydawało się to nierealne, wcale takie nie było. Istniały kobiety, które bardzo chciały się kimś opiekować. Ula miała nawet wujka po udarze z nową żoną; karmiła go łyżką jak dziecko.

Dalej nie umiała sobie wyobrazić życia bez Daniela, ale powoli przestawała sobie wyobrażać życie w pękniętym małżeństwie – tak jakby stale przebywała w bańce swoich powieści, a kiedy zeszła na ziemię tą powieścią w gatunku *true crime*, wszystko momentalnie się odsłoniło i obnażyło miękkość ich życia, szczególnie tę emocjonalną.

Jeszcze raz wcisnęła numer Szczepana. Śmieszne, że Daniel oskarżył ją o romans, choć musiała przyznać, że nie był zupełnie ślepy – gdyby miała się na

kogoś zdecydować, to mógłby nim być taki właśnie człowiek z bagażem przeszłości. Więc jednak Daniel ją znał, uświadomiła sobie, może lepiej od niej samej.

Zbliżała się już do Zwierzyńca. Wykonała kolejne nieudane połączenie, a potem telefon umarł. Ręka jej zadrżała. Elementy układanki jeszcze nie do końca się zazębiały, ale czy miała wyjście? Czy nie była choć trochę odpowiedzialna za niego, tego nowego przybysza w Zwierzyńcu, który wplątał się w jej historię, a ona pozostawiła go samego sobie?

Wcisnęła pedał gazu, kierując się do domu Gajusów.

30

W ciszy i ciemności, rozświetlanej tylko małą lampką, stałem i obserwowałem kobietę, która teraz, po tygodniu, stanowiła dla mnie taką samą zagadkę jak pierwszego dnia. Być może żałowała, że mnie tutaj sprowadziła. Spojrzenie miała twarde.

– Proszę odłożyć broń – powiedziałem.

Wyglądała, jakby te słowa w ogóle do niej nie dotarły.

– Wolałbym porozmawiać bez tego.

Patrzyła na moje ręce. Chyba dopiero teraz dostrzegła, co w nich trzymam – stare łachy. Nie widziałem dobrze jej twarzy, nie wiedziałem, czy jej skojarzenia na temat tych ubrań mogły być podobnie do moich...

Zrobiła dwa kroki do przodu.

– Nie zabierzesz mi chłopca – powiedziała.

– Nie zamierzam.

Dalej patrzyła na moją rękę. Nigdy nie mierzono do mnie z broni. Grożono mi, dostawałem pogroźki, ale ten czarny metalowy przedmiot... Pomyślałem, że każde z nas ma to, czego chce to drugie. Czy to możliwe? Czy może zielony płaszcz był pomyłką, a raczej złudzeniem, jak cała postać wodnika?

Dlaczego jednak na to patrzyła?

– Po co się tym wszystkim zajajesz? – zapytała. Zabrzmiało to niemal smutno.

– Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę? – A ponieważ nie odpowiedziała, dodałem: – Z tobą i z Jackiem. Dałem wam szansę. Nie chcieliście jej wykorzystać. Praktycznie skazaliście mnie na to śledztwo.

Miałem wrażenie, że sam siebie tłumaczę – z tego, jak straszny błąd popełniłem.

– Doszedłem do wniosku, że popełniono tu morderstwo.

– Nie – odparła szybko.

Cały czas wgapiałem się w broń. Ile w tym domu jej było? Pewnie prawdziwy arsenał, pomyślałem, przypominając sobie rozmowę z Jackiem w jego gabinecie.

– Gdzie to znalazłeś? – zapytała, wskazując na ubranie.

– Tutaj.

– U mojego brata?

– Zgadza się. Odłóż broń – powtórzyłem.

Nie odpowiedziała. Jej dłoń, jak mi się zdawało, mocniej zacisnęła się na rękojeści.

– Dlaczego pytasz o ubranie? – powiedziałem. – Wiesz, co to jest?

– Nie wiem co i nie wiem, skąd to jest.

Mogłem brnąć dalej, bawić się w ich grę kłamstw. Tylko że to straciło już wszelki powab i sens.

Myślałem intensywnie. Mój umysł już się przystosował do trybu dedukcji.

Kolejne elementy wpadały na swoje miejsca.

Dziewczyna, która rodzi dziecko i wraca na Roztocze. Dlaczego? Nagle stało się to oczywiste.

– Opowiesz mi, co spotkało Helenę Radło? – zapytałem.

Nie wiem, czy kiedykolwiek obserwowałem kogoś z taką uwagą. I znowu nic nie potrafiłem wyczytać.

– Skłamałaś na temat Marcela, kiedy ostatnio rozmawialiśmy.

– Nieprawda.

– Może nie mam supermocy, ale potrafię rozpoznać, kiedy ktoś kłamie, zwłaszcza jeśli nie robi tego zbyt często. Zdradzacie się.

– Jak możesz...

– Zajmuję się tym, zapomniałaś? Poza tym to, co powiedziałaś na temat swoich uczuć do Marcela, stało w oczywistej sprzeczności ze wszystkim innym. Wszystkim, co widziałem tutaj przez ten tydzień.

– Wyjedź – zażądała nagle.

– Już to powiedziałaś. Ale to niczego nie zmienia.

Lekko uniosła broń. Zacząłem się oswajać z tą podłużną czarną rzeczą. Może gdyby potrafiła celnie strzelać, wszystkie moje błędy i rozterki zniknęłyby w jednej chwili.

Czułem jej pot i zdenerwowanie i nagle spłynął na mnie spokój. Tak, Beata Gajus pachniała desperacją i może dlatego nagle przestałem się bać.

– Zastrzelisz mnie tutaj? Co będzie później? Czy myślisz, że będziesz chroniona, tak jak było kiedyś?

Desperacja dawała impuls, by wychylić się poza bezpieczny świat ku nieobliczalności. Desperacja – wspólne imię wielu złych uczynków. Może nie powinienem z tym igrać.

Milczała chwilę, a potem powiedziała:

– Niech pan jedzie.

Z powrotem przeszła na „pan”. Łatwiej jest zrobić krzywdę obcemu. Ofiarę trzeba uczynić kimś innym, nie jednym ze swoich. I mogłem się mylić, ale w tej sekundzie zdawało mi się, że to właśnie dostrzegam w głosie i w oczach Beaty Gajus.

Że podjęła decyzję, aby chronić to, co dla niej najważniejsze – rodzinę. Sam wywołałem te demony i nie mogłem już kontrolować tego, jakie będą siły zniszczenia.

Akcja powoduje reakcję. Spóźniłem się. Mogłem odejść, powinienem był odejść, zapomnieć o wszystkim, dodać do bagażu, który ze sobą wiozłem. Ale, choć to idiotyczne, nie chciałem się oddalić od zielonego płaszcza, jakbym w ten sposób oddawał cześć temu biednemu chłopcu. Jakby oddalenie się od kawałka płótna było krzywdą wyrządzoną dwóm ofiarom morderstwa.

Bo trudno o większą pewność, niż miałem w tym momencie, że nad stawami Echo zostały zamordowane dwie osoby.

Beata podniosła broń. Dopiero teraz zdobyłem się na ruch dłonią, wyjaśniający, bezsensowny, instynktowny... Słyszałem własny oddech.

A potem zupełnie inny głos, dochodzący z podwórza.

– Beata, odłóż broń!

Po chwili w drzwiach ukazała się Ula Radziwiłowicz.

– Przecież wiem, że tego nie zrobiłaś.

31

Historia, którą pisała Ula, stała się jej częścią, splotła się z jej własnym życiem. Obserwowała tego dziwnego, ewidentnie poranionego człowieka, który przyjechał tu z zupełnie innej krainy, ale zdążył porządnie namieszać.

Nic się nie działo przypadkiem, prawda? Wbrew temu, co powiedziała Danielowi, pomyślała, że Turski mógłby być jej kochankiem. Nie dlatego, że jakoś specjalnie go pożądała, ale dlatego, że wydawał się smutny i przegrany – a mimo swoich sukcesów tak właśnie postrzegała siebie. Bo definiowała się przez rodzinę i to, że była komuś potrzebna, a w obu tych sprawach tak bardzo nawaliła.

Czy Beata naprawdę mogłaby strzelić? Czy ona, Ula, uratowała Turskiemu życie? Może nigdy się tego nie dowie, ale tak właśnie jej się teraz wydawało. Że gdyby nie ona, skończyłby w tych bagnach jako kolejna ofiara Roztocza. Kiedy krzyknęła, Beata spojrzała na nią, a w tym spojrzeniu zawarła wiele treści i wiele wspólnych lat.

I dziwny smutek. Schowała broń, a potem po prostu się wycofała. Zniknęła w ciemności nocy. Ula skierowała się z kolei prosto w stronę brudnozielonego płaszcza. Czuła, że Szczepan ją obserwuje. Zapach starej szopy, dziwaczne półki z książkami i brak człowieka, który był tu gospodarzem.

Dotknęła szorstkiej tkaniny. Miała wiele pytań. Jednak to Szczepan pierwszy się odezwał.

– Powiedziałaś mi, że twoja córka znała Marcela, prawda? – zaczął.

– Tak.

– Opowiedz mi o tym. Wszystko, co wiesz.

– Ale teraz? My... – Spoglądała na ubranie.

– Tak, teraz. Proszę cię. To bardzo ważne.

– Dobrze.

Czuła się zmęczona, ale miała nadzieję, że niczego nie pominie. Zamknęła oczy, przywołując tamtą scenę w kuchni. Z jakiegoś powodu wyobrażenie własnej córki wywołało w niej ból. Pogrzyżyła się w opowieści, snuciu historii o chłopcu, tak wspaniale rozwiniętym i tak szybko ściętym. O chłopcu, którego inteligencja okazała się przyczyną jego zguby.

– Chwila – przerwał jej Turski. – Powiedziałaś, że... był szczęśliwy, tak?

A potem...

– Nagle stał się bardzo smutny.

Turski spojrzał tak, jakby ktoś go uderzył w twarz.

– On wiedział – wyszeptał. – Przecież on to pamiętał.

– Co?

– Chowane zdjęcia – mamrotał psycholog, zdaje się bardziej już do siebie.

– Co powiedziałaś?

Skierował na nią wzrok. Ale chyba patrzył gdzieś dalej.

– Ktoś zniszczył wszystkie jego fotografie – rzekł.

– Nie wiedziałam.

Cisza.

– Co to oznacza? – zapytała.

– Wszystko, ale jeszcze nie rozumiem, skąd...

Pokręcił głową i zaczął chodzić nerwowo.

– Powiedziałaś, że ten chłopiec był niezwykle wrażliwy, prawda?

– Zgadza się. Niestety nie miałam okazji go lepiej poznać. Polegam na słowach córki...

– Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale chyba dopiero teraz zrozumiałem, że on to mógł dostrzec...

Przerwał na chwilę.

– Beata. Mama... coś tak najbardziej pierwotnego – podjął niezrozumiale. – To chyba właśnie jest rozwiązaniem zagadki. Tak, teraz to pojmuję. Nie ten chłopiec, drugi. W jak wielkim byłem błędzie.

Musiała patrzeć na niego bezradnie, bo w końcu oprzytomniał i zaczął wyjaśniać:

– Marcel wiedział, że Helena tam leży. Dlatego zginął. Tylko że tu nie chodzi o jakąś magię. To było zupełnie coś innego.

– Co takiego?

– Ten chłopiec wykonał kawał śledztwa. Rzetelnie zebrał wszystkie informacje, które można było znaleźć. Wyciągnął właściwe wnioski. Ale potem śledztwo doprowadziło go na skraj stawów Echo. To był mądry chłopiec i wiele widział, ale poszedł pod niewłaściwy adres. Na skraj stawów i po swoją śmierć.

– Wyjaśnij mi.

Turski milczał dłuższą chwilę.

– A to? – Wskazała na ubranie.

– To może być dowód w sprawie, a może element inscenizacji. Być może nigdy się tego nie dowiemy.

– Co zamierzasz?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem co. Ale myślę, że wiem, kto ich zamordował.

– Ich? Helenę i Marcela?

– Tak. – A potem Turski zrobił krótką pauzę i dodał: – Matkę i syna.

32

Wszedłem do domu. Spakowałem swoje rzeczy, a potem długo wpatrywałem się w ścianę lasu. W pewnym sensie byłem najemnikiem. Najemnikiem pomagającym zrozumieć, co w rodzinach moich mocodawców mogłoby funkcjonować lepiej, i pomagającym im uwierzyć, że jest to możliwe. No i chyba nawaliłem.

Zamknąłem walizkę. Dom wydawał się opustoszały, choć wiedziałem, że oni wszyscy gdzieś tam są, pochowani po kątach.

Wyszedłem na zewnątrz. Zrobiło się już jasno. Przy samochodzie stała Ula.

Patrzyła na mnie bez słowa i choć to głupie, poczułem smutek na myśl, że pewnie już jej nie zobaczę. Tak jak tych wszystkich interesujących ludzi, których się poznaje i którzy zaraz potem znikają, pozostawiając ochotę na coś więcej. Jak na człowieka od głowy przystało, nie byłem królem relacji, ale w tym kontakcie wyczułem szansę na jakieś porozumienie.

Może w innym świecie, innym uniwersum. Bez jej życia, bez Daniela, bez mojego życia w separacji z żoną, a także bez dwóch osób, które zginęły w stawach Echo.

Ula patrzyła, jak wkładam walizkę do bagażnika, a na jej drobny kształt kapał poranny deszcz. Było chłodno, więc zapiąłem płaszcz. Czy naprawdę już jej nigdy nie zobaczę? Zatrzasnąłem klapę.

– Idziemy? – zapytała.

– Tak.

Drzwi były otwarte. Znowu to wrażenie, jakby dom opustoszał. Oczywiście iluzja. Nie wiedziałem, czy to, co robię, jest dobre, a nieprzespana noc i emocje mieszały mi w głowie, ale pozwoliłem Uli przejąć inicjatywę. Nie powiedziała nic o policji i ja też nie podjąłem tej kwestii.

Weszliśmy do środka. W kuchni po prostu usiadłem przy stole. Rano dostałem przelew i naprawdę chciałbym, żeby to był koniec sprawy. Wszystko to wyglądało jak zapowiedź sesji terapeutycznej – gdyby naprawdę było sesją. A nie było.

– Czemu rozgaszczacie się w moim domu? – zapytała Beata, która odzyskała już chyba rezon.

Pomyślałem, że długo nie zapomnę sceny, kiedy stała ze strzelbą.

– Beata...

– Przecież żadne z was nie jest tu mile widziane.

– Ujmę to tak – powiedziałem. – Mogę zniknąć, nawet teraz, ale godzinę później zjawi się tu policja. Albo jutro, jeśli zwierzyniecka się tego nie podejmie. Albo w przyszłym tygodniu czy miesiącu. Tak czy siak, zjawi się. Natura nie zna próżni i morderstwo musi zostać wyjaśnione.

Przerwałem.

– Bo Marcel został zamordowany.

– Jak możesz...

– Beata, to wszystko, co powiedziałem, to jest naprawdę twój wybór. – Widziałem spojrzenie Uli, jakby usiłowała wysłać mi jakiś sygnał. – Ale zastanów się nad tym poważnie.

– Czyli jeśli teraz zostaniesz, to nie pójdziesz na policję?

– Tego nie powiedziałem. Ale daję wam szansę przygotowania się na to, co może nadejść.

Widziałem, że się łamie. Traciła animusz na naszych oczach. Nie byłem z siebie zadowolony, wydawało mi się jednak, że postępuję słusznie.

Ula najwyraźniej myślała tak samo i może to wystarczało. W zasadzie sami się przyparliśmy do muru. Przecież teraz nie mogliśmy już się cofnąć.

– Co mam zrobić? Czego, do cholery, jeszcze od nas chcesz? – powiedziała Beata.

– Powiedz pozostałym, żeby tu zeszli.

– Ale...

– Teraz.

Chwilę to trwało. Ula stała oparta o parapet. Ja wbijałem spojrzenie przed siebie. Zbierali się w ciszy przy stole, formalni i nieformalni domownicy posiadłości Gajusów. Nawet Filip Matwiejewski wydawał się dziwnie speszony.

– Jestem tutaj od tygodnia – powiedziałem. – Tego, że źle się dzieje w tym domu, oczywiście mogłem się spodziewać. Michał, jak sami wiecie, miał problemy z agresją. Inaczej nie byłbym tutaj zaproszony. Stopniowo dowiadywałem się o tragicznej śmierci Marcela. Chłopiec się utopił, a to wydarzenie bardzo mocno odcisnęło się na psychice jego młodszego brata. Przyjęło postać wodnika. Ta śmierć, która zabrała mu brata, miała obraz wodnika. Z czasem zaczęło się to zacierać w głowie chłopca, raz pamiętał

więcej, raz mniej. Za parę lat może z tego pozostać tylko poczucie krzywdy i traumy, ale bez wiedzy, co je wywołało. Może, ale nie musi.

Zrobiłem pauzę.

– Czy Michał naprawdę mógł widzieć morderstwo swojego brata? Może nigdy nie stwierdzimy tego na sto procent. Ale wiem, że go naśladował i mógł śledzić; zaś wszystkie relacje, które udało mi się zebrać, wskazywały na to, że Marcel był niezwykłym chłopcem. W końcu przyjąłem, że Michał cierpi na uraz, bo naprawdę widział zabójstwo. Widział i namalował to, a na jego obrazkach pojawiał się morderca.

Przerwałem i powiodłem spojrzeniem dookoła.

– Tak. Nie sądzę, żebym się pomylił. Marcel został zamordowany. Ale nie był jedyną ofiarą. Nad stawami Echo zginęła jeszcze jedna osoba. Szesnastoletnia Helena Radło. Dowiedziałem się o tym przypadkowo, jednak dobrze się stało. Poznałem jej historię i wiedziałem też, że mimo młodego wieku dziewczyna przestawała z dorosłymi mężczyznami.

Rozejrzałem się ponownie.

– Muszę przyznać, że dziwna aura panuje u was w domu. Zaobserwowałem kilka niepokojących rzeczy. Na przykład dzieci, które mówią do rodziców po imieniu... To dlatego pomyślałem, że Michał może być adoptowany. Bo kto mówi po imieniu do własnej mamy? W domu, w którym, przynajmniej w teorii, powinny być ciepło i miłość. Tymczasem Michał mówił tak, bo tak właśnie zwracał się do Beaty Marcel. Choć może prosiliście, aby tego nie robił. Powinniście, i to z wielu względów. Przede wszystkim dlatego, że Michał był rodzonym synem Beaty, choć nie był nim Marcel. Przypuszczalnie sam o tym wiedział. Tak, to Marcel był dzieckiem adoptowanym. Myślę, że to nie jest wielki sekret. A jednak ktoś w tym domu bardzo kochał tego chłopca.

Powiodłem spojrzeniem po obecnych.

– Wróćmy do Heleny Radło. Kim naprawdę była i z kim się spotykała? Tego pierwszego pewnie nigdy się nie dowiem, ale znam pewne szczegóły. Zacznę od tego, że chyba widziałem miejsce, gdzie Helena spotykała się z kochankiem. Tę chatkę w lesie na bagnach, z którą tyle cię łączyło. Prawda, Jacek? – Spojrzałem prosto na mojego gospodarza. – Szkoda, że dziewczyna miała piętnaście lat. Szkoda dla niej, bo może inaczej by nie zginęła.

Jacek Gajus przeszywał mnie wzrokiem.

– Nie miałem z tym nic wspólnego.

– Po fotografiach można się wiele dowiedzieć o rodzinie, ale tutaj, w tym domu, przyjęło to zupełnie inny wymiar. Dlaczego? Są jakieś fotografie szkolne, ale generalnie robienie dziecku zdjęć spoczywa na rodzicach. Jeśli ich nie ma, to faktycznie nie wiemy, jak dane dziecko wyglądało. Wcale mnie to nie dziwi, bo podobno chłopiec był do ciebie podobny jak dwie krople wody. A to oczywiście dlatego, że jesteś jego ojcem.

Po chwili podjąłem.

– Tak, Jacku. Myślę, że nie jesteś złym człowiekiem. Bardzo kochałeś tego chłopca, widziałem to w twoich oczach, kiedy mi o nim opowiadałeś, może to była najważniejsza wskazówka. Przypuszczam, że naprawdę kochałeś jego matkę. I właśnie dlatego podjąłeś decyzję, aby go adoptować. Nie mogłeś przewidzieć, co zrobi chłopiec, jak niezwykle się rozwinie i do czego dojdzie wiele lat później... Twoje dziecko rosło. Po paru latach urodził się też Michał. Oczywiście od przeszłości nie możesz uciec. Marcel zaczął cię niezwykle przypominać. Ludzie niewiedzący o adopcji pewnie ci o tym głośno mówili, zawsze mówią. Ale co myślał Marcel? Może próbowaliście to zbyć śmiechem i żartami. Dla świata Marcel był wasz, ale oczywiście takich rzeczy nie da się trzymać w zupełnej tajemnicy i wąska grupa przyjaciół, na przykład Matwiejewscy, przypuszczalnie wiedziała.

– Są jeszcze jakieś szalone odkrycia? – zapytał Jacek.

– Tak. Marcel, może po tobie, okazał się rezolutnym i przedsiębiorczym chłopcem. Kluczowa okazała się jego pamięć, bo nie adoptowaliście go od razu po urodzeniu, prawda? Ponoć nawet nie byliście wtedy małżeństwem. Marcel pamiętał, gdzie spędził pierwsze lata życia. Musiał pamiętać. Może źle zrobiliście, że to nigdy nie zostało przerobione. Może zwykła rozmowa zdziałałaby tutaj cuda. Może chłopiec nie rozpocząłby własnego dziwnego śledztwa. Dlaczego to zrobił? Czy zastanawiał się, dlaczego będąc adoptowanym, tak bardzo ciebie przypominał? I wkrótce nastąpił moment wielkiej radości w jego życiu. Niedługo przed śmiercią.

Nikt mi nie przerwał, więc mówiłem dalej.

– Jak może wicie, w badaniach DNA trochę rządzi czarny rynek. Dużo jest niepewnych laboratoriów, a w tych atestowanych badanie obwarowane jest różnymi przepisami. Inaczej jest ze sprawdzaniem chromosomu Y, to łatwiej można przeprowadzić w regularnym, no, powiedzmy akademickim, laboratorium. Formalności są mniejsze. Rzecz w tym, że badanie chromosomu Y dotyczy wyłącznie pokrewieństwa między mężczyznami.

Jacek pobladł w końcu. Maski opadały.

– Nie wiem, ile z tego wówczas do ciebie dotarło – zwróciłem się do niego.
– Ale po badaniach chłopiec był naprawdę szczęśliwy, choć może wstydził się do tego przed tobą przyznać. Niestety, musiały się pojawić kolejne pytania, a ciekawość zaprowadziła go w bardzo złe miejsca. Chciał wiedzieć. Czy namówił kogoś w domu dziecka albo może w ośrodku adopcyjnym do pomocy? Takich informacji sąd udziela, tyle że dorosłym. Podobno Marcel był aktywny na jakichś grupach i forach. A może skierował się do szpitala, może doradzono mu szpitalne archiwum jako łatwiejszą ścieżkę? Jako bystry chłopiec pewnie pamiętał jeszcze swoje nazwisko, Radło, bo takie musiał nosić w domu dziecka. W każdym razie Marcel zdobył informację, że jego matką była niejaka Helena Radło. A potem... no, potem wystarczyło tylko przeczytać o zaginięciu dziewczyny.

Jacek ukrył twarz w dłoniach.

– Dosyć. Czego chcesz się dowiedzieć? Czy miałem żyć, wiedząc, że gdzieś tam jest chłopiec z moimi genami? Mój własny syn?

– A może udał się z tym właśnie do ciebie?

– Nie, to nieprawda.

Przerwał.

– Nie zamordowałem jej – podjął. – Nie wiem, co się z nią stało.

– Dlaczego mamy ci wierzyć?

– Ja nawet... mnie tutaj nie było.

– Podobno wyjechałeś na studia, aby je ukończyć w Warszawie. Tak, właśnie wtedy, to jest interesujące. Brzmi dziwnie, ale chyba faktycznie cię wówczas nie było. Poza tym naprawdę kochałeś tego chłopca, i pewnie kochałeś też Helenę, choć była dzieckiem, a ty dorosłym... Przypuszczam, że jej nie zabiłeś. Bo Marcela zabił ktoś inny. Ktoś, kto nie darzył go uczuciem.

Spojrzałem na kobietę, która mnie tu zaprosiła i rządziła tym małym światkiem.

Beata Gajus wyraźnie zbladła.

– Nie skrzywdziłabym chłopca.

– Czy wiedziałaś, że jest dzieckiem Heleny?

Milczała.

– Czy nie zdziwiło cię, że mąż tak bardzo chciał właśnie to dziecko? Czy nie powiązałaś faktów?

– A muszę? Nie myślałam o tym.

– Nie myślałaś... – pokręciłem głową – nawet wtedy, kiedy Marcel zaczął się stawać kopią męża? Kiedy nieświadomi tego wszystkiego ludzie zaczęli zwracać na to uwagę? Czy i wtedy naprawdę nie pomyślałaś? Ktoś w każdym razie pomyślał, może nawet więcej niż jedna osoba. Marcel zginął nie dlatego, że był synem Jacka, tylko dlatego, żeby nie doprowadził do innej zbrodni: odkrycia zwłok Heleny. Co ciągnęło chłopca nad stawy? Czy wiedział, że leży tam jego własna matka? Pewne rzeczy to zwykła dedukcja. A reszta? Nie wszystko potrafię wytłumaczyć. Może nigdy nie będę potrafił i może nie chcę.

– Ja... – zaczęła Beata.

– Byliście w tamtym okresie parą, podobno z problemami. Przypuszczam, że wiedziałaś o fascynacji przyszłego męża Heleną. A jest jeszcze jeden wątek. Sprawą zainteresował się emerytowany policjant. Tyle że bał się sprowadzenia lawiny. Bał się rodziny. Bo jest prominentna. Ale każdy kamień można w końcu poruszyć.

– Nie skrzywdziłam Marcela... – mówiła Beata coraz mniej pewnie.

– Przypuszczam, że chłopcu nie było z tobą łatwo i może nawet nie wiedział dlaczego. Jednak na twoją korzyść świadczy inna sprawa.

Zrobiłem pauzę.

– Ja. Turski. Na waszą obopólną korzyść, choć to bardzo dziwne. Może nie wiedzieliście o mnie wszystkiego, a może to nie ma znaczenia. Gdybyście byli sprawcami, nie sprowadzalibyście do domu kogoś z moim profilem i moją przeszłością. To oczywiste. Beata, zaprosiłaś mnie tutaj, Jacku, również wiedziałaś o moim przyjeździe. Więc nie, Marcela zabił ktoś inny, ktoś, dla kogo Marcel od początku był wielkim zagrożeniem. I ostatecznie... ktoś, kto nie wiedział o moim przyjeździe.

Cisza.

– Ktoś, kto miał czytelny motyw dla obu zabójstw, chociaż ten motyw się różni. Helena została zamordowana, żeby morderca mógł ochronić najbliższą osobę. Wyrok na siebie podpisała, kiedy tu wróciła. Może wróciła, bo nie miała dokąd pójść. A może, bo dalej chciała czegoś od ojca swojego dziecka. A jej syn został zamordowany, żeby ta ohydna zbrodnia nie wyszła na jaw. Choć w pewnym sensie drugie morderstwo jest straszniejsze niż pierwsze. Wiecie dlaczego?

Brak odpowiedzi.

– Bo nawet jeśli chłopiec był adoptowany, to... – zwróciłem się wprost do Elżbiety Gajus – przecież był pani wnukiem.

Zapadło milczenie. Wszystkie spojrzenia skierowały się w jedną stronę.

– Nieprawda – wyszeptała.

– I właśnie dlatego zamordowała pani Helenę. Żeby ukryć przestępstwo swojego ukochanego syna. Związek z nieletnią i, co gorsza, nieślubne dziecko z tego związku to nie tylko skandal, to poważne przestępstwo i przekreśliłoby przyszłość pani jedynaka, a rodzinę okryło wstydem. Jednym posunięciem, własną zbrodnią, przekreśliła pani to wszystko i w swojej głowie uratowała syna. Zamordowała pani dziewczynę, której obecność na świecie mogła oznaczać koniec dla Jacka.

Przerwałem.

– A potem zamordowała pani również jej syna.

– Nie... – powiedziała.

– Jak mówiłem, chłopiec chodził nad stawy, węszył, jakby rozumiał, co tam się stało. Podobno byliście w komitywie. Może się pani zwierzał? Po powrocie z Zamościa rozchwiał się, być może tak jak kiedyś jego matka; stał się po prostu niebezpieczny. Zwabiła go pani, tak jak Helenę wiele lat temu. Przebrała się pani, założyła pani kurtkę Andrzeja. Dobry zabieg: on, nieświadomy, dalej trzymał ją w szopie. Nie wiedziała pani tylko, że widział panią Michał. Zapatrzony w brata poruszał się za nim krok w krok. Jak wyraźnie widział tę scenę? Czy panią rozpoznał? W każdym razie zamknął się w sobie i zamienił to, czego był świadkiem, w ponurą bajkę. Może nawet nie słyszała pani od niego o wodniku, a to mogłoby świadczyć o tym, że na jakimś poziomie panią rozpoznał i że się bał... Najważniejsze, żeby na świat nie wyszło prawdziwe pokrewieństwo Marcela z pani synem. I z panią.

Zapadła cisza.

– Nigdy nie był mój – powiedziała.

– Mamo! – Jacek ukrył twarz w dłoniach. – Kurwa, przecież to mój syn!

Miałem wrażenie, że wstanie i zrobi jej krzywdę. Ruszyłem się, ale ubiegła mnie Beata. Podeszła do męża i przytuliła go do piersi – i to był pierwszy moment, kiedy dostrzegłem między nimi bliskość.

Spojrzałem na Ulę. Na Matwiejewskich. Nikt się nie poruszał. A gdzieś tam, piętro wyżej, Michał bawił się swoją kolejką, niepomny, że jego rodzina pokonuje właśnie kolejny dramatyczny zakręt.

Usiadłem ciężko w fotelu, czując ogromne zmęczenie, i pomyślałem, że to już koniec. To więcej, niż chciałem; więcej, niż mogłem. Reszta nie należała już do mnie.

33

Ula odłożyła swoją książkę na bok. Znała już koniec opowieści o Helenie Radło, a to właściwie czyniło z niej reporterkę. Ale przecież od początku tym właśnie była jej książka – relacją quasi-reporterską.

Historia dziewczyny zakończyła się jednak jeszcze inaczej, niż Ula się spodziewała – śmiercią jej syna niewiele lat później. Choć i to jeszcze nie był koniec, bo z pewnością będzie miała swój dalszy ciąg na komendzie i w sądzie. Ula nie była pewna, czy chce w tym uczestniczyć.

Odczuła ulgę na myśl, że Marcel nie był synem Daniela.

Turski zrobił tak, jak zapowiedział. A potem jeszcze raz rozmawiali. Przypuszczała, że widzi go wtedy po raz ostatni, i on sam chyba też tak myślał.

– Wtedy, gdy powiedziałeś, że... – zaczęła.

– Tak?

– Twoje dziecko. Że nie wiesz, czy je masz.

Zapadło krótkie milczenie.

– Tak, mam dziecko – odparł Turski. – A może go nie mam.

Przerwał i podjął po chwili.

– Ma na imię Adam. Przypuszczam, że jest naszą ofiarą. Każde z nas było kiedyś zapatrzone w siebie. Nie jestem wielkim wielbicielem dzieci. Dlatego miałem go tylko jednego. Myślałem, że nam wystarczy. Pytanie, czy my wystarczaliśmy jemu. Nasze kariery się rozwijały, portfele pęczniały, byliśmy zajęci pomnażaniem tego wszystkiego, ale nikt nie patrzył, jak rośnie Adaś. Żałuję tego. Żałuję, że nie widziałem, jak się zmienia, nie bawiłem się z nim każdego dnia, nie grałem w głupią piłkę. Żałuję.

Pokręcił głową.

– Przeprowadziliśmy się, ale Adam pozostał z koleżeństwem na starym osiedlu; może to było wymierzone w nas, a może wcale nie chciał się zadawać z bogatymi dzieciakami z willi na Biskupinie. Może wolał być na blokowisku, może to był sygnał.

Położył sobie dłonie na twarzy.

– Miał tylko siedemnaście lat, kiedy ostatni raz go widziałem – wznowił po chwili. – Głupi wypadek. Wepchnęli jakiegoś dzieciaka do wody. Cała ta

historia była bardziej mętna niż woda, w której zginął, i w sądzie tego w pełni nie wyjaśniono, choć posypały się wyroki. Bo w wodzie był pręt, no i przebił...

Przerwał.

– No, w każdym razie Adam zniknął tej samej nocy.

– Nie widzieliście go?

– Nie. Już nigdy. Reszta, moja żona, ja...

Ta reszta była historią, którą Ula widywała w swoich powieściach. Na tym znała się lepiej. Widziała ból Jacka Gajusa, który stracił syna, a teraz – choć w istocie od początku to przeczuwała – ból innego ojca. Jego los wydawał się jeszcze gorszy. Każdego dnia zastanawiał się, czy jego syn żyje i gdzie jest.

Nie mogła się powstrzymać. Zwykła ciekawość – coś, z czego nie czuła się dumna – kazała jej rano podjechać pod komendę i czekać. Jej cierpliwość została nagrodzona. Dostrzegła, jak policja wprowadza do środka drobną starszą kobietę. Która, wedle własnych słów, chciała tylko chronić swojego syna oraz rodzinę. We własnej głowie nikt nie jest tym złym, nikt nie jest mordercą i trudno było w tym momencie przywołać dobitniejszy przykład.

Ula przyglądała się przygarbionej sylwetce, odprowadzanej przez rosnących policjantów. Nawet stąd mogła dostrzec niepewność i cień przepaszającego uśmiechu w oczach młodszego funkcjonariusza. Tak jakby to wszystko miało się jeszcze okazać jednym wielkim nieporozumieniem. I oczywiście istniała taka szansa, choć niewielka. Ona w każdym razie uwierzyła w rekonstrukcję Turskiego. W głębi duszy wtórowała mu, bo doszła do tego samego, nawet jeśli nie wszystko potrafiła połączyć.

Miała nadzieję, że jeszcze kiedyś go spotka. Tak jak ona wydawał się naznaczony losem, bólem.

Wróciła do domu. Daniel prawie się stąd nie ruszał, nie utrzymywał żadnych przyjaźni, ale jakimś sposobem wiedział i tym razem nie mogła mu niczego odmówić. Przecież zapłacił najwyższą cenę jako trzecia ofiara zbrodni na Helenie Radło.

– A jednak Gajusowie – powiedział.

Starła się brzmieć obojętnie, ale widziała, jakie to jest dla niego bolesne. Jego krzywda stała się nagle jeszcze bardziej namacalna. Zapłacił za czyjąś winę. Nie była już abstrakcyjna, miała teraz z pozoru niewinną twarz Elżbiety Gajus.

– Tak. To znaczy...

– Może zawsze wiedziałem.

Milczeli.

– I co teraz? – zapytał. – Wydasz tę książkę?

– To nie zależy ode mnie. Wydawnictwo...

Daniel wpatrywał się w nią uważnie.

– Zależy, przecież wiesz.

Siedzieli przy stole kuchennym. Gdzieś z tyłu, na kanapie, była Kama. Sama poszatkowana w tej historii, choć lata później. Kolejna ofiara. Co takiego mieli w sobie Helena Radło i jej syn, że wywierali wpływ na rzeczywistość oraz że – jak wielu wyjątkowo utalentowanych ludzi – musieli zginąć wcześniej?

I nagle Ula wiedziała, co mu odpowiedzieć.

– Nie, nie wydam.

Pokręcił głową.

– Nie.

– Co: nie?

– Powinnaś wydać. Poświęciłaś temu wiele czasu.

– To cię zrani.

– Bardziej ranny już nie mogę być.

– Może ktoś przyjedzie, zada ci pytania...

– Znudziła mnie już samotność.

– Będziesz musiał to przerabiać.

– Ciekawe, że tego słowa użyłaś. Czy tego właśnie nie musimy uczynić?

Przerobić przeszłość?

Ula spojrzała w głąb pokoju. Kama słuchała ich przez cały czas. Znienacka Ula dostrzegła porozumienie łączące ojca i córkę. Ta sprawa była między nimi dogadana. To, co powiedział Daniel, stanowiło prawdopodobnie głos rodziny.

Kiedy jej córka dojrzała na tyle, żeby wypowiadać się nawet w sprawie jej twórczości?

– Czyżbym została przegłosowana? – powiedziała lekko żartobliwie.

– Nazywaj to, jak chcesz – odparł Daniel. – Ale pamiętasz naszą ostatnią rozmowę? Dużo o tym myślałem. Powiedziałaś, że nie chodzi tylko o mnie. Chodzi też o ciebie, o to, jak ciebie ta sprawa dotknęła. Miałaś rację. No, a teraz jesteśmy w odwróconej pozycji.

– To znaczy?

– Nie chodzi o to, czego ty chcesz, ale czego chcę ja. A ja chcę, żeby świat się dowiedział, że nie skrzywdziłem tej dziewczyny.

– Z książki twojej żony.

– Co masz na myśli?

– Przecież wiesz.

– Myślisz, że nie uwierzą, bo to ty ją napisałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Może nie uwierzą. Ale z drugiej strony, tylko ty to potrafisz napisać...

– A to wiesz dlatego, że – teraz nagle po prostu już wiedziała – czytałeś te fragmenty.

– Nie będę się spierał z żoną.

Uśmiechnął się. Niezwykle rozbajającym uśmiechem, który przypomniał jej starego Daniela. A raczej tego młodego.

„Niech się pani szybciej rozbiera, cała sala patrzy”.

Może już byli przegrani. Może nie mieli żadnych szans. A może była w błędzie.

Podeszła do niego, usiadła mu na kolanach. I pocałowała go mocno w usta.

34

Opuszczałem już Zwierzyniec, do którego miałem wrócić dopiero po paru latach. Zrobiło się słonecznie, tak zimowo słonecznie. Słońce, porywisty wiatr i arktyczne powietrze. Byłem zbyt zmęczony, by wracać do Wrocławia, poza tym musiałem złożyć zeznania. Nie mogę powiedzieć, żeby należało to do przyjemności. Niemniej policja zatrzymała Elżbietę Gajus i miałem nadzieję, że zrobią wszystko jak należy.

Nie zamierzałem w każdym razie walczyć. Człowiek może tylko tyle, ile może.

Ostatnią noc spędziłem w hotelu Roztocze przy ulicy Główniej. Podczas śniadania obserwowałem grupę Niemców. Kosztowali lokalnych wędlin i serów. Turystyka to trochę egocentryczne, a trochę uwalniające zajęcie. Skaczesz po powierzchni jakiegoś miejsca, eksploatujesz jego oczywiste zalety i wyjeżdżasz jak zwycięzca, którym nigdy nie byłeś i nie jesteś.

Uregulowałem należność za pobyt i zamknąłem za sobą drzwi.

Wyszedłem na parking. Październikowe słońce bezlitośnie oświetlało rozwalające się domy i szwendające się tu i ówdzie samotne grupki turystów. I ten budynek po drugiej stronie drogi, z którego zostały ściany, a pnącza wily się po nich w górę. Przechodnie mijali ruderę obojętnie, jakby nie była dziwnym, absolutnie fascynującym widokiem. Jaka była historia tego miejsca? Ile Zwierzynca jeszcze nie dostrzegłem i miałem nie dostrzec?

Zapaliłem papierosa, zastanawiając się, jak dalece afery wstrząśnie okolicą. Z pewnością nie zniechęci turystów, bardziej zainteresowanych tym, czy dostaną na śniadanie kiełbaski z rożna, czy coś innego.

Zerknąłem na telefon. Nieodebrane połączenie od Doroty; jakiś sygnał z morza niepewności, który fundowała mi – od czasu historii z synem – moja żona. Czy zapyta, co mnie tutaj spotkało?

Podjąłem decyzję, że postaram się zachować to dla siebie.

Wrzuciłem torbę do bagażnika i wsiadłem do samochodu. Ucieczka się skończyła, musiałem się skonfrontować ze swoim prawdziwym życiem. Wrócić do żony, która nie chciała mnie widzieć z powrotem. Do naszego życia z wielką

dziurą pośrodku, życia bez Adama. Do zagadki, gdzie był teraz mój syn. Na kogo wyrósł, kim się stał.

Ustawiłem nawigację. Pokazała mi sześć godzin, dobry czas na refleksję. Bo nadal byłem skołowany. Nie wiedziałem, czy powinienem mieć wyrzuty sumienia, że moje działania doprowadziły do ujęcia zabójcy. Ale, jak powiedziała Ula, wszystko działo się po coś, i przypuszczałem, że prawda kiedyś i tak by wypłynęła. Czy naprawdę nikt w tym domu jej nie znał?

Coś jednak nie dawało mi dalej spokoju. Zdania, które padły niedaleko stąd, w Karyszce. Słowa matki Heleny Radło.

I moja książka na półce. Na niej ja, młodszy i pełny energii.

Przełknąłem ślinę i zobaczyłem, jak ostatni element układanki wskakuje na swoje miejsce.

Zapaliłem silnik. Zawarczał i od razu przypomniał mi scenę w szopie, Beatę Gajus trzymającą broń, mnie stojącego przed nią i wchodzącą cicho Ulę. Płaszcz, zielony płaszcz wodnika, być może zabrany na policję – dlaczego w ogóle się tam znalazł? Oraz – zagadka nad zagadkami – dlaczego tak naprawdę ja się tutaj znalazłem?

Nie przypuszczałem, że jeszcze wrócę do domu Gajusów. Nie wracałem z tarczą; zaparkowałem samochód przy ścieżce. A potem szedłem. Ale burza już się chyba przetoczyła. Podwórze było zaskakująco puste. Nie miałem wątpliwości, że sprawy rozgrywają się teraz na wyższym szczeblu, może w Lublinie, może nawet w Warszawie. Wiedziałem, że jeśli nie zastanę tej osoby, po prostu odjadę, a sprawa nie zostanie wyjaśniona.

Stąpałem cicho, spoglądając na dom. Budynek wbijał we mnie swoje wielkie, smutne oczy.

Kierowałem się prosto do szopy.

Inaczej niż tamtego wieczora drzwi były uchylone, gospodarz zaś w środku. Szedłem jak po sznurku, bo już nie potrafiłem się zatrzymać.

Andrzej dostrzegł mnie za późno, o wiele za późno na ucieczkę. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

– Tak sobie myślę... – powiedziałem – że od początku jedna rzecz mi w tym wszystkim nie pasowała.

Milczał. Wcześniej też nie mówił wiele, również dlatego, że chciał ukryć to, co zrobił.

Był jeszcze jednym trybikiem w całej tej historii. A właściwie nie trybikiem, lecz motorem wszystkiego.

– Jak ja się tutaj znalazłem? – zapytałem.

Nie odpowiedział.

– Kto wpadł na pomysł, żeby mnie sprowadzić, i podsunął go Beacie? Czy to nie był jej ukochany młodszy brat? Ten, który całe życie jest z siostrą?

Spoglądał na mnie, ale nie wrogo, wręcz z pewną ciekawością. Wskazałem na półkę.

– Jest tam moja książka. To dość zaskakujące odkrycie. Pytanie brzmi: dlaczego?

– Właśnie – odezwał się wreszcie. Głos miał lekko zachrypnięty. – Dlaczego niby miałbym robić to, co mówisz?

– Przez cały tydzień tutaj zbierałem różne historie. Oni wszyscy byli mi od początku niechętni. Tylko Beata... – Pokręciłem głową. – Kiedy byłem w domu Heleny Radło, opowiedziano mi o pewnym chłopcu. Ponoć był niezwykły. Chłopcu, z którym Helena bardzo się zaprzyjaźniła. Już wtedy myślałem, że warto byłoby go znaleźć. Tak, podobno to był ciekawy dzieciak. Bardzo inteligentny, ale zamknięty w sobie, z ogromną wyobraźnią, lubiący las.

Andrzej milczał.

Spojrzałem na jego komputer. Na telefon.

Nie musiał niczego wyjaśniać, nie miał takiego obowiązku, ale w jego oczach widziałem odpowiedź. Widziałem ból, który towarzyszył mu przez te wszystkie lata, i mogłem się tylko domyślać, jak niezwykłą osobą była jego przyjaciółka.

Pomyślałem, że bez względu na jego milczenie mój pobyt tutaj naprawdę dobiegł końca. I że mogę wracać, choć nie wiedziałem do czego.

Spojrzałem na niego po raz ostatni. Po cichu oddawał jej cześć, walczył o nią; nawet jeśli nie znał całej prawdy, nawet jeśli tylko ją podejrzewał.

A może wiedział więcej? Może płaszcz wcale nie był podłożony przez Elżbietę Gajus, aby skierować podejrzenie na Andrzeja? Możliwe od początku stanowił element inscenizacji – ale stworzonej przez niego samego?

A może nie powinienem wiedzieć wszystkiego.

Kiwnąłem głową na pożegnanie, powolnym krokiem wyszedłem z szopy i skierowałem się w stronę hondy. Umysł miałem czysty i czułem, że mogę odjechać.


Zapaliłem silnik i obejrzałem się ostatni raz. Gdzieś z tyłu błysnął płomień z zapalniczki i dostrzegłem ognik papierosa. Wrzuciłem bieg i ruszyłem powoli

olchową aleją. Spojrzałem w lusterko, a tańczący ognik zmniejszał się i zmniejszał.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

 Wydawnictwo Czarne

 @wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:

ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:

al. Jana Pawła II 45A lok. 56

01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2023

Wydanie I

Spis treści

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

Kolofon